



CHRISTOPHER MOORE

NAJGŁUPSZY ANIOŁ

Tę książkę dedykuję Mike'owi Spradlinowi, który powiedział: „Wiesz, powinieneś napisać książkę o Bożym Narodzeniu.”

Na co odparłem: „Jaką książkę o Bożym Narodzeniu?”.

Na co on odparł: „Nie wiem. Może Gwiazdka w Pine Cove albo coś.”.

Na co odparłem: „Się robi”.

Podziękowania

Autor pragnie podziękować osobom, które pomogły. Jak zwykle, Nicholasowi Ellisonowi, mojemu nieustraszonemu agentowi; Jennifer Brehl, mojej genialnej redaktorce; Lisie Gallagher i Michaelowi Morrisonowi – za nieustanną wiarę w moją umiejętność opowiadania historii; Jackowi Womackowi i Leslie Cohen – za stawianie mnie przed czytelnikami i prasą; Huffmanom – za przygotowanie lądowiska i ciepłe przyjęcie; Charliemu Rodgersowi – za uważną lekturę, przemyślane uwagi i znoszenie tego wszystkiego; w końcu, Taco Bobowi, któremu z radością (i za jego zgodą, co psuje niemal wszystko) zwędziłem pomysł na rozdział 16.

Ostrzeżenie od Autora

Jeśli kupujesz tę książkę na prezent dla babci albo dziecka, musisz wiedzieć, że zawiera ona brzydkie słowa, a także pozbawione smaku opisy kanibalizmu i aktów płciowych osób po czterdziestce. Nie miejcie do mnie pretensji. Uprzedziłem.

Rozdział 1

WKRADA SIĘ BOŻE NARODZENIE

Boże Narodzenie wkradło się do Pine Cove jak to podstępne Boże Narodzenie: ciągnąc girlandy, wstążki i dzwonki, rozlewając ajerkoniak, cuchnąc sosną i zapowiadając świąteczną zagładę niczym odmrożenie pod jemiolą. Zbudowane w pseudotudorowskim stylu Pine Cove, całe wystrojone w świąteczne gadżety – migające lampki na wszystkich drzewach wzdłuż Cypress Street, sztuczny śnieg w rogach każdej wystawy sklepowej, miniaturowych Mikołajów i olbrzymie świece na wszystkich latarniach – otworzyło podwoje na napływ turystów z Los Angeles, San Francisco i Central Valley, szukających prawdziwej, gwiazdkowej komercji. Pine Cove, senne nadmorskie miasteczko w Kalifornii – istne miasto-zabawka, w którym więcej było galerii niż stacji benzynowych, więcej winiarni niż sklepów żelaznych – czekało, równie kuszące jak pijana królowa balu maturalnego, a Boże Narodzenie miało nadciągnąć już za pięć dni. Wraz z Bożym Narodzeniem zbliżało się Dziecię. Jedno i drugie było wspaniałe, nieodparte i cudowne. Pine Cove czekało tylko na jedno z nich.

Co nie oznacza, że miejscowi nie odczuwali atmosfery świąt. Dwa tygodnie przed i po świętach wiązały się z mile widzianą falą pieniędzy, płynącą do tutejszych kas, wygłodniałych już od lata. Każda kelnerka odkurzała swoją mikołajkową czapkę, wkładała rogi renifera i sprawdzała, czy ma w fartuszkach parę działających długopisów. Recepcjoniści w hotelach szykowali się na wściekłych uczestników wycieczek „last minute”, dla których zabraknie miejsc, a dozorczy przerzucali się ze zwykłych odświeżaczy powietrza o zapachu pudru dla niemowląt na bardziej świąteczny odór sosny i cynamonu. W butikach przyklejono tabliczkę z napisem „oferta świąteczna” do paskudnego swetra w renifery, dziesiąty rok z rzędu podnosząc jego cenę. Łosie, masoni i weterani, będący w zasadzie jedną bandą zapijaczonych staruchów, snuli gorączkowe plany na doroczną świąteczną paradę przez Cypress Street. W tym roku jej tematem miał być patriotyzm (głównie dlatego, że taki był temat parady czwartego lipca i wszyscy wciąż mieli dekoracje). Wielu mieszkańców zgłosiło się nawet do obsługi skarbonek Armii Zbawienia, ustawionych przed pocztą i Tanim Marketem. Zmieniali się co dwie godziny przez szesnaście godzin dziennie. Ubrani w czerwone kostiumy i przystrojeni sztucznymi

brodami, machali swoimi dzwonekami, jakby chcieli zdobyć złoty medal w wywoływaniu ślinotoku u psa na Olimpiadzie Pawiowa.

– Dawaj forszę, skąpy sukinsynu – powiedziała Lena Marquez, stojąca przy skarbonce w ten poniedziałek, pięć dni przed Bożym Narodzeniem.

Przemierzała parking za Dalem Pearsonem, podłym developerem z Pine Cove, który szedł do swojego pickupa, i potrząsała dzwonekiem jak wściekła. Gdy wchodził do Taniego Marketu, skinął jej głową i powiedział: „Dam pieniądze przy wyjściu”, ale gdy osiem minut później wyłonił się ze sklepu, niosąc torbę zakupów i worek z lodem, minął jej skarbonkę tak, jakby używała jej do zbierania łoju z tyłków inspektorów budowlanych i jakby musiał uciekać przed smrodem.

– Możesz się szarpnąć na parę dolców dla tych, którzy mieli mniej szczęścia.

Zadzwońiła mu bardzo głośno tuż przy uchu, a on odwrócił się, wykonując workiem lodu zamach mniej więcej na wysokości bioder. Lena odskoczyła. Była szczupłą trzydziestoosmiolatką o ciemnej cerze, a także delikatnej szyi i idealnym obrysie szczęki tancerki flamenco. Długie, ciemne włosy miała zwinięte po obu stronach swojej mikołajkowej czapki w dwa precle w stylu księżniczki Lei.

– Nie możesz wiać przed Mikołajem! To zachowanie jest złe pod tak wieloma względami, że nie mam czasu ich wymieniać.

– Chyba raczej wyliczać – odparł Dale.

Łagodne, zimowe słońce odbijało się od nowej emalii, którą niedawno pokrył sobie zęby. Miał pięćdziesiąt dwa lata i był prawie zupełnie łyśy. Jego silne ramiona stolarza wciąż były szerokie i kanciaste, pomimo wiszącego poniżej piwnego brzuszka.

– Chciałam powiedzieć, że to złe... ty jesteś zły... i skąpy. – Z tymi słowami znowu przysunęła mu dzwonek do ucha i zamachała niczym odziany w czerwień terier, mordujący krzyczącego, mosiężnego szczura.

Dale skulił się na ten dźwięk i podstępnie zatoczył workiem lodu szeroki łuk, trafiając Lenę w splot słoneczny. Pognała do tyłu przez parking, usiłując złapać oddech. Właśnie wtedy panie z PAKERA wezwały gliny – no, jednego glinę.

PAKER był centrum fitness dla kobiet, mieszczącym się tuż nad parkingiem Taniego Marketu. Ze ścieżek i maszyn imitujących chodzenie po schodach członkinie klubu mogły obserwować wchodzących i wychodzących ze sklepu, nie czując się przy tym podglądaczkami. To, co dla sześciu z nich zaczęło się jako chwila czystej radości i lekki

skok adrenaliny, gdy patrzyły, jak Lena goni Dale'a przez parking, szybko zmieniło się w szok, gdy wredny developer walnął workiem lodu latynoską Mikołajkę w bebech. Pięć z nich po prostu podetknęło się albo jęknęło, ale Georgia Bauman – która akurat ustawiła swoją ścieżkę na dwanaście kilometrów na godzinę, bo chciała przed świętami zrzucić siedem kilo i zmieścić się w suknię koktajlową z czerwonymi cekinami, którą mąż kupił jej w napadzie seksualnego idealizmu – zleciała z urządzenia w tył i wpadła w barwną plątaninę uczestniczek kursu jogi, ćwiczących na materacach.

- Au, moja czakra dupy!
- To twoja czakra podstawy.
- Boli jak dupa.
- Widziałyście? Prawie ją znokautował. Biedactwo.
- Może trzeba sprawdzić, czy nic się jej nie stało?
- Ktoś powinien zadzwonić do Theo.

Kobiety jednocześnie wyciągnęły telefony komórkowe – niczym gang Odrzutowców z West Side Story, otwierających sprężynowe noże, by wesołym, tanecznym krokiem ruszyć do walki na śmierć i życie.

- Po co w ogóle wychodziła za tego faceta?
- Straszny z niego dupek.
- Dużo piła.
- Georgia, dobrze się czujesz, skarbie?
- Czy pod 911 dodzwonię się do Theo?
- Ten sukinsyn po prostu pojedzie i ją tak zostawi.
- Powinnyśmy tam iść i jej pomóc.
- Muszę ćwiczyć na tym jeszcze dwanaście minut.
- Zasięg sieci w tym mieście to tragedia.
- Mam numer do Theo w szybkim wybieraniu, ze względu na dzieci. Ja zadzwonię.

– Popatrzcie na Georgię i dziewczyny. Wyglądają, jakby ćwiczyły na twisterze i nagle z niego spadły.

– Halo, Theo. Mówi Jane z PAKERA. Tak, no wiesz, właśnie wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że coś się dzieje pod sklepem. No, nie chcę się wtrącać, ale powiedzmy, że pewien developer właśnie uderzył workiem lodu jednego z Mikołajów z Armii Zbawienia.

W takim razie będę wypatrywała twojego samochodu. – Zamknęła komórkę. – Już jedzie.

Telefon komórkowy Theophilusa Crowe'a odegrał pięć taktów Tangled Up in Blue drażniącym, elektronicznym dźwiękiem, który brzmiał niczym chór cierpiących much albo disney'owski świerszcz wdychający hel, albo, no, wiecie, Bob Dylan – tak czy owak, zanim otworzył urządzenie, pięć osób w dziale warzywnym Taniego Marketu tak zgromiło go wzrokiem, że sałata w jego wózku zwiędła. Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Przepraszam, też nie znoszę tych ustrojstw, ale co zrobić?”, a potem odebrał:

– Posterunkowy Crowe.

Przynajmniej dał wszystkim do zrozumienia, że nie gra tu sobie w kulki, tylko jest STRÓŻEM PRAWA.

– Na parkingu przed sklepem? Dobra, zaraz tam będę.

To dopiero była wygodna sytuacja. Funkcja stróża prawa w miasteczku liczącym tylko pięć tysięcy mieszkańców miała pewną zaletę – do źródła kłopotów nigdy nie było daleko. Theo postawił wózek na końcu przejścia między regałami, po czym przemknął obok kas i przez automatyczne drzwi na parking. (Przypominał odzianą w dżinsy i flanelę modliszkę – dwa metry wzrostu, osiemdziesiąt kilo – i miał tylko trzy prędkości: wolny krok, galop i stop). Na zewnątrz ujrzał skuloną i próbującą złapać oddech Lenę Marquez. Jej były mąż, Dale Pearson, właśnie wsiadał do swojego pickupa z napędem na cztery koła.

– Stój, Dale. Czekał – powiedział Theo.

Upewnił się, że Lena tylko straciła dech i nic jej nie będzie, po czym zwrócił się do krępego developera, który zamarł z jedną nogą na progu auta, jakby zamierzał ruszyć, kiedy tylko ze środka wyleci całe gorące powietrze.

– Co się tu stało?

– Ta stuknięta suka uderzyła mnie tym swoim dzwonkiem.

– Wcale nie – wydyszała Lena.

– Otrzymałem zgłoszenie, że to ty uderzyłeś ją workiem lodu, Dale. To napaść.

Dale Pearson szybko rozejrzał się dookoła i dostrzegł grupkę kobiet zebranych przy oknie siłowni. Wszystkie odwróciły wzrok i ruszyły do urządzeń, na których ćwiczyły, gdy zaczął się spór.

– Spytaj ich. Powiedzą ci, że przyłożyła mi dzwonkiem w głowę. Działalem w obronie własnej.

– Powiedział, że wrzuci pieniądze, kiedy będzie wychodził ze sklepu, a potem tego nie zrobił – oznajmiła Lena, odzyskawszy oddech. – To ustna umowa. Złamał ją. A ja go nie uderzyłam.

– To pieprzona wariatka. – Dale powiedział to takim tonem, jakby wyjaśniał, że woda jest mokra. Jakby to się rozumiało samo przez się, Theo spoglądał to na jedno, to na drugie. Już wcześniej miał do czynienia z tą dwójką, ale myślał, że wszystko się uspokoi, kiedy pięć lat temu wzięli rozwód. (Był posterunkowym w Pine Cove od czternastu lat i widział ciemne strony niejednej pary). Pierwszą zasadą podczas konfliktu rodzinnego było rozdzielenie zwaśnionych stron, ale to najwyraźniej już się dokonało. Nie należało się za nikim opowiadać, ale ze Theo miał słabość do wariatek – sam ożenił się z jedną z nich – podjął decyzję i skupił uwagę na Dale’u. Poza wszystkim, facet był dupkiem.

Theo poklepał Lenę po plecach i podbiegł do samochodu Dale’a.

– Nie trać czasu, hipisie – powiedział Dale. – Już skończyłem. – Wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

Hipisie? – pomyślał Theo. Hipisie?

Już wiele lat temu ściał swój kucyk. Przestał nosić sandały. Nawet przestał palić trawkę. Skąd ten gość się urwał, że nazywa go hipisem? „Hipisie?”, powtórzył sobie w duchu, po czym zawołał:

– Ej!

Dale uruchomił silnik i wrzucił bieg. Theo wspiał się na próg, pochylił nad przednią szybą i zaczął stukać w nią ćwierćdolarówką wyjętą z kieszeni dżinsów.

– Nie jedź, Dale. – Puk, puk, puk. – Jeśli teraz odjedziesz, wydam na ciebie nakaz aresztowania. – Puk, puk, puk. Teraz Theo się wkurzył, był tego pewien. Tak, to bez wątpienia był gniew.

Dale wrzucił luz i wcisnął przycisk, otwierając szybę.

– Co? Czego chcesz?

– Lena chce wnieść oskarżenie o napaść, być może o napaść z użyciem niebezpiecznej broni. Chyba powinienes się zastanowić, czy teraz odjechać.

– Niebezpiecznej broni? To był worek lodu.

Theo pokręcił głową i przyjął ton gawędziarza:

– Pięciokilowy worek. Wyobraź sobie, jak rzucam pięciokilowy blok lodu na posadzkę sali sądowej przed samą ławą przysięgłych. Słyszysz to? Widzisz, jak przysięgli się kula, kiedy rozwalam melona na ławie obrońcy za pomocą pięciokilowego bloku lodu? To nie jest niebezpieczna broń?

„Panie i panowie przysięgli, ten człowiek, ten zbereźnik, ten prostak, ten, jeśli mogę tak powiedzieć, koci źwirek pełen grudek, uderzył bezbronną kobietę... kobietę, która z dobrego serca zbierała datki dla biednych, kobietę, która jedynie...”.

– Ale to nie jest blok lodu, tylko...

Theo uniósł palec.

– Ani słowa, Dale, dopóki nie odczytam ci twoich praw. – Widział, że do Dale’a w końcu coś dotarło. Na skroniach developera zaczęły pulsować żyły, a jego łysina stała się jasnoróżowa. Hipisie, tak?

– Lena na pewno wniesie oskarżenie. Prawda?

Lena podeszła do samochodu.

– Nie – odparła.

– Dziwka! – wykrzyknął Theo. Wyrwało mu się to, zanim zdołał się powstrzymać. Tak dobrze mu szło.

– Widzisz, jaka ona jest – stwierdził Dale. – Chciałbyś mieć teraz worek lodu, co, hipisie?

– Jestem stróżem prawa – powiedział Theo, żałując, że nie ma pistoletu czy czegoś w tym rodzaju.

Z tylnej kieszeni wyjął portfel z odznaką, ale doszedł do wniosku, że trochę za późno na legitymowanie się, jako że zna Dale’a od prawie dwudziestu lat.

– Jasne, a ja jestem w Caribou – odparł Dale z większą dumą, niż tak naprawdę powinien.

– O wszystkim zapomnę, jeśli wrzuci do puszek sto dolców – oznajmiła Lena.

– Oszalałaś, kobieto.

– Mamy Boże Narodzenie, Dale.

– Pieprzę Boże Narodzenie i pieprzę ciebie.

– Hej, nie musisz używać takich słów – wtrącił Theo, który poczuł się rozjemcą. – Wystarczy, że wysiądziesz z samochodu.

– Pięćdziesiąt dolców do puszki i może jechać – powiedziała Lena. – Dla potrzebujących.

Theo obrócił się na pięcie i popatrzył na nią.

– Nie możesz negocjować na parkingu przed sklepem. Miałem go już na deskach.

– Zamknij się, hipisie – powiedział Dale. Potem zwrócił się do Leny: – Możesz dostać dwadzieścia, a potrzebujący niech się walą. Niech znajdą sobie pracę, jak inni ludzie.

Theo był pewien, że gdzieś w volvo ma kajdanki – a może zostały w domu, na szczeblu łóżka?

– W ten sposób się nie...

– Czterdzieści! – wykrzyknęła Lena.

– Zgoda! – odparł Dale. Z portfela wyciągnął dwie dwudziestki, zrolował i wyrzucił przez okno, tak że odbiły się od piersi Theo Crowe'a. Wrzucił bieg i cofnął.

– Zatrzymaj się! – nakazał Theo.

Dale wyprostował koła i ruszył. Gdy wielki, czerwony pickup mijał należące do Theo volvo kombi, zaparkowane dwadzieścia metrów dalej, z okna wyleciał worek, który następnie rozbił się o tylną klapę volvo, zasypując parking kostkami lodu, ale poza tym nie czyniąc żadnych szkód.

– Wesołych świąt, ty stuknięta dziwko! – wrzasnął Dale przez okno, gdy skręcał na ulicę. – I dobranoc wszystkim! Hipis!

Lena wsunęła zwinięte banknoty do kieszeni swojego kostiumu Mikołaja i ścisnęła Theo za ramię, gdy czerwona terenówka oddaliła się z rykiem silnika.

– Dzięki, że przybyłeś mi na ratunek.

– Jaki tam ratunek. Trzeba było wnieść oskarżenie.

– Nic mi nie jest. I tak by się wywinął. Ma świetnych prawników. Wierz mi, wiem, co mówię. A poza tym... czterdzieści dolców!

– To się nazywa świąteczny nastrój – powiedział Theo, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Na pewno nic ci nie jest?

– Wszystko gra. Nie pierwszy raz dostał przy mnie szału. – Poklepała kieszeń kostiumu. – Przynajmniej coś z tego mam.

Ruszyła z powrotem w stronę swojej puszki, a Theo poszedł za nią.

– Masz tydzień na złożenie skargi, jeśli zmienisz zdanie – oznajmił.

– Wiesz co? Nie chcę przez kolejne święta obsesyjnie myśleć o tym ludzkim odpadzie, Dale’u Pearsonie. Wolę odpuścić. Może przy odrobinie szczęścia stanie się jedną z tych śmiertelnych ofiar świąt, o których tyle się słyszy.

– Byłoby fajnie – stwierdził Theo.

– I kto tu ma świąteczny nastrój?

W innej bożonarodzeniowej opowieści Dale Pearson, podły developer, niereformowalny choleryk i zakochany w sobie mizogin, mógłby spodziewać się nocnych odwiedzin duchów, które, pokazując mu ponure wizje świątecznej przyszłości, terażniejszości i przeszłości, nawróciłyby go na szczerść, uprzejmość i ogólnie ciepły stosunek do bliźnich. Ale to nie jest bożonarodzeniowa opowieść tego rodzaju, więc tutaj, za nie tak znów wiele stron, ktoś załatwi żalosego sukinsyna łopata. Oto duch Bożego Narodzenia, który jeszcze tu zawita. Ho, ho, ho!

Rozdział 2

MIEJSCOWE DZIEWCZYNY COŚ W SOBIE MAJĄ

Wojownicza Laska z Pustkowi prowadziła swoją hondę kombi ulicą Cypress Street, zatrzymując się co jakieś trzy metry z powodu turystów, którzy wychodzili na jezdnię pomiędzy zaparkowanych samochodów, całkowicie obojętni na uliczny ruch.

Królestwo za ostry jak brzytwa spojler z przodu i kołpaki jak tarcze blendera, żebym mogła się przedrzeć przez to stado bezmyślnych prostaków, pomyślała. A potem: Hej, zdaje się, że naprawdę potrzebuję tych leków.

– Zachowują się tak, jakby Cypress Street to była alejka w DisneyLandzie – powiedziała. – Jakby nikt nie musiał tędy jeździć. Wy byście tak nie zrobili, prawda?

Obejrzała się przez ramię na dwóch przemoczonych nastolatków, skulonych w rogu tylnej kanapy. Zawzięcie pokręcili głowami.

– Nie, panno Michon, nigdy. Nie – odparł jeden z nich. Naprawdę nazywała się Molly Michon, ale lata temu, jako gwiazda kina klasy B, zagrała w ośmiu filmach Kendrę, Wojowniczą Laskę z Pustkowi. Miała grzywę jasnych włosów z odrobiną siwizny i ciało modelki fitness. Mogła uchodzić za trzydziesto – albo pięćdziesięciolatkę, zależnie od pory dnia, ubioru i zażytej dawki leków. Fani zgadzali się, że jest po czterdzieste.

Fani. Dwaj chłopcy na tylnym siedzeniu byli fanami. Popełnili błąd i wykorzystali część ferii świątecznych, by pojechać do Pine Cove w poszukiwaniu kultowej gwiazdy filmowej, Molly Michon, i uzyskać jej autograf na swoich kopiach filmu Wojownicza Laska VI: Zemsta dzikiej suki. Właśnie wydano go na DVD, z niepokazywanymi nigdy wcześniej ujęciami cycków Molly, wyskakujących z metalowego stanika. Molly widziała, jak chłopcy czają się przed domkiem, w którym mieszkała ze swoim mężem, Theo Crowem. Wymknęła się tylnym wyjściem i zaskoczyła ich przy ścianie domu za pomocą węża ogrodowego – nieźle ich opryskała, goniąc przez sosnowy las, aż cały wąż się odwinął, a potem podcięła wyższego z nich i zagroziła, że skreśli mu kark, jeśli ten drugi natychmiast się nie zatrzyma.

W tym momencie dotarło do niej, że być może popełniła błąd w zakresie public relations, zaprosiła fanów, by pojechali z nią i pomogli jej wybrać choinkę na świąteczne przyjęcie dla samotnych w Kaplicy Świętej Róży. {Ostatnio zdarzało jej się podjąć

niejedną błędną decyzję, a tydzień temu przestała brać leki, żeby oszczędzać na prezent gwiazdkowy dla Theo).

– No to skąd jesteście, chłopaki? – spytała wesoło.

– Proszę nie robić nam krzywdy – powiedział Bert, wyższy i chudszy z tej dwójki.

(W myślach nazwała ich Bert i Ernie – wprawdzie nie wyglądali jak pacynki z Ulicy Sezamkowej, ale mieli podobne proporcje – oczywiście z wyjątkiem wielkiej łapy wsadzonej w tyłek).

– Nie zrobię wam krzywdy. Fajnie, że tu jesteście. Chłopaki sprzedający choinki podchodzą do mnie trochę nieufnie, odkąd parę lat temu rzuciłam ich współpracownika morskemu potworowi na pożarcie, więc możecie odegrać rolę społecznych buforów.

Cholera, nie powinna była wspominać o potworze. Spędziła tyle lat w zapomnieniu, odkąd wyleciała z branży filmowej, do czasu gdy jej filmy zyskały status kultowych, że zatraciła większość umiejętności społecznych. No i jeszcze te piętnaście lat braku kontaktu z rzeczywistością, gdy w Pine Cove była powszechnie znana jako wariatka. Ale od kiedy zaczęła tworzyć parę z Theo i zażywać antydepresanty, wszystko wyglądało znacznie lepiej.

Skręciła na parking przed sklepem „Narzędzia i Upominki”, gdzie na odgradzonej połaci asfaltu sprzedawano choinki. Na widok jej samochodu trzech odziani w płócienne fartuchy faceci w średnim wieku szybkim krokiem podążyli do sklepu, zaryglowali drzwi i odwrócili tabliczkę z napisem „Otwarte” na „Zamknięte”. Spodziewała się, że to może nastąpić, chciała jednak zrobić Theo niespodziankę, udowodnić, że jest w stanie dostarczyć wielką choinkę na imprezę w kaplicy. Teraz te ograniczone umysłowo służusy Black & Deckera niweczyły jej plany na idealne święta. Wzięła głęboki wdech i wypuszczając ustami powietrze, starała się osiągnąć spokój, tak jak uczył ją instruktor jogi.

Właściwie to mieszkała pośrodku sosnowego lasu, nie? Może powinna iść i sama ściąć choinkę?

– Wracajmy do domu, chłopaki. Mam siekierę, która będzie w sam raz.

– Niiieeeee! – wrzasnął Ernie, przechylając się przez zamoczonego kumpla, i pociągnął za klamkę w drzwiach hondy, po czym obaj wytoczyli się z jadącego samochodu prosto na paletę plastikowych reniferów.

– No dobra – powiedziała Molly. – Trzymajcie się, a ja sprawdzę, czy zdołam ściąć

drzewo na podwórku.

Zawróciła na parkingu i pojechała z powrotem do domu.

Mokra od potu Lena Marquez wysunęła się ze stroju Mikołaja niczym mała jaszczurka wyłaniająca się z czerwonego jaja. Zanim skończyła dyżur pod Tanim Marketem, temperatura wzrosła dobrze ponad dwadzieścia stopni i Lena była pewna, że w tym ciężkim kostiumie zrzuciła ze dwa kilo. W staniku i majtkach pognęła do łazienki i wskoczyła na wagę, by nacieszyć się niespodziewanym schudnięciem. Kółko zawirowało i zatrzymało się na jej normalnym ciężarze. Idealnym dla wzrostu Leny, niskim jak na jej wiek, ale do cholery, walczyła ze swoim byłym, oberwała lodem, machała dzwonkiem, zbierając datki dla potrzebujących, i przez osiem godzin radośnie zносиła upał w kostiumie Mikołaja. Chyba zasłużyła na jakąś nagrodę za swoje wysiłki.

Zrzuciła stanik i majtki, po czym znów weszła na wagę. Nie było dostrzegalnej różnicy. Usiadła, wysikała się, podtarła i jeszcze raz wskoczyła na wagę. Może z piętnaście deka poniżej normy. Ach! – pomyślała, przesuwając brodę w bok, by wyraźniej widzieć podziałkę. Może na tym polegał problem? Ściągnęła białą brodę i czapkę Mikołaja, wrzuciła je do sypialni, potrząsnęła długimi, czarnymi włosami i poczekała, aż waga się uspokoi.

No, tak. Prawie dwa kilo. Aby to uczcić, wykonała szybki kopniak Tae-Bo i wkroczyła pod prysznic. Namydlając ciało, skrzywiła się, natrafiwszy na obolałe miejsce przy splocie słonecznym. Na żebrach, tam, gdzie uderzył ją worek lodu, wykwitło kilka fioletowych siniaków. Bardziej bolało ją wszystko po zbyt dużym wysiłku w siłowni, ale ból, który poczuła w tym momencie, promieniował prosto do serca. Może chodziło o myśl, że spędzi Boże Narodzenie sama. Byłby to pierwszy raz od rozvodu. Jej siostra, z którą spędzała święta przez kilka ostatnich lat, wybierała się z mężem i dziećmi do Europy. Dale, mimo że był ostatnim fiutem, organizował jej różne świąteczne atrakcje, których teraz została pozbawiona. Reszta jej rodziny mieszkała w Chicago, a od czasów Dale'a nie miała szczęścia do mężczyzn – zbyt wiele pozostało w niej gniewu i nieufności. (Nie dość, że był fiutem, to jeszcze ją zdradzał). Koleżanki Leny, które co do jednej powychodziły za mąż albo żyły we w miarę stałych związkach, mówiły jej, że powinna pozostać przez jakiś czas sama i lepiej poznać siebie. Oczywiście, była to totalna bzdura. Znała siebie, lubiła się, myślała, ubierała, kupowała sobie prezenty, prowadziła się na randki, a nawet od czasu do czasu uprawiała ze sobą seks, co zawsze kończyło się lepiej

niż kiedyś z Dałem.

– Całe to poznawanie siebie zrobi z ciebie totalnego świra – powiedziała jej przyjaciółka, Molly Michon. – Możesz mi wierzyć, jestem niekoronowaną królową świrów. Ostatnim razem, kiedy tak naprawdę poznałam siebie, okazało się, że muszę się rozprawić z całą bandą wrednych suk. Czułam się jak recepcjonistka w ośrodku zdrowia. Chociaż wszystkie miały ładne cycki, muszę to przyznać. Tak czy owak, zapomnij o tym. Wyjdź i zrób coś dla kogoś innego. To będzie dla ciebie znacznie lepsze. „Poznać siebie”, co w tym dobrego? A co, jeśli siebie poznasz i okaże się, że jesteś straszną nudziarą? Pewnie, lubię cię, ale możesz ufać mojej opinii. Idź i zrób coś dla innych.

To była prawda. Może i Molly była – no, ekscentryczna, ale czasami mówiła do rzeczy. A zatem Lena zgłosiła się do obsługi skarbonki Armii Zbawienia, zbierała jedzenie w puszkach i mrożone indyki w ramach zbiórki żywności organizacji Anonimowych Sąsiadów z Pine Cove, a jutro wieczorem, gdy tylko się ściemni, zamierza wyjść, żeby zbierać prawdziwe choinki i podrzucać je pod domami ludzi, których zapewne nie było na nie stać. To powinno odwrócić myśli Leny od niej samej. A gdyby nie zdało egzaminu spędzi Wigilię na świątecznym przyjęciu dla samotnych w Kaplicy Świętej Róży. O, Boże, zaczyna się. Nadchodziły święta, a ona wpadała w świąteczny nastrój – czuła się samotna...

Dla Mavis Sand, właścicielki baru „Głowa Ślimaka”, słowo „samotny” brzmiało niczym dzwonek kasy na kontuarze. Z nadejściem ferii świątecznych Pine Cove wypełniało się turystami szukającymi małomiasteczkowego uroku, a „Głowa Ślimaka” wypełniała się samotnymi, wydziedziczonymi marudami szukającymi pocieszenia. Mavis chętnie go udzielała, w postaci swojego popisowego (i zbyt drogiego) koktajlu świątecznego o nazwie Powolne Bzykanie na Tylnym Siedzeniu Sań Mikołaja, który składał się z...

– Spieprzaj, jeśli chcesz wiedzieć, co w nim jest – mawiała Mavis. – Jestem profesjonalną barmanką od czasów, kiedy twój tata spuścił w kiblu prezerwatywę, karmiąc się nadzieją, że będziesz miał mózg, więc wczuj się w nastrój i zamów tego cholernego drinka.

Mavis zawsze była w świątecznym nastroju, przez cały rok nosiła nawet kolczyki w kształcie choinek, by nabrać „zapachu nowego samochodu”. Nad barem wisiał snop jemioly wielkości głowy łosia. A w sezonie każdy niczego nie podejrzewający pijak, który

za bardzo przechylił się przez kontuar, by wyrzeszczyć zamówienie do jednego z jej aparatów słuchowych, przekonywał się, że za trzepoczącymi, nylonowymi smugami oblepionych tuszem niby-rzęs, za włochatym pieprzykiem i szminką Red Seduction, którą nakładała szpatułką, za oddechem o zapachu papierosów Tareyton 100 i klekoczącą sztuczną szczęką, Mavis wciąż skrywa budzący szacunek swą sprawnością język. Pewien facet, który bez tchu zataczał się ku drzwiom, twierdził, że sięgnęła językiem do jego rdzenia przedłużonego, wywołując wizje o duszeniu się w Ciemnej Szafie Śmierci – co Mavis poczytała sobie za komplement.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Dale i Lena starli się pod Tanim Marketem, Mavis, przycupnięta na stołku za barem, podniosła wzrok znad krzyżówki, by ujrzeć najprzystojniejszego mężczyznę, jaki kiedykolwiek przekroczył podwójne drzwi tej knajpy. To, co wcześniej było pustynią, teraz rozkwitło. Korytem wyschniętego już od lat strumienia popłynęła rwąca rzeka. Jej serce przestało na chwilę bić i defibrylator, który miała wszczepiony w klatkę piersiową, zaaplikował jej lekki wstrząs, po czym poderwała się ze stołka, by obsłużyć tego faceta. Jeśli zamówi drinka o nazwie „rżnięcie”, będzie miała taki orgazm, że tenisówki jej się rozpadną od zginania palców u nóg. Wiedziała to, czuła, chciała tego. Mavis była romantyczką.

– W czym mogę pomóc? – spytała, trzepocząc rzęsami, co wyglądało tak, jakby za szklami jej okularów dogorywały chore na padaczkę pająki.

Pół tuzina stałych bywalców siedzących przy barze odwróciło się na stołkach, by ujrzeć źródło tej niezwykłej uprzejmości – niemożliwe, by ten melodyjny dźwięk dobiegł z ust Mavis, która zazwyczaj mówiła do nich głosem przesyconym pogardą i nikotyną.

– Szukam dziecka – powiedział nieznajomy.

Jego długie jasne włosy spływały na kołnierz czarnego płaszcza. Oczy miał fioletowe, a rysy ostre i zarazem delikatne. Doskonale wyciosana twarz nie była poznaczona żadnymi bruzdami wieku czy doświadczenia.

Mavis przekręciła małą gałkę w prawym aparacie słuchowym i przechyliła głowę niczym pies, który właśnie ugryzł plastikowy kotlet. Och, jak to słupy miłości mogą runąć pod ciężarem głupoty.

– Szuka pan dziecka? – spytała Mavis.

– Tak – odparł nieznajomy.

– W barze? W poniedziałek po południu? Szuka pan dziecka?

– Tak.

– Jakiegoś konkretnego dziecka czy może być pierwsze lepsze?

– Będę wiedział, kiedy je zobaczę – wyjaśnił nieznajomy.

– Pieprzony zbok – orzekł jeden ze stałych bywalców, a Mavis wyjątkowo przytaknęła mu skinieniem głowy, przy którym jej kręgi szyjne szczęknęły jak kombinerki.

– Wynoś się z mojego baru – powiedziała. Długi, lakierowany paznokieć wskazał drogę powrotną ku drzwiom. – No już, won. Myślisz, że co to? Bangkok?

Nieznajomy popatrzył na jej palec.

– Zbliżają się narodziny Pana, mam rację?

– Tak, Boże Narodzenie w sobotę – warknęła. – A co to ma, do diabła, wspólnego z czymkolwiek?

– W takim razie potrzebuję dziecka do soboty – stwierdził tamten.

Mavis sięgnęła pod kontuar i wyciągnęła swój miniaturowy kij bejsbolowy.

Facet był przystojny, ale to jeszcze nie oznaczało, że nic się nie da poprawić ciosem w łeb, zadany kawałkiem orzechowego drewna. Mężczyźni: mrugnięcie okiem, dreszcz, fala wilgoci i zanim się człowiek obejrzał, nadchodził czas nabijania guzów i wypluwania zębów.

Mavis była pragmatyczną romantyczką: miłość – prawidłowo uprawiana, jak uważała – boli.

– Przyłóż mu, Mavis! – zakrzyknął jeden ze stałych bywalców.

– Tylko zbok nosi płaszcz przy dwudziestu pięciu stopniach – odezwał się inny. – Rozwał mu łeb.

Przy stole bilardowym zaczęto przyjmować zakłady. Mavis pociągnęła się za włoski na podbródku i popatrzyła znad okularów na nieznajomego.

– Mógłbyś iść szukać gdzie indziej?

– Jaki mamy dzień? – spytał tamten.

– Poniedziałek.

– W takim razie poproszę dietetyczną colę.

– A co z dzieckiem? – spytała Mavis, podkreślając słowa uderzeniami kija bejsbolowego o dłoń (bolało jak diabli, ale nie miała zamiaru nawet drgnąć).

– Mam czas do soboty – odparł przystojny zbok. – Na razie tylko dietetyczną colę.

I snickersa. Proszę.

– Dosyć tego – stwierdziła. – Już nie żyjesz.

– Przecież powiedziałem „proszę” – powiedział blondasek, nieco odbiegając od tematu.

Nie zwracała sobie głowy otwieraniem uchylnej części blatu, tylko przemknęła pod nim i zaatakowała. W tym momencie rozległ się dzwonek i do knajpy wpadł snop światła, co wskazywało, że do środka wszedł ktoś z zewnątrz. Kiedy Mavis z powrotem się wyprostowała, mocno podpierając się nogą i zamierzając przyłożyć nieznanemu tak, by poleciał do sąsiedniego hrabstwa, ten zniknął.

– Jakiś kłopot, Mavis? – spytał Theophilus Crowe. Posterunkowy stał w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą widziała nieznanego.

– Cholera, gdzie on się podział? – Mavis zerknęła za plecy Theo, po czym znów odwróciła się do stałych bywalców. – Gdzie on się podział?

– Nie mam pojęcia – odparli chórem, wzruszając ramionami.

– Kto?

– Blondyn w czarnym płaszczu – wyjaśniła Mavis. – Musiałeś się z nim minąć, kiedy wchodziłeś.

– W płaszczu? Na dworze jest dwadzieścia pięć stopni – powiedział Theo. – Na pewno zauważyłbym kogoś w płaszczu.

– To był zbok! – krzyknął ktoś z tyłu.

Theo spojrział na Mavis.

– Czy ten facet zajrzał ci pod bluzkę?

Różnica wzrostu między nimi wynosiła pół metra i kobieta musiała zrobić krok w tył, by popatrzeć mu w oczy.

– A skąd. Lubię mężczyzn, którzy wierzą reklamom. Ten facet szukał dziecka.

– Tak powiedział? Przyszedł tutaj i powiedział, że szuka dziecka?

– Zgadza się. Właśnie się szykowałam, żeby dać mu...

– Jesteś pewna, że nie zginęło mu jego własne dziecko? To się zdarza, świąteczne zakupy, dzieciak gdzieś idzie...

– Nie, nie szukał konkretnego dziecka, tylko jakiegoś dziecka.

– No, może chciał być Wielkim Bratem, tajnym Świętym Mikołajem czy coś – podsunął Theo, wyrażając nie popartą żadnymi dowodami wiarę w ludzką dobroć. –

Chciał zrobić coś miłego na Boże Narodzenie.

– Do licha, Theo, ty pierdoło, nie trzeba odrywać księdza od ministranta łomem, żeby stwierdzić, że nie pomagał dzieciakowi przy różańcu. Facet był zboczony.

– No to chyba powinienem go poszukać.

– No to chyba powinienes.

Theo już zaczął się odwracać do drzwi, ale potem odwrócił się z powrotem.

– Nie jestem pierdołą, Mavis. Nie ma powodu, żebyś tak mówiła.

– Przepraszam, Theo – powiedziała, opuszczając kij, by okazać szczerą skruchę. –

A po co przyszedłeś?

– Nie pamiętam. – Theo wyzywająco uniósł brwi.

Mavis uśmiechnęła się do niego. Theo był dobrym facetem – trochę ciapowatym, ale dobrym.

– Naprawdę?

– Nie, po prostu chciałem pogadać o jedzeniu na przyjęcie świąteczne. Zamierzasz urządzić grilla, tak?

– Taki miałam plan.

– Właśnie słyszałem w radiu, że może padać, więc przydałby ci się plan awaryjny.

– Więcej alkoholu?

– Myślałem o czymś niewymagającym gotowania na świeżym powietrzu.

– Na przykład o alkoholu?

Pokręcił głową i ruszył do drzwi.

– Zadzwoń do mnie albo do Molly, gdybyś potrzebowała pomocy.

– Nie będzie padać – powiedziała Mavis. – W grudniu nigdy nie pada.

Ale Theo wyszedł już na ulicę, by ruszyć na poszukiwanie nieznajomego w płaszczu.

– Może padać – odezwał się jeden ze stałych bywalców. – Naukowcy mówią, że w tym roku można się spodziewać El Nino.

– Akurat. Jakby kiedykolwiek nas uprzedzili, zanim zmyje pół stanu – odparła Mavis. – Pieprzyć naukowców.

Ale El Nino naprawdę się zbliżał. El Nino. Dziecko.

Rozdział 3

PRZESRANE ŚWIĘTA

Czwartkowy wieczór. Do świąt zostały jeszcze cztery dni, ale Święty Mikołaj krążył już po głównej ulicy miasteczka swoim czerwonym pickupem: machał do dzieci, zyzzakował po jezdni i bekał w brodę, wstawiony bardziej niż lekko.

– Ho, ho, ho – powiedział, powstrzymując chęć, by dodać: „i butelka rumu”, choć jego zachowanie bardziej pasowało do Czarnobrodego niż do Świętego Mikołaja. Rodzice pokazywali go palcami, dzieciaki machały i podskakiwały. Całe Pine Cove tętniło już świąteczną radością. Wszystkie pokoje hotelowe były zajęte i nie dało się znaleźć wolnego miejsca parkingowego przy Cypress Street, gdzie klienci napawali się szczęściem. Nie była to szorstka komercja gwiazdki w Los Angeles czy San Francisco. To była wytworna, szczerza komercja małomiasteczkowej Nowej Anglii, gdzie przed stuleciem Norman Rockwell wymyślił Boże Narodzenie. Był w tym autentyzm. Ale Dale tego nie rozumiał.

– Wesołych, spokojnych... a, goń się, gnojku – wyzłośliwiał się zza przyciemnianych szyb.

Właściwie świąteczny urok miasteczka stanowił dla mieszkańców Pine Cove zagadkę. Nie dałoby się go nazwać zimową krainą czarów. Średnia temperatura wynosiła zimą osiemnaście stopni i tylko kilkoro bardzo starych ludzi pamiętało, że kiedyś padał śnieg. Nie można było go również nazwać tropikalną oazą. Pine Cove leżało nad oceanem z diabelsko zimną wodą o średniej widoczności wynoszącej czterdzieści pięć centymetrów i z dużą kolonią słoni morskich na brzegu. Przez całą zimę tysiące pulchnych płetwonogów zalegały plaże Pine Cove niczym wielkie, szczekające kupy łajna. I choć same w sobie nie stwarzały zagrożenia, stanowiły podstawę diety żarłaczy białych, które po stu dwudziestu milionach lat ewolucji stały się doskonałą wymówką dla ludzi, by nigdy nie wchodzić do wody głębszej niż do kostek. Jeśli zatem nie chodziło o pogodę ani o wodę, to o co, u diabła? Może o sosny. Choinki.

– Moje drzewa, do cholery – mruknął pod nosem Dale.

Pine Cove leżało w ostatnim naturalnym lesie sosen kalifornijskich na świecie. Ponieważ tempo ich wzrostu dochodzi do sześciu metrów rocznie, właśnie sosny kalifornijskie najczęściej uprawia się jako świąteczne choinki. Miało to dobrą stronę –

można było iść na dowolną niezabudowaną parcelę w miasteczku i ściąć sobie bardzo efektowną choinkę. Złą stroną był fakt, że takie działanie stanowiło przestępstwo, jeśli nie uzyskało się zezwolenia i nie zasadziło w zamian pięciu nowych drzewek. Sosny kalifornijskie to gatunek chroniony, o czym mógł zaświadczyć każdy miejscowy budowniczy – gdy ściął parę drzew, by postawić dom, musiał posadzić w zamian cały las.

Kombi z choinką umocowaną na dachu zaczęło cofać przed pickupem Dale'a.

– Zabieraj ten szajs z mojej ulicy – warknął Dale. – I życzę wesołych świąt, łajzy – dodał, zgodnie z atmosferą chwili.

Dale Pearson, raczej wbrew swojej woli, stał się Johnnym Appleseedem choinek, zasadził bowiem dziesiątki tysięcy drzewek, by zastąpić tysiące sosen, które kazał ściąć pitą łańcuchową, by zbudować rzędy domów szeregowych na wzgórzach Pine Cove. Ale kiedy ustanowiono prawo, że nowe drzewa należy sadzić w obrębie Pine Cove, nie oznaczało to, że muszą się one znaleźć w pobliżu miejsca, gdzie dokonano wyrębu. A zatem Dale sadził wszystkie drzewa wokół cmentarza przy starej Kaplicy Świętej Róży. Już wiele lat temu kupił ziemię, cztery hektary, w nadziei że ją podzieli i zbuduje luksusowe domy, ale jacyś natrętni hipisi z Kalifornijskiego Towarzystwa Historycznego wkroczyli do akcji i doprowadzili do uznania starej kaplicy za zabytek, co uniemożliwiło mu zabudowanie parceli. Tak więc jego brygady budowlane sadziły sosny kalifornijskie w równych rzędach, nie myśląc o naturalnym układzie lasu, aż drzewa porosły teren wokół kaplicy tak gęsto, jak pióra ptasi grzbiet. Przez cztery ostatnie lata w przedświątecznym tygodniu ktoś podjeżdżał na ziemię Dale'a i wykopywał całe ciężarówki żywych sosen. Pearson miał już dosyć użerania się z administracją w sprawie konieczności zastąpienia ich nowymi. Miał gdzieś drzewa, ale każdy dostałby cholery, gdyby ktoś raz po raz nasyłał na niego służby administracyjne. Wypełnił powinność wobec kumpli z Caribou, wręczając żartobliwe prezenty im i ich żonom, a teraz zamierzał złapać złodzieja. W tym roku gwiazdkowym prezentem dla niego będzie odrobina sprawiedliwości. Tylko tego chciał – po prostu odrobiny sprawiedliwości.

Wesoły, stary elf skręcił z Cypress Street i pojechał pod górę w stronę kaplicy, poklepując trzydziestkę ósemkę, którą wsunął za szeroki, czarny pas.

Lena wciągnęła drugą choinkę na tył swojego pickupa toyoty i wsunęła ją w jedną z czterdziestolitrowych cedrowych skrzyń, które sama zrobiła tylko w tym celu.

Spółeczny margines miał w tym roku dostać zaledwie studwudziestocentymetrowe choinki – może na każdą skrzynię trafi się jedna wyższa. Od października deszcz padał tylko raz, więc wykopanie dwóch drzewek z twardej, suchej ziemi zajęło jej prawie półtorej godziny. Chciała, żeby ludzie mieli prawdziwe choinki, ale gdyby zdecydowała się na te dwumetrowe, musiałyby harować całą noc, a i tak miałyby ich ledwie kilka. To jest prawdziwa praca, pomyślała. W dzień zarządzała nieruchomościami na wakacyjny wynajem u miejscowego pośrednika i w sezonie spędzała w biurze czasem po dziesięć czy dwanaście godzin dziennie, zdawała sobie jednak sprawę, że spędzone godziny i prawdziwa praca to dwie zupełnie różne rzeczy. Docierało to do niej co roku, gdy tu przyjeżdżała i zaczynała machać jaskrawoczerwoną łopata.

Po twarzy ściekał jej pot. Wierzchem irchowej rękawicy roboczej odgarnęła włosy z oczu, zostawiając na czole brudną smugę. Zrzuciła flanelową koszulę, która miała ją chronić przed nocnym chłodem, i pracowała w ciasnej, czarnej bluzce i oliwkowych bojówkach. Z czerwoną łopata w rękach wyglądała na skraju lasu jak jakiś bożonarodzeniowy komandos.

Zatopiła łopata w sosnowym igliwiu w niewielkiej odległości od pnia następnego drzewa, które obrała sobie za cel, podskakując raz po raz, aż narzędzie weszło w ziemię po sam trzonek. Oparła się o łopata, próbując podważyć leśne poszycie, gdy jasny blask reflektorów omiół skraj lasu, po czym dwa snopy światła zatrzymały się na samochodzie Leny.

Nie ma się czym przejmować, pomyślała. Nie będę się chować, nie będę się kulić. W końcu nie robiła nic złego. Naprawdę. Jasne, formalnie rzecz biorąc, kradła i łamała parę zarządzeń w kwestii wyrębu sosen kalifornijskich – ale tak naprawdę nie prowadziła wyrębu, prawda? A poza tym... rozdawała je biednym. Była jak Robin Hood. Nikt nie zadzierał z Robin Hoodem. Mimo wszystko uśmiechnęła się do reflektorów i wzruszyła ramionami w geście typu „oho, zdaje się, że wpadłam” – miała nadzieję, że wyglądało to uroczo. Osłoniła oczy dłonią i mrużąc je, próbowała zobaczyć, kto siedzi za kierownicą półciężarówki. Tak, miała pewność, że to półciężarówka.

Silnik zgasł. Lenę ogarnęły lekkie mdłości, gdy dotarło do niej, że to diesel. Drzwi samochodu otworzyły się i gdy zabłysła lampka w środku, Lena przez chwilę widziała za kierownicą kogoś w czerwono-białej czapce.

Hę?

Z oślepiającego światła wyszedł ku niej Mikołaj. Mikołaj z latarką. A co tkwiło za pasem Mikołaja? Mikołaj miał pistolet.

– Do licha, Lena, mogłem się domyślić, że to ty – powiedział.

Josh Barker wpadł w poważne tarapaty. Naprawdę poważne. Miał tylko siedem lat, ale był niemal pewien, że zrujnował sobie życie. Pognał przez Church Street, zastanawiając się, jak się będzie tłumaczył przed mamą. Półtorej godziny spóźnienia. Powrót do domu po zmroku. I nie zadzwonił. A do Gwiazdki zostało tylko parę dni. Co tam tłumaczenia przed mamą – jak wyjaśni to Mikołajowi?

Mikołaj mógł go jednak zrozumieć, bo znał się na zabawkach. Ale mama nigdy mu tego nie kupi. Grał w Wielką Krucjatę Barbarzyńcy George’a na PlayStation w domu swojego kumpla Sama. Wkroczyli na ziemię niewiernych i zabili tysiące wrogów, ale z tej gry po prostu nie dano się wyjść. Tak ją zaprojektowano, i zanim człowiek się zorientował, na dworze robiło się ciemno. Zapomniał i po prostu zmarnował sobie święta. Chciał dostać Xboxa 2, ale nie było szans, że Mikołaj mu go przyniesie, skoro na liście będzie stało jak wół, że „wrócił do domu po zmroku” i „nawet nie raczył zadzwonić”. Sam podsumował sytuację Josha, gdy wyprowadził go za drzwi i spojrzał na nocne niebo:

– Stary, masz przesrane.

– Nie ja mam przesrane, tylko ty – odparł Josh.

– Wcale nie – zaproponował Sam. – Jestem żydem. Zero Mikołaja. Nie mamy Bożego Narodzenia.

– No to naprawdę masz przesrane.

– Zamknij się, nie mam przesrane. – Gdy Sam wypowiadał te słowa i Josh usłyszał, jak dreidel kumpla stuka o inhalator przeciwko astmie. Tamten wyglądał, jakby naprawdę miał przesrane.

– No dobra, nie masz przesrane – zgodził się Josh. – Przepraszam, lepiej już pójde.

– Tak – powiedział Sam.

– Tak – powtórzył Josh, zdając sobie sprawę, że im więcej czasu zajmie mu powrót do domu, tym bardziej będzie miał przesrane.

Gdy gnał przez Church Street w kierunku domu, pomyślał, że może jednak spotka go niespodziewana łaska, na skraju lasu bowiem ujrzał Mikołaja we własnej osobie. I choć Mikołaj wydawał się dość wkurzony, jego gniew był wymierzony w kobietę stojącą

po kolana w wykopanym dole z czerwoną łopata w rękach. Mikołaj trzymał w dłoni ciężką, czarną latarkę Maglite, którą świecił kobiecie w oczy, jednocześnie na nią wrzeszcząc.

– To moje drzewa! Moje, do cholery! – krzyczał.

Aha! – pomyślał Josh. „Cholera” nie jest słowem na tyle brzydkim, by trafić za nie na listę niegrzecznych dzieci, skoro używa go sam Mikołaj. Kiedyś powiedział o tym mamie, ona jednak upierała się, że jest inaczej.

– Biorę tylko kilka – powiedziała kobieta. – Dla ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na choinkę. Nie możesz odmówić czegoś tak prostego kilku biednym rodzinom.

– Takiego chuja, nie mogę!

Josh był pewien, że za słowo na „ch” trafiało się na listę. Był wstrząśnięty. Mikołaj podsunął latarkę pod oczy kobiety. Odepchnęła ją na bok.

– Słuchaj – powiedziała. – Wezmę jeszcze tę ostatnią i jadę.

– Nie. – Znów niemal wepchnął jej latarkę w twarz, gdy jednak tym razem odsunęła jego rękę, walnął ją w głowę.

– Au!

To na pewno bolało. Josh słyszał, jak po tym uderzeniu dzwonię zębów kobiety rozchodzi się po całej ulicy. Mikołaj był najwyraźniej bardzo przywiązany do choinek.

Kobieta posłużyła się łopata, by ponownie odepchnąć latarkę. Mikołaj znów ją walnął, tym razem mocniej, aż zawyła i opadła na kolana w wykopanej dziurze. Mikołaj sięgnął do szerokiego, czarnego pasa, wyciągnął pistolet i wycelował w kobietę. Wstała i szeroko zamachnęła się łopata. Ostrze uderzyło Mikołaja w bok głowy z tęnym, metalicznym odgłosem. Mikołaj zachwiał się i znowu uniósł broń. Kobieta ukucnęła i zasłoniła głowę, trzymając łopatę pod pachą ostrzem do góry. Przy celowaniu Mikołaj stracił równowagę i poleciał w przód, na wzniesioną łopatę, która wbiła mu się pod brodę i nagle ta broda stała się równie czerwona, jak cały jego strój. Upuścił pistolet i łopatę, zacharczał i upadł, znikając Joshowi z oczu.

Chłopak niemal nie słyszał krzyku kobiety, gdy pędził do domu. Tętno dzwięczało mu w uszach niczym dzwonki sań. Mikołaj nie żył. Boże Narodzenie zostało unicestwione. A on miał przesrane.

A skoro o sraniu mowa, trzy przecznice dalej Tucker Case zasuwiał przez Worcester Street. Za pomocą szybkiego marszu z potężnym obciążeniem w postaci żalu

nad sobą chciał spalić kiepskie barowe jedzenie, które spożył na obiad. Był po czterdziestce, szczupły, jasnowłosy i opalony – wyglądał jak podstarzały surfer albo zawodowy golfista w sile wieku. Piętnaście metrów nad nim olbrzymi nietoperz owocożerny frunął między koronami drzew, bezgłośnie uderzając skórzastymi skrzydłami nocne powietrze. Dzięki temu może niezauważony wcinać brzoskwinie i inne takie, pomyślał Tuck.

– Roberto, zrób swoje i wracajmy do hotelu! – zawołał, unosząc głowę.

Nietoperz szczechnął i zaczepił o gałąź. Z rozpędu niemal zatoczył pętlę, po czym zakolysał się i zamarł do góry nogami. Znowu szczechnął, oblizwał wąskie, psie wargi i owinał się skrzydłami, by się ochronić przed nadmorskim chłodem.

– Dobra – powiedział Tuck – ale nie wrócisz do pokoju, dopóki nie zrobisz kupy.

Odziedziczył nietoperza po filipińskim pilocie, którego poznał, gdy pilotował prywatny odrzutowiec lekarza z Mikronezji; podjął tę pracę tylko dlatego, że odebrano mu amerykańską licencję pilota po tym, jak rozbił różowy samolot firmy Mary Jean Cosmetic, próbując wprowadzić pewną młodą kobietę do klubu Mile High. Po pijanemu. Po Mikronezji przeniósł się na Karaiby ze swoim nietoperzem i nową, piękną, wyspiarską żoną, by założyć firmę czarterową. Teraz, sześć lat później jego piękna wyspiarska żona prowadziła firmę czarterową z dwumetrowym rastafarianinem, a Tucker Case nie miał nic z wyjątkiem nietoperza owocożernego i tymczasowej fuchy, polegającej na pilotowaniu śmigłowców dla Agencji Antynarkotykowej i wypatrywaniu poletek marihuany na dzikim obszarze Big Sur. Tak znalazł się w Pine Cove, w tanim motelu, na cztery dni przed Bożym Narodzeniem, sam. Samotny. Miał przesrane.

Tuck był kiedyś kobieciarzem pierwszej wody – Don Juanem, Casanovą, Kennedym bez forsy – a jednak teraz trafił do miasteczka, gdzie nikogo nie znał i nie spotkał ani jednej samotnej kobiety, którą mógłby uwieść. Kilka lat małżeństwa niemal zupełnie go zrujnowało. Przyzwyczyił się do czulej kobiecej obecności ze sporą dawką manipulacji, podstępów i przebiegłości. Tęsknił za tym. Nie chciał spędzać Bożego Narodzenia samotnie, do cholery! A jednak na to mu przyszło.

A oto ona. Kobieta w potrzebie. Sama, nocą, zapłakana – i z tego, co widział w świetle reflektorów stojącego w pobliżu pickupa, całkiem ładnych kształtów. Wspaniałe włosy. Piękne, wypukłe kości policzkowe, poznaczone błotem i smugami łez, ale, no wiecie, egzotyczne. Tuck sprawdził, czy Roberto dalej bezpiecznie wisi w górze, po czym

wyglądził lotniczą kurtkę i ruszył na drugą stronę ulicy.

– Hej, wszystko w porządku?

Kobieta podskoczyła, krzyknęła niezbyt głośno, rozejrzała się gorączkowo i w końcu go zobaczyła.

– O, Boże – powiedziała.

Zdarzały mu się już gorsze reakcje. Nie ustępował.

– Wszystko w porządku? – powtórzył. – Odniosłem wrażenie, że ma pani jakiś kłopot.

– Zdaje się, że nie żyje – odparła. – Chyba... chyba go zabiłam.

Tuck spojrział na czerwono-biały kłęb pod nogami i dopiero teraz zauważył, co to takiego: martwy Mikołaj. Normalny człowiek mógłby się wystraszyć i cofnąć, usiłując jak najszybciej wyrwać się z tej sytuacji, ale Tucker Case był pilotem, szkolonym by działać w sytuacjach zagrożenia życia, potrafiącym z wdziękiem radzić sobie z presją. Poza tym czuł się samotny, a babka była naprawdę ekstra.

– Aha, martwy Mikołaj – stwierdził Tuck. – Mieszka pani w pobliżu?

– Nie chciałam go zabić. Szedł na mnie z pistoletem. Po prostu się uchyliłam, a kiedy spojrzałam w górę... – Machnęła ręką w kierunku przypominającego świąteczne ciasto trupa. – Pewnie dostał łopatą w szyję. – Najwyraźniej trochę się uspokoiła.

Tuck pokiwał z namysłem głową.

– Czyli Mikołaj ruszył na panią z pistoletem?

Kobieta wskazała broń leżącą na ziemi obok latarki.

– Rozumiem – powiedział Tuck. – Znała pani tego...

– Tak. Nazywał się Dale Pearson. Dużo pił.

– Ja nie piję. Przestałem wiele lat temu – oznajmił Tuck. – A przy okazji, nazywam się Tucker Case. – Jest pani mężatką? – Wyciągnął do niej rękę.

Popatrzyła na niego, zaskoczona.

– Lena Marquez. Nie, rozwiodłam się.

– Ja też – powiedział Tuck. – Ciężko tak w święta, nie? Dzieci?

– Nie. Panie, eee, Case, ten człowiek to mój były mąż. Nie żyje.

– Taa. Ja dałem swojej eks dom i firmę, ale to rozwiązanie wydaje się tańsze.

– Pokłóciliśmy się wczoraj przy sklepie spożywczym w obecności dziesiątków ludzi. Miałam motyw, okazję i narzędzie... – Wskazała na łopatę. – Wszyscy pomyślą, że

to ja go zabiłam.

– Nie wspominając o tym, że faktycznie go pani zabiła.

– Myśli pan, że media się do tego przyczepią? To moja łopata sterczy z jego szyi.

– Może zdoła pani zetrzeć swoje odciski i takie tam. Nie zostawiła pani na nim żadnego DNA, prawda?

Pociągnęła za przód swojej bluzki i zaczęła gładzić trzonek łopaty.

– DNA? Na przykład?

– No, wie pani, włosy, krew, spermę? Nic z tych rzeczy?

– Nie. – Wściekle tarła trzonek bluzką, uważając, by za bardzo nie zbliżyć się do wbitej w trupa końcówki. O dziwo, Tuckowi ta czynność wydała się lekko erotyczna.

– Pewnie starła pani odciski, ale trochę martwi mnie pani imię wypisane markerem na trzonku. To mogłoby wszystko zdradzić.

– Ludzie nigdy nie oddają narzędzi ogrodowych, jeśli się ich nie podpisze – wyjaśniła Lena. Potem znowu zaczęła płakać. – O, Boże, zabiłam go.

Tuck stanął przy niej i otoczył ją ramieniem.

– Hej, hej, hej, nie jest tak źle. Przynajmniej nie ma pani dzieci, którym trzeba to tłumaczyć.

– I co ja zrobię? Moje życie się skończyło.

– Proszę tak nie mówić. – Tuck starał się przybrać wesoły ton. – Proszę, ma tu pani doskonałą łopatę, a dół ma odpowiednią głębokość. Może zakopimy Mikołaja, trochę tu posprzątamy, a potem zabiorę panią na kolację. – Uśmiechnął się.

Podniosła na niego wzrok.

– Kim pan jest?

– Po prostu miłym facetem, który chce pomóc kobiecie w potrzebie.

– I chce mnie pan zabrać na kolację? – Wydawało się, że doznała szoku.

– Nie w tej chwili. Kiedy już wszystko będziemy mieli pod kontrolą.

– Właśnie zabiłam człowieka.

– Tak, ale nie celowo, prawda?

– Człowiek, którego kiedyś kochałam, nie żyje.

– Cholerna szkoda – stwierdził Tuck. – Lubi pani włoską kuchnię?

Cofnęła się i omiotła go spojrzeniem od stóp do głów, zwracając szczególną uwagę na prawe ramię jego lotniczej kurtki, gdzie brązowa skóra była podrapana tak mocno, że

wyglądała jak zamsz.

– Co się stało z pańską kurtką?

– Mój nietoperz lubi się na mnie wspinać.

– Pański nietoperz?

– Widzi pani, nie da się przejść przez życie, nie zbierając po drodze bagażu, prawda? – Skinął głową w kierunku zwłok, by zabrzmiało to jaśniej. – Wyjaśnię to przy kolacji.

Lena pokiwała głową.

– Trzeba będzie ukryć jego samochód.

– Oczywiście.

– No dobra – powiedziała. – Czy mógłby pan wyciągnąć łopatę... och, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Mam ją – stwierdził Tuck, wskakując do dołu i wysuwając narzędzie z szyi Mikołaja. – Nazwijmy to prezentem gwiazdkowym.

Zdjął kurtkę i zaczął kopać w twardej ziemi. Czuł się lekki, nieco oszołomiony i podekscytowany, że nie będzie musiał znowu spędzać świąt sam na sam z nietoperzem.

Rozdział 4

ZRÓB SOBIE NIEGRZECZNE ŚWIĘTA

Josh starł łzy z twarzy, wziął głęboki wdech i ruszył do swojego domu. Wciąż się trząsał po tym, jak zobaczył Mikołaja obrywającego łopatą w szyję, ale teraz przyszło mu do głowy, że to może nie wystarczyć, by wyciągnąć go z kłopotów. Pierwsze pytanie mamy po jego powrocie będzie brzmiało: „No, co robiłeś tak późno poza domem?”. A głupi Brian, który nie jest prawdziwym tatą Josha, tylko głupim chłopakiem mamy, powie: „Aha, Mikołaj pewnie by jeszcze żył, gdybyś nie siedział tak długo u Sama”. A zatem, stając przed progiem, postanowił wejść do domu w stanie całkowitej hysterii. Zaczął ciężko oddychać, zmusił się od łez, zaszlochał, z potem otworzył drzwi, ogłuszająco pociągając nosem. Upadł na wycieraczkę, po czym zawył jak syrena wozu strażackiego. I nic się nie stało. Nikt się nie odezwał słowem. Nikt nie przybiegł, ile sił w nogach.

Josh wczuł się do salonu, ciągnąc za sobą po dywanie pasemko śliny zwisające z dolnej wargi i niewyraźnie wołając: „Mamo”. Wiedział, że to ją całkowicie rozbroi i nakręci do bronienia przed głupim Brianem, którego nie ochroni żadna manipulacja. Ale nikt go nie zawołał, nikt nie przybiegł, a głupi Brian nie leżał wyciągnięty na kanapie, jak przystało na takiego leniwego śpiocha.

Josh uspokoił się.

– Mamo? – W jego głosie był tylko ślad szlochu, którym gotów był znowu wybuchnąć, gdy usłyszy odpowiedź. Poszedł do kuchni, gdzie błyskała dioda na automatycznej sekretarce mamy. Chłopiec otarł nos rękawem i nacisnął guzik.

– Cześć, Joshy – powiedziała mama swoim wesołym, przemęczonym głosem. – Brian i ja musieliśmy wyjść z klientami do restauracji. W lodówce jest hamburger z serem od Stouffersa. Powinniśmy wrócić przed ósmą. Zadzwoń do mnie na komórkę, gdybyś się czegoś bał.

Josh nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Spojrzał na zegar na mikrofalówce. Dopiero wpół do ósmej. Doskonale! Uwolniony niczym magiczny elf. Tak! Głupi Brian zorganizował biznesową kolację. Josh wyjął hamburgera z lodówki, włożył go razem z pudełkiem do mikrofalówki i włączył urządzenie na zaprogramowany czas. Wcale nie

trzeba było ściągać folii, tak jak mówili. Jeśli trzymało się hamburgera w pudełku, karton uniemożliwiał jego eksplozję. Josh nie rozumiał, czemu nie napisali o tym w instrukcji. Wrócił do salonu, włączył telewizor i rozwalił się na podłodze, czekając, aż kuchenka zapiszczy.

Pomyślał, że może powinien zadzwonić do Sama. Opowiedzieć mu o Mikołaju. Ale Sam nie wierzył w Mikołaja. Mówił, że goje wymyślili go sobie na pocieszenie, że nie mają menory. Była to bzdura, ma się rozumieć. Goje (żydowskie określenie dziewczyn i chłopców, jak wyjaśnił Sam) nie chcieli menory. Chcieli zabawek. Sam mówił tak, bo był wściekły, że zamiast urządzać Boże Narodzenie, odcięli mu końcówkę siusiaka i powiedzieli „mazeltow”.

- Kurczę, kiepsko być tobą – współczuł Samowi Josh.
- Jesteśmy narodem wybranym – oznajmił kumpel.
- Ale nie do piłki.
- Zamknij się.
- Nie, ty się zamknij.
- Nie, ty się zamknij.

Sam był najlepszym przyjacielem Josha i rozumieli się nawzajem, ale czy Sam wiedziałby, co robić w sprawie zabójstwa? Zwłaszcza zabójstwa kogoś ważnego? W takich sytuacjach należało iść do kogoś dorosłego – Josh był tego najzupełniej pewien. Pożar, ranny kolega, zły dotyk – powinieneś powiedzieć o tym dorosłemu, rodzicowi, nauczycielowi albo policjantowi i nikt się na ciebie nie będzie gniewał. (Ale jeśli przyłapałeś chłopaka mamy na tym, jak w garażu puszcza i podpala potężne baki po hot dogach i piwie, policja nie zechce nic o tym wiedzieć. Josh boleśnie się o tym przekonał). Zaczęły się reklamy, a hamburger z serem nadal surfował po mikrofalach, chłopiec rozważał więc telefon pod 911 albo modlitwę i po chwili zdecydował się na modlitwę. Podobnie jak w wypadku telefonu pod 911, nie należało się modlić w pierwszej lepszej sprawie. Boga nie obchodziło na przykład, że nie możesz przeprowadzić swojego kangura przez piąty poziom na PlayStation, a jeśli poprosiłeś o pomoc przy czymś takim, istniała spora szansa, że zignoruje cię, kiedy naprawdę będziesz potrzebował Jego interwencji, na przykład w razie dyktanda albo nowotworu mamy. Josh tłumaczył sobie, że to coś w rodzaju minut do wykorzystania w telefonie komórkowym, jednakże obecna sytuacja wyglądała na nadzwyczajną.

– Ojciec nasz w Niebiosach – zaczął chłopiec. Nigdy nie należało używać imienia Boga, to było jakieś przykazanie czy coś. – Mówi Josh Barker, Worchester Street 671, Pine Cove, Kalifornia 93754. Widziałem dzisiaj Świętego Mikołaja. To wspaniale i dziękuję Ci, ale chwilę potem zginął od łopaty, dlatego obawiam się, że nie będzie żadnych świąt, a ja byłem grzeczny, o czym na pewno się przekonasz, jeśli zerkniesz na listę Mikołaja. Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, czy mógłbyś przywrócić Mikołaja do życia i załatwić, żeby na święta wszystko było w porządku? – Nie, nie, nie, to brzmiało bardzo samolubnie. Szybko zatem dodał: – I życzę szczęśliwej Chanuki Tobie i wszystkim żydom, takim jak Sam i jego rodzina. Mazełtow.

Już, doskonale. Poczul się znacznie lepiej. Mikrofalówka zapiszczała i Josh pobiegł do kuchni, gdzie wpadł prosto na nogi bardzo wysokiego mężczyzny w długim czarnym płaszczu, stojącego przy blacie. Chłopiec krzyknął, a mężczyzna złapał go za ramiona i podniósł. Obejrzał go niczym jakiś klejnot albo nadzwyczaj smaczny deser. Josh wierzgał i się wił, ale blondyn trzymał go mocno.

– Jesteś dzieckiem – stwierdził.

Josh przestał na chwilę wierzgać i popatrzył w niesamowicie niebieskie oczy nieznanego, który teraz obserwował go mniej więcej tak, jak niedźwiedź, który ogląda przenośny telewizor i zastanawia się, jak wydobyć ze środka te smakowite ludziki.

– No, taa – powiedział Josh.

Choinka szerokim łukiem skręciła w lewo w Cypress Street. Uznając, że to nieco podejrzane, posterunkowy Theophilus Crowe pojechał za nią, jednocześnie wyciągając ze schowka na rękawiczki w swoim volvo niebieskiego koguta i stawiając go na dachu. Theo był niemal pewien, że gdzieś pod choinką znajduje się pojazd, teraz jednak widział tylko tylne światła przeświecające przez gałęzie. Gdy podążał za drzewem przez Cypress Street, mijając budkę z hamburgerami i sklep „Przynęty, Sprzęt Wędkarski i Dobre Wina u Brine’a”, szyszka rozmiarów dziecięcej piłki futbolowej oderwała się od gałęzi i potoczyła na skraj jezdni, odbijając się i uderzając w dystrybutor paliwa.

Theo na chwilę włączył syrenę, która wydała z siebie krótkie ćwierknięcie, uznał bowiem, że powinien to zatrzymać, zanim komuś stanie się krzywda. Niemożliwe, by kierowca pojazdu pod drzewem wyraźnie widział drogę. Drzewo jechało pniem naprzód, a zatem najszersze i najgęstsze gałęzie zakrywały przód samochodu. Opony drzewa zapiszczały przy redukcji. Pojazd zgasił światła i z piskiem skręcił w Worchester Street,

zostawiając za sobą toczące się szyszki i pachnące igliwem spaliny.

W normalnych okolicznościach, gdyby podejrzany próbował uciec przed Theo, ten natychmiast zadzwoniłby do szeryfa, w nadziei że jakiś przebywający w okolicy zastępca da mu wsparcie. Ale niech go cholera, gdyby miał zadzwonić i powiedzieć, że prowadzi pościg za zbiegłą choinką! Włączył syrenę na maksa i ruszył pod górę za uciekającym drzewem iglastym. Po raz pięćdziesiąty tego dnia przyszło mu na myśl, że życie wydawało się o wiele prostsze, kiedy palił trawkę.

– To ci dopiero niecodzienny widok – powiedział Tucker Case, siedząc przy stoliku przy oknie w „H.P.” i czekając na Lenę, która poszła się odświeżyć do toalety. „H.P.” – połączenie stylu pseudotudorowskiego i rustykalnej kuchni – było najpopularniejszą restauracją w Pine Cove i dzisiaj panował tu tłok.

Ładna ruda kelnerka po czterdziestce podniosła wzrok znad tacy z drinkami i stwierdziła:

– Tak, Theo rzadko kogoś ściga.

– To volvo gonilo sosnę – powiedział Tuck.

– Możliwe – odparła kelnerka, – Theo sporo kiedyś ćpał.

– Nie, naprawdę... – próbował wyjaśnić Tuck, ale ona ruszyła już z powrotem do kuchni.

Lena wróciła do stolika. Wciąż miała na sobie czarną bluzkę i rozpiętą flanelową koszulę, zmyła jednak z twarzy smugi błota i uczesała ciemne włosy. Zdaniem Tucka wyglądała jak seksowna, ale twarda indiańska przewodniczka w filmach, która zawsze prowadzi grupę ciapowatych biznesmenów w leśną głuszę, gdzie atakują ich wściekli robole, niedźwiedzie, które zmutowały od fosforanów w proszkach do prania, albo stare, pełne pretensji indiańskie duchy.

– Wyglądasz świetnie – powiedział Tuck. – Jesteś rdzenną Amerykanką?

– O co chodziło z tą syreną? – spytała, siadając naprzeciwko.

– Nic. Coś na ulicy.

– To jest takie złe. – Rozejrzała się dookoła, jakby wszyscy wiedzieli, jak bardzo złe.

– Nie, dobre – odparł z szerokim uśmiechem Tuck, starając się, by jego niebieskie oczy zabłyszczały w blasku świec, zapomniał jednak, gdzie znajdują się mięśnie, odpowiadające za błysk w oku. – Zjemy cos dobrego, lepiej się poznamy...

Pochyliła się nad stołem i szepnęła surowo:

– Tam jest martwy człowiek. Człowiek, który był moim mężem.

– Cii, cii, cii. – Tuck delikatnie przyłożył palec do jej warg, starając się, by jego głos zabrzmiał pocieszająco i trochę po europejsku. – To nie pora, by o tym rozmawiać, moja słodka.

Złapała jego palec i odciągnęła go.

– Nie wiem co robić.

Tuck przekręcił się na krześle i odchylił, by ulżyć swojemu palcowi, wygiętemu pod nienaturalnym kątem.

– Przystawkę? – zaproponował. – Może sałatkę?

Lena puściła go i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie mogę tego zrobić.

– Czego? To tylko kolacja – powiedział Tuck. – Na nic nie naciskam.

Tak naprawdę nieczęsto chadzał na randki. Poznawał i uwodził wiele kobiet, ale nigdy nie wymagało to serii wieczorów z kolacją i rozmową, zazwyczaj wystarczyło parę drinków i odrobina wulgarności w holu lotniskowego hotelu. Czuł, że nadeszła pora, by zaczął zachowywać się jak dorosły: powinien poznać kobietę, zanim pójdzie z nią do łóżka. Jego terapeutka podsunęła mu takie rozwiązanie tuż przed tym, jak przestał być jej pacjentem, a tuż po tym, jak próbował ją uwieść. Z doświadczenia wiedział, że to nie będzie proste. Lepiej szło mu z kobietami, zanim go poznały, kiedy jeszcze pokładały w nim nadzieję i dostrzegały potencjał.

– Dopiero pochowaliśmy mojego eksmeża – powiedziała Lena.

– Jasne, jasne, ale potem zawieźliśmy choinki biednym. Przyda się odpowiednia perspektywa, prawda? Wielu ludzi pochowało swoich małżonków.

– Nie osobiście. Nie za pomocą łopaty, którą ich zabili.

– Chyba powinnaś się trochę uspokoić. – Tuck zerknął na gości przy sąsiednich stolikach, by sprawdzić, czy nie słuchają, ale najwyraźniej wszyscy rozprawiali o sośnie, która niedawno przejechała obok. – Porozmawiajmy o czymś innym. Zainteresowania? Hobby? Filmy?

Lena odrzuciła głowę w tył, jakby nie dosłyszała, a potem posłała mu spojrzenie, mówiące: „Zwariowałaś?”.

– No, ja na przykład – ciągnął – wczoraj wieczorem wypożyczyłem bardzo dziwny

film. Wiedziałaś, że Dziewczęta w Krainie Zabawek to film o Bożym Narodzeniu?

– Oczywiście, a myślałeś, że o czym?

– No, myślałem, tego... teraz twoja kolej. Jaki jest twój ulubiony film?

Lena pochyliła się i spojrzała mu w oczy, by się przekonać, czy przypadkiem nie żartuje. Tuck zatrzepotał powiekami i starał się wyglądać niewinnie.

– Kim jesteś? – spytała w końcu.

– Już mówiłem.

– Ale co z tobą? Nie powinieneś być taki... taki spokojny, kiedy ja jestem kłębkim nerwów. Robiłeś już wcześniej coś podobnego?

– Jasne. Żartujesz sobie? Jestem pilotem. Jadałem w restauracjach na całym świecie.

– Nie chodzi mi o kolację, idioto! Wiem, że jadłeś już kiedyś kolację! Co ty, niedorozwinięty jesteś?

– Dobra, teraz już wszyscy na nas patrzą. Nie można ot, tak sobie, publicznie mówić „niedorozwinięty”. Ludzie się obrażają bo, widzisz, wielu zalicza się do tej grupy. Należy mówić „zdolny inaczej”.

Lena wstała i rzuciła serwetkę na stół.

– Tucker, dziękuję ci za pomoc, ale nie mogę tego zrobić. Porozmawiam z policją. Odwróciła się i ruszyła przez restaurację w stronę drzwi.

– Wróćmy! – zawołał Tuck do kelnerki. Skinął głową w kierunku pobliskich stolików. – Przepraszam. Jest trochę zdenerwowana. Nie chciała powiedzieć „niedorozwinięty”. – Następnie poszedł za Leną, po drodze zabierając skórzaną kurtkę z oparcia krzesła.

Dogonił ją, gdy skręcała za róg budynku na parking. Złapał ją za ramię i obrócił tak, by widziała, że się uśmiecha. Mrugające lampki choinkowe rzucały czerwone i zielone rozbłyski na jej czarne włosy, przez co jej wykrzywiona twarz nabrała świątecznego wyglądu.

– Zostaw mnie w spokoju, Tucker. Idę na policję. Wyjaśnię, że to był tylko wypadek.

– Nie. Nie pozwolę ci. Nie możesz.

– Dlaczego?

– Bo jestem twoim alibi.

– Jeśli oddam się w ręce policji, nie będzie mi potrzebne alibi.

– Wiem. – No i?

– Chcę spędzić z tobą Boże Narodzenie.

Lena złagodniała, jej oczy otworzyły się szeroko, a w jednym zalśniła łza.

– Naprawdę?

– Naprawdę? – Tuck czuł się trochę nieswojo z tą szczerością.

Stał w tej dziwnej pozycji, tak, jakby ktoś rozlał mu gorącą kawę na kolana i jakby Tuck starał się, by spodnie nie dotknęły jego skóry.

Lena wyciągnęła ręce, a on wszedł pomiędzy nie, prowadząc jej dłonie na swoje żebra pod kurtką. Oparł policzek na jej włosach i wciągnął powietrze, ciesząc się zapachem szamponu i resztką sosnowej woni, pozostałej po noszeniu choinek. Nie pachniała jak morderczyni. Pachniała jak kobieta.

– Dobra – szepnęła. – Nie wiem, kim jesteś, Tuckerze Case, ale chyba też chciałabym spędzić z tobą Boże Narodzenie.

Przytuliła twarz do jego piersi i trzymała go do chwili, gdy rozległo się uderzenie o jego plecy, a następnie głośnie skrobanie o kurtkę. Odepchnęła go w chwili, gdy nietoperz owocożerny wychylił swój psi pyszczek nad ramieniem pilota i szczeknął. Lena odskoczyła i krzyknęła niczym króliczek w mikserze.

– Co to, do diabła, jest? – pytała, cofając się.

– Roberto – odparł Tuck. – Mówiłem ci o nim już wcześniej.

– To jest zbyt pokręcone. Zbyt pokręcone – powtarzała Lena, chodząc w kółko i co kilka sekund zerkając na Tucka i jego nietoperza. – On nosi okulary przeciwsłoneczne.

– Tak, i nie myśl, że łatwo znaleźć Ray-Bany w średnim rozmiarze na nietoperza.

Tymczasem przy Kaplicy Świętej Róży posterunkowy Theophilus Crowe dogonił w końcu uciekającą choinkę. Skierował reflektory volvo na podejrzanę drzewo i stanął dla osłony za otwartymi drzwiami samochodu. Gdyby miał system nagłaśniający, użyłby go do wydawania poleceń, ale że hrabstwo nigdy nie wyposażyło go w takie urządzenie, musiał krzyczeć.

– Wsiąść z pojazdu z rękami z przodu i odwrócić się twarzą do mnie!

Gdyby miał broń, wyciągnąłby ją, ale zostawił glocka na półce obok starego, porysowanego miecza Molly. Zdał sobie sprawę, że drzwi samochodu zasłaniają tylko dolną, jedną trzecią jego ciała, po czym sięgnął w dół i zasunął szybę. A potem, czując się

głupio, zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę sosny.

– Cholera, wysiadać z choinki. Ale już!

Usłyszał szum opuszczanej szyby, a potem głos:

– Ojej, panie policjancie, jaki pan przekonujący.

To był znajomy głos. Gdzieś pod spodem była honda CRV i kobieta, którą poślubił.

– Molly?

Powinien był się domyślić. Nawet kiedy zażywała leki, co mu obiecała, bywała lekko „artystyczna”. To jej określenie.

Gałęzie sosny się rozsunęły i spomiędzy nich wyłoniła się jego żona w zielonej czapce Mikołaja, džinsach, czerwonych trampkach i džinsowej kurtce z ćwiekami na rękawach. Włosy miała związane w sięgający pleców kucyk. Mogłaby być elfem-rowerzystą. Wyszła spomiędzy gałęzi, jakby uchylała się przed łopatami śmigłowca, a potem podbiegła i stanęła przy nim.

– Popatrz, jaka wspaniała! Zdzira jedna! – Wskazała drzewo, po czym objęła Theo w pasie i przyciągnęła do siebie, lekko trącąc go w nogę. – Rewelacja, nie?

– No, na pewno jest... ee, duża. Jak ją załadowałaś na samochód?

– Zajęło mi to trochę czasu. Podciągnęłam ją paroma linami, a potem wjechałam pod spód. Myślisz, że będzie płaska tam, gdzie szorowała po drodze?

Theo obejrzał drzewo ze wszystkich stron i popatrzył na wypływające spomiędzy gałęzi spaliny. Nie był pewien, czy chce wiedzieć, ale musiał spytać.

– Nie kupiłaś jej w sklepie z narzędziami, prawda?

– Nie, miałam z rym pewien problem. Ale zaoszczędziłam masę forsy. Sama ją ścięłam. Zupełnie zmasakrowałam swój miecz, ale popatrz na nią. Popatrz na tę cudowną sukę!

– Ścięłaś ją mieczem? – Theo najbardziej martwił się nie tym, czym ją ścięła, ale rym, gdzie. Miał pewną tajemnicę w lesie w pobliżu ich domu.

– Tak. Nie mamy piły łańcuchowej, o której nie wiem, prawda?

– Nie. – Właściwie to mieli, w garażu, ukrytą za puszkami po farbie. Schował ją ram, gdy częściej miewała „artystyczne” momenry. – Nie w tym rzecz, skarbie. Problem chyba polega na tym, że jest zbyt duża.

– Nie – odparła, przechodząc wzdłuż drzewa, po czym przystanęła, by wskoczyć między gałęzie i wyłączyć silnik hondy. – Tu się mylisz. Popatrz, podwójne drzwi do

kaplicy.

Theo popatrzył. Kaplica rzeczywiście miała podwójne drzwi. Tylko pojedyncza lampa ręciovą oświetlała wysypany żwirem parking, wyraźnie jednak widział niewielką, białą kaplicę, za którą rysowały się ciemne cienie nagrobków – cmentarz, na którym od stulecia chowano mieszkańców Pine Cove.

– A w głównej sali w najwyższym miejscu jest dziesięć metrów do sklepienia. Choinka ma tylko dziewięć siedemdziesiąt. Wciągniemy ją tyłem przez drzwi, a potem postawimy. Będziesz musiał mi pomóc, ale przecież nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam?

Molly rozchyliła dzinsową kurtkę, na chwilę ukazując Theo jego ulubione piersi, włącznie ze lśniąca blizną na górnej części tej prawej, zakrzywioną niczym uniesiona w zaciekawieniu, fioletowa brew. Poczul się, jakby nieoczekiwanie wpadł na dwóch serdecznych przyjaciół, nieco bladych z braku słońca, odrobinę zniszczonych przez czas, ale o czujnych, zadartych nosach, zaróżowionych z powodu wieczornego chłodu. Równie szybko, jak się pojawili skryli się z powrotem za połami kurtki i Theo miał wrażenie, że zamknięto mu drzwi przed nosem i zostawiono go na mrozie.

– Dobra, nie mam nic przeciwko temu – powiedział, próbując zyskać na czasie, by krew zdążyła wrócić do jego mózgu. – Skąd wiesz, że tam jest dziesięć metrów?

– Z naszych zdjęć ślubnych. Wycięłam cię i użyłam do zmierzenia całego budynku. Miał niecałe pięć Theo wysokości.

– Pocięłaś nasze zdjęcia ślubne?

– Nie te udane. Chodź, pomóż mi zdjąć choinkę z samochodu. – Odwróciła się szybko i poły kurtki rozchyliły się za nią.

– Molly, wolałbym, żebyś się tak nie ubierała.

– Masz na myśli tak? – Obróciła się z połami kurtki w rękach.

I znowu zobaczył różowonosych przyjaciół.

– Postawmy drzewo, a potem zrobmy to na cmentarzu, dobra?

Dla podkreślenia swoich słów podskoczyła lekko i Theo skinął głową. Podejrzewał, że padł ofiarą manipulacji, że stał się niewolnikiem własnej seksualnej słabości, ale nie potrafił wykombinować, dlaczego miałyby to być coś złego. W końcu przebywał wśród przyjaciół.

– Skarbie, jestem policjantem, nie mogę...

– Daj spokój, to będzie niegrzeczne. – Powiedziała „niegrzeczne” takim tonem, jakby oznaczało „cudowne”, zresztą to właśnie miała na myśli.

– Molly, po pięciu latach razem nie wiem, czy powinniśmy być niegrzeczni. – Ale już gdy wypowiadał te słowa, ruszył w stronę wielkiej sosny, szukając wzrokiem lin, którymi była przymocowana do hondy.

A na cmentarzu zmarli, którzy cały czas podsłuchiwali, zaczęli szeptać z podnieceniem o nowej choince i zbliżającym się seksualnym show.

Zmarli słyszeli wszystko: płaczące dzieci, zawodzące wdowy, spowiedzi, klątwy, pytania, na które nie mogli odpowiedzieć. Halloweenowych śmiałków i rozentuzjasmowanych pijaków, którzy wzywali duchy albo po prostu przeprasali, że żyją. Niedoszłe czarownice, wołające do zupełnie obojętnych duchów, turystów, pocierających stare nagrobki papierem i węglem niczym ciekawskie psy, drapiące w groby, by dostać się do środka. Pogrzeby, bierzmowania, komunie, śluby, staromodne tańce, ataki serca, masturbujących się gimnazjalistów, nieudane stypy, akty wandalizmu, Mesjasza Haendla, poród, morderstwo, osiemdziesiąt trzy przedstawienia Pasji, osiemdziesiąt pięć jasełek, tuzin panien młodych, szczekających na nagrobkach niczym odziane w satynę uchatki, gdy drużbowie posuwali je „na pieska”, a co jakiś czas pary, które potrzebowały czegoś ciemnego i pachnącego wilgotną ziemią, by ich życie płciowe nabrało smaku – zmarli to słyszeli.

– O taak, taak, taak! – krzyczała Molly, siedząc okrakiem na posterunkowym, który wił się na niewygodnym łóżu z plastikowych róż dwa metry nad martwą nauczycielką.

– Wszyscy myślą, że są pierwsi. Ooooo, zrobmy to na cmentarzu – odezwała się Bess Leander, której mąż podał herbatkę z naparstnicy do ostatniego śniadania.

– Wiem, tylko w tym tygodniu na moim grobie pojawiły się trzy zużyte prezerwatywy – powiedział Arthur Tannbeau, plantator cytrusów, nieboszczyk od lat pięciu.

– Skąd wiesz?

Słyszeli wszystko, ale ich wzrok miał swoje ograniczenia.

– Po zapachu.

– To obrzydliwe – wtrąciła Esther, nauczycielka.

Zmarłych trudno jest zszokować, więc Esther udawała obrzydzenie.

– Co to za hałas? Spałem – pytał Malcolm Cowley, antykwariusz. Zawał serca nad Dickensem.

– Theo Crowe, ten posterunkowy, i jego zwariowana żona robią to na grobie Esther – powiedział Ardiur. – Założę się, że odstawiła leki.

– Pięć lat po ślubie ciągle mają ochotę na takie rzeczy? – Po swojej śmierci Bess zajmowała stanowisko zdecydowanie przeciwne związkom.

– Poślubny seks jest taki przeciętny – stwierdził Malcolm, ciągle znudzony prowincjonalną, małomiasteczkową śmiercią.

– Pośmiertny seks, oto czego mi trzeba – powiedział świętej pamięci Marty o Poranku, najpopularniejszy prezenter radia KGOB z kulą w ciele, ofiara rozboju na drodze w czasach, gdy długowłose bandy grasowały na autostradach. – Impreza u mnie – w trumnie, jeśli wiecie, co mam na myśli.

– Posłuchajcie jej. Chętnie dałbym jej w kość – powiedział Jimmy Antalvo, który trafił w słup na swoim kawasaki i na zawsze pozostał dziewiętnastolatkiem.

– Dałbyś jej kość? A którą? – Marty zarechotał.

– Ta nowa choinka brzmi uroczo – stwierdziła Esther. – Mam nadzieję, że w tym roku zaśpiewają Dokąd tak spieszą Królowie.

– Jeśli zaśpiewają – warknął stęchły antykwariusz – przewrócę się w grobie.

– Chciałbyś – odparł Jimmy Antalvo. – Kurde, też bym chciał.

Zmarli nie przewracali się w grobach. Nie poruszali się. Nie mogli też mówić, rozmawiali jedynie między sobą za pomocą bezwietrznych głosów. A co robili? Spali, budzili się, by słuchać i trochę pogadać, a w końcu zasypiali, by już się nie obudzić. Czasami trwało to dwadzieścia lat, czasami zapadali w wielki sen dopiero po czterdziestu, ale nikt nie pamiętał głosu sprzed jeszcze dłuższego czasu. Dwa metry ponad nimi, szczytująca Molly podkreśliła kilka ostatnich konwulsyjnych podskoków słowami:

– UMYJĘ – TWOJE – VOLVO – KIEDY – WRÓCIMY – DO – DOMU! TAK!
TAK! TAK!

A potem westchnęła i opadła w przód, by pogłodzić Theo po piersi, łapiąc przy tym oddech.

– Nie wiem, co to znaczy – stwierdził Theo.

– To znaczy, że umyję twój samochód.

– A, to nie eufemizm, że niby „umyję twoje stare volvo”, mrugniecie i kuksaniec?

– Nie. To nagroda.

Teraz, gdy już skończyli, Theo z trudem ignorował plastikowe kwiaty wciskające mu się w odsłonięte plecy.

– Myślałem, że to jest moja nagroda. – Gestem wskazał jej nagie uda po obu stronach swojego ciała, dziury w ziemi po jej kolanach, jej włosy rozrzucone na jego piersi.

Molly wyprostowała się i spojrzała z góry na niego.

– Nie, to była nagroda za pomoc przy choince. A umycie samochodu będzie nagrodą za to.

– A – powiedział Theo. – Kocham cię.

– Oj, chyba zwymiotuję – rozległ się od niedawna martwy głos z drugiej strony lasku.

– Kim jest ten nowy? – spytał Marty o Poranku.

Rozdział 5

CZAS ZAWIERANIA NOWYCH PRZYJAŹNI

Zatrzeszczała krótkofalówka przy pasku Theo, znajdującym się na wysokości jego kolan:

– Posterunkowy z Pine Cove, zgłoś się. Theo?

Theo wykonał niezgrabny przysiad i chwycił aparat.

– Jestem, odbiór.

– Theo, 207-A przy Worchester Street 671– Ofiara jest sama, a podejrzany wciąż może być w pobliżu. Wysłałem dwie jednostki, ale dotrą tam za dwadzieścia minut.

– Mogę tam być w pięć minut – powiedział Theo.

– Podejrzany to biały mężczyzna, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, długie jasne włosy. Nosi długi czarny płaszcz lub pelerynę.

– Zrozumiałem. Już jadę. – Theo próbował jedną ręką podciągnąć spodnie, jednocześnie drugą manipulując przy krótkofalówce.

Molly już wstała, naga od pasa w dół. Pod lewą pachą trzymała zrolowane dzinsy i trampki. Wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać.

– Co to jest 207-A?

– Nie mam pewności – odparł, pozwalając, by pomogła mu wstać. – Albo próba porwania, albo gościu z bronią krótką.

– Masz plastikowe kwiaty przyklejone do tyłka.

– Pewnie to pierwsze, nie mówiła nic o wystrzałach.

– Nie, zostaw je. Wyglądają uroczo.

Theo jechał osiemdziesiątką przez Worchester Street, gdy zza drzewa wyszedł na ulicę jasnowłosy mężczyzna. Volvo właśnie podskoczyło na połamany fragmencie asfaltu, więc kratownica była skierowana ku górze i trafiła mężczyznę mniej więcej na wysokości bioder, wyrzucając go w powietrze przed wozem. Theo wdepnął hamulec i poczuł pulsowanie ABS-u, ale blondyn uderzył w jezdnię i volvo przetoczyło się po nim z obrzydliwym chrzęstem i łoskotem, gdy części ciała obijały się o nadkola.

Gdy samochód się zatrzymał, Theo spojrział w lusterko i w czerwonym blasku tylnych świateł zobaczył, jak blondyn upada i nieruchomieje. Wyskakując z samochodu,

chwycił krótkofalówkę przy pasku i już chciał wezwać pomoc, gdy facet zaczął się podnosić.

Theo puścił krótkofalówkę i pozwolił, by upadła przy jego boku.

– Ej, kolego, nie ruszaj się. Tylko spokojnie. Nadjeżdża pomoc. – Ruszył w stronę rannego, po czym się zatrzymał.

Blondyn był już na czworakach. Theo zauważył, że głowę ma przekreconą w złą stronę i długie jasne włosy opadają na jezdnię. Rozległ się trzask, gdy głowa odwróciła się twarzą do ziemi. Facet wstał. Nosił długi czarny płaszcz z kołnierzem. To właśnie był „podejrzany”.

Theo zaczął się cofać.

– Nie ruszaj się. Nadjeżdża pomoc. – Theo wypowiedział te słowa, choć nie przypuszczał, by tego faceta interesowała jakaś pomoc.

Przekrecona w tył stopa obróciła się w przód przy wtórze kolejnych obrzydliwych trzasków. Blondyn pierwszy raz spojrział na Theo.

– Auć – powiedział.

– Przypuszczam, że to trochę bolało – powiedział posterunkowy. Przynajmniej oczy tamtego nie świeciły na czerwono ani nic. Cofnął się do otwartych drzwi volvo. – Może lepiej poleżeć i poczekać na karetkę? – Drugi raz w ciągu dwóch godzin pożałował, że zapomniało zabranie pistoletu. Blondyn wyciągnął ku niemu rękę, po czym zauważył, że ma kciuk po niewłaściwej stronie. Złapał palec drugą dłonią i z trzaskiem przesunął go na miejsce.

– Nic mi nie będzie – oznajmił beznamiętnie.

– Wiesz, jeśli ten płaszcz wypierze się na sucho na moich oczach, osobiście zgłoszę twoją kandydaturę na gubernatora – powiedział Theo, próbując zyskać na czasie i rozmyślając, co powie, gdy włączy krótkofalówkę.

Blondyn szedł teraz w jego stronę jednostajnym tempem. Przy kilku pierwszych krokach mocno kuśtykał, ale w miarę, jak się zbliżał, jego krok stawał się coraz równiejszy.

– Stać – powiedział Theo. – Aresztuję cię z paragrafu 207-A.

– A co to takiego? – spytał mężczyzna. Znajdował się już jakieś dwa metry od volvo.

Theo był raczej pewien, że 207-A nie oznacza gościa z bronią krótką, nie miał

jednak pewności, co właściwie oznacza, więc powiedział:

– Napędzenie strachu dziecka w jego własnym domu. Stój, albo rozwalę ci ten pieprzony łeb. – Wycelował w blondyna krótkofalówkę, trzymając ją anteną do przodu.

Tamten się zatrzymał, w niewielkiej odległości. Theo widział głębokie bruzdy w jego policzkach, powstałe przy kontakcie z nawierzchnią. Krwi nie było.

– Jest pan wyższy ode mnie – stwierdził blondyn.

Policjant ocenił, że mężczyzna ma metr osiemdziesiąt osiem, może metr dziewięćdziesiąt.

– Ręce na dach samochodu – powiedział, mierząc anteną między niesamowicie niebieskie oczy.

– Nie podoba mi się to – oznajmił tamten.

Theo skulił się, by wyglądać na niższego o parę centymetrów.

– Dzięki.

– Ręce na samochód.

– Gdzie kościół?

– Nie żartuję, oprzyj ręce o dach samochodu i rozłóż je szeroko. – Głos mu się łamał, jakby drugi raz przechodził mutację.

– Nie. – Mężczyzna wyrwał krótkofalówkę z ręki Theo i rozwalil ją na kawałki. – Gdzie kościół? Muszę się dostać do kościoła.

Theo zanurkował do samochodu, prześlizgnął się po siedzeniu i wysiadł z drugiej strony. Kiedy wyjrzał nad dachem wozu, mężczyzna po prostu tam stał, gapiąc się na niego jak przeglądająca się w lustrze papuga.

– Co?! – krzyknął Theo.

– Kościół?

– Idąc tą ulicą, dojdiesz do drzew. Musisz przejść między nimi jakieś sto metrów.

– Dziękuję – powiedział blondyn. Odwrócił się i odszedł.

Theo wskoczył z powrotem do volvo i wrzucił bieg. Jeśli musi przejechać faceta jeszcze raz, trudno. Gdy jednak podniósł wzrok znad deski rozdzielczej, nikogo nie zobaczył. Nagle przyszło mu do głowy, że Molly może nadal być w starej kaplicy. Jej dom pachniał eukaliptusem i drewnem sandałowym. Był w nim opalany drewnem piec ze szklanym okienkiem, który ogrzewał pokój pomarańczowym płomieniem.

Nietoperz został na noc na zewnątrz.

– Jesteś gliną? – spytała Lena, odsuwając się od siedzącego na kanapie Tuckera Case'a.

Jakoś zaakceptowała nietoperza. Tuck wyjaśnił jej to, w pewnym sensie. Był żonaty z mieszkanką wyspy na Pacyfiku i wygrał spór o opiekę nad nietoperzem. Takie rzeczy się zdarzały. Ona po rozwodzie z Dałem dostała dom, w którym teraz siedzieli, i wciąż znajdowało się tu jacuzzi z czarnego marmuru z brązowymi greckimi figurkami w erotycznych pozach, które wbudowano w krawędź. Skutki rozwodu bywają zawstydzające i nie można nikogo obwiniać o wannę czy nietoperza, ocalone z wraku miłości. Jednak ten facet chyba wspomniał, że jest gliną, zanim zaproponował zakopanie jej byłego i kolację.

– Nie, nie, nie prawdziwym gliną. Pracuję dla Agencji Antynarkotykowej.

Tuck przysunął się do niej na kanapie.

– Czyli jesteś gliną od narkotyków?

Nie wyglądał jak gliniarz. Raczej jak zawodowy golfista, z tymi jasnymi włosami i zmarszczkami wokół oczu od nadmiaru słońca, ale nie jak gliniarz. Ewentualnie jak gliniarz z telewizji – próżny, zły policjant, który ma romans z panią prokurator okręgową.

– Nie, jestem pilotem. Wynajmują niezależnych pilotów śmigłowców, żeby przewozili agentów tam, gdzie uprawia się maryskę, na przykład w Big Sur. Agenci wypatrują w podczerwieni poletek ukrytych w lesie. Będę tu dla nich pracował raptem parę miesięcy.

– A po paru miesiącach? – Lena nie mogła uwierzyć, że martwi się o zaangażowanie tego faceta.

– Spróbuję znaleźć inną pracę.

– Czyli wyjedziesz.

– Niekoniecznie. Mógłbym zostać.

Przysunęła się do niego z powrotem i przyjrzała jego twarzy, szukając cienia uśmiechu. Kłopot w tym, że od kiedy go poznała, na jego twarzy zawsze błąkał się cień uśmiechu. Była to jego najlepsza cecha.

– Dlaczego miałbyś zostać? – spytała. – Nawet mnie nie znasz.

– Może nie chodzi o ciebie. – Uśmiechnął się.

Odpowiedziała uśmiechem. Chodziło o nią.

– Chodzi o mnie.

– Tak.

Pochylił się nad nią i zaraz nastąpiłby pocałunek, co byłoby całkiem w porządku, uznała, gdyby nie ta potworna noc. Byłoby w porządku, gdyby nie przeżyli razem aż tyle w tak krótkim czasie. Byłoby w porządku, gdyby... gdyby...

Pocałował ją.

Dobra, myliła się. To było w porządku. Objęła go i też pocałowała.

Dziesięć minut później została tylko w swetrze i majtkach, wciągnęła Tuckera Case'a tak głęboko w kąć kanapy, że uszy miał zatkane poduszkami i nie słyszał, gdy, odepchnąwszy go, powiedziała:

– To nie znaczy, że pójdziemy ze sobą do łóżka.

– Ja też – odparł Tucker i przyciągnął ją bliżej.

Znowu go odepchnęła.

– Nie możesz zakładać, że tak się stanie.

– Chyba mam jedną w portfelu – powiedział, próbując ściągnąć jej sweter przez głowę.

– Nie robię takich rzeczy – stwierdziła, zmagając się ze sprzączką jego paska.

– Miesiąc temu miałem badania u lekarza lotniczego – oznajmił, uwalniając jej piersi z bawełnianego jarzma. – Jestem czysty jak łąza.

– Nie słuchasz mnie!

– Wyglądasz pięknie w tym świetle.

– Czy zrobienie tego tak krótko po, no wiesz... czy to znaczy, że jestem wredną suką?

– Jasne, możesz nazywać go borsukiem, jeśli chcesz.

A zatem, w atmosferze czulej otwartości i szczerzej więzi, dwoje konspiratorów odeгнаło swoją samotność. W pomieszczeniu rozeszła się romantyczna, tracąca grobem woń potu, gdy się w sobie zakochali. Troszeczkę.

Wbrew obawom Theo, Molly nie było w kaplicy. Odwiedził ją stary przyjaciel. No, niezupełnie przyjaciel, tylko głos z przeszłości.

– To było zupełne szaleństwo – powiedział. – Nie możesz czuć się dobrze po czymś takim.

– Zamknij się – rzuciła Molly. – Staram się prowadziśsamochód.

Według PDiSZP, czyli „Podręcznika diagnostycznego i statystycznego zaburzeń psychicznych”, musiały wystąpić przynajmniej dwa z wymienionych objawów, by zdarzenie można było uznać za epizod psychotyczny, czy też, jak sama Molly lubiła o tym myśleć, „artystyczny” moment. Istniał jednak wyjątek, pojedynczy symptom, który pozwalał trafić na listę świrów, a konkretnie „głos lub głosy, komentujące codzienne wydarzenia”. Molly nazywała go „Narratorem”. Nie słyszała go od ponad pięciu lat – od czasu, kiedy regularnie przyjmowała leki, tak jak obiecała Theo. Taka była umowa: ona bierze swoje lekarstwo, a Theo nie tyka swojego, a konkretnie nie bierze do ręki swojego ulubionego narkotyku, marihuany. Był to dość silny nałóg, który trwał przez dwadzieścia lat, zanim się poznali.

Molly dotrzymywała umowy. Cofnięto jej nawet świadectwo niepoczytalności i pomoc finansową. Pomógł jej kolejny napływ honorariów za stare filmy, ostatnio jednak znowu zaczęło brakować jej pieniędzy.

– To się nazywa wspomaganie – powiedział Narrator. – Zaćpany Łotr i Wojownicza Laska ze Wspomaganiem, oto wasza dwójka.

– Zamknij się. Nie jest zaćpanym łotrem – zaprotestowała. – A ja nie jestem Wojowniczą Laską.

– Bzyknęłaś się z nim na cmentarzu – przypomniał Narrator. – To nie jest zachowanie zdrowej kobiety, tytko Kendry, Wojowniczej Laski z Pustkowi.

Molly skuliła się na wzmiankę o granej przez siebie bohaterce. Czasami postać Wojowniczej Laski spływała z ekranu i przedostawała się do rzeczywistości.

– Próbowałam przed nim ukryć, że może nie jestem w stu procentach sobą.

– „Może nie jestem w stu procentach sobą?”. Jechałaś ulicą z choinką wielkości wozu kempingowego. Daleko ci do stu procent, skarbie.

– Zdziwisz się, ale czuję się świetnie.

– Rozmawiasz ze mną, prawda?

– No...

– Chyba wyraziłem się jasno.

Zapomniała, jaki z niego spryciarz. Dobra, może miała teraz więcej artystycznych momentów niż zwykle, ale nie straciła kontaktu z rzeczywistością. I wszystko robiła w dobrej wierze. Za pieniądze zaoszczędzone na lekach kupiła prezent gwiazdkowy dla Theo. Znalazła go w galerii ze szkłem artystycznym: ręcznej roboty dwubarwna szklana

fajka w stylu Tiffany'ego. Sześćset dolców, ale Theo będzie zachwycony. Kiedy się poznali, zniszczył swoją kolekcję fifek i fajek wodnych, symbolicznie zrywając z nałogiem, ale wiedziała, że za nią tęskni.

– Tak – powiedział Narrator. – Będzie potrzebował tej fajki, kiedy odkryje, że wracamy do Wojowniczej Laski.

– Zamknij się. Theo i ja przeżyliśmy szaloną, romantyczną chwilę. To nie jest żaden nawrót.

Skręciła do sklepu „Przynęty, Sprzęt Wędkarski i Dobre Wina u Brine'a”, by kupić sześciopak ciemnego piwa, które Theo lubił, oraz trochę mleka na rano. Ten niewielki sklep stanowił istny cud, jeśli chodzi o różnorodność asortymentu, i należał do nielicznych miejsc na Ziemi, w których można było kupić wyśmienite Sonoma Merlot, kawałek dojrzalego francuskiego brie, beczkę oleju silnikowego 10W-30 i pudełko dżdżownic. Robert i Jenny Mastersonowie byli właścicielami tego przybytku jeszcze zanim Molly przybyła do miasteczka. Za ladą zobaczyła Roberta, wysokiego, z włosami przyprószonymi siwizną. Miał trochę zakłopotany wyraz twarzy, gdy czytał czasopismo naukowe i popijał dietetyczną pepsi. Molly lubiła Roberta. Zawsze miło się do niej odnosił, nawet wtedy gdy uważano ją za miejscową wariatkę.

– Cześć, Robercie – powiedziała, wchodząc do sklepu.

W środku pachniało naleśnikami z jajkiem. Sprzedawali je z tyłu, gdzie mieli smażalnicę. Minęła ladę i ruszyła do lodówki z piwem.

– Cześć, Molly. – Podniósł wzrok, nieco zaskoczony. – Ee, Molly, dobrze się czujesz?

Cholera, pomyślała. Może zapomniała wyczesać sobie z włosów sosnowe igły? Na pewno wyglądała okropnie.

– Tak, wszysdco gra – odparła. – Theo i ja właśnie postawiliśmy choinkę w Kaplicy Świętej Róży. Przychodźcie z Jenny na święta dla samotnych, prawda?

– Oczywiście – powiedział Robert, choć w jego głosie wciąż było słycać lekkie napięcie. Najwyraźniej starał się na nią nie patrzeć. – Ee, Molly, mamy tu pewne zasady.

-

Postukał w tabliczkę na ladzie. „BEZ KOSZULI, BEZ BUTÓW – BEZ ZAKUPÓW”. Molly spojrzała w dół.

– O, rany, zapomniałam.

- W porządku.
 - Zostawiłam trampki w samochodzie. Zaraz tam pobiegnę i je włożę.
 - Byłoby znakomicie. Dzięki.
 - Nie ma sprawy.
 - Wiem, że tego nie ma na tabliczce, ale kiedy już tam pójdziesz, mogłabyś włożyć też jakieś spodnie. To się w pewnym sensie rozumie samo przez się.
 - Jasna sprawa – odparła, przemykając przy ladzie i pędząc do drzwi.
- Pomyślała, że faktycznie, było jej trochę zimniej niż wtedy, gdy wychodziła z domu. I faktycznie, na fotelu pasażera, obok trampek, leżały jej dzinsy i majtki.
- Mówiłem – odezwał się Narrator.

Rozdział 6

GŁOWA DO GÓRY, MOGLI CI WSADZIĆ DRZEWO W TYŁEK

Archanioł Razjel doszedł po namyśle do wniosku, że nie przeszkadza mu potrącenie przez szwedzki samochód. Jeśli chodzi o Glebę, lubił snickersy, żeberka z rusztu i grę w bezika. Lubił też Spidermana, Dni naszego życia i Gwiezdne wojny (prawdę mówiąc, idea fikcji w filmie wymykała się aniołowi, więc wszystkie te dzieła uważał za dokumenty). No i nic nie mogło przebić zalania Egipcjan deszczem ognia albo przywalenia piorunami paru Filistynom (Razjel był dobry w zjawiskach pogodowych), ale ogólnie rzecz biorąc, mógłby się obyć bez misji na Ziemi, ludzi i ich maszyn, a w szczególności (od niedawna) samochodów kombi marki Volvo. Jego połamane kości ładnie się zrosły, a głębokie szramy znikwały, gdy zmierzał do kaplicy, ale jednak czułby się świetnie, gdyby przez dłuższy czas nie wpadł ponownie pod jakieś volvo.

Poglądził odcisk całorocznej opony bezdętkowej, przebiegający przez przód jego czarnego płaszcza i anielskie oblicze. Oblizując wargi, poczuł smak wulkanizowanej gumy i pomyślał, że byłaby całkiem niezła z ostrym sosem albo może wiórkami czekoladowymi. (W niebie smaki nie są zbyt różnorodne, a w ciągu eonów zaserwowano mu mnóstwo mdłych, białych ciasteczek. Na Glebie Razjel nabrał więc zwyczaju smakowania wszystkiego, tak dla odmiany. Raz, w trzecim stuleciu p.n.e., pochłoniął ponad pół wiadra wielbłądziego moczu, zanim jego przyjaciółka, archanielica Zoe, wytrąciła mu je z ręki, mówiąc, że pomimo intrygującego wyglądu wiadra, jego zawartość to paskudztwo).

Nie była to pierwsza misja Razjela związana z Narodzeniem. Nie, prawdę mówiąc, przydzielono mu zadanie podczas pierwszego Narodzenia. A ponieważ zatrzymał się po drodze, by pograć w bezika, pojawił się o dziesięć lat za późno i oznajmił dorastającemu Synowi, że „znajdzie leżące w żłobie dziecko”. Wstydliva sprawa? Cóż, owszem. A teraz, mniej więcej dwa tysiące lat później, znowu wysłano go z podobną misją. Był przekonany, że znajdzie dziecko, że tym razem wszystko pójdzie gładko (przynajmniej nie było tu żadnych pasterzy, których mógłby przestraszyć – wtedy gryzło go z tego powodu sumienie). Nie, z nadejściem Wigilii wypełni swoje zadanie, złapie talerz żeberek i migiem wróci do nieba.

Kiedy nadjechał Theo, przed domem pani Barker stały dwa radiowozy i karetka.

– Crowe, gdzie się, do diabła, podziewałeś?! – Zastępca szeryfa zaczął krzyczeć, zanim Theo wysiadł z volvo. Zastępca był dowódcą drugiej zmiany i nazywał się Joe Metz. Miał posturę futbolisty, do czego przyczyniało się podnoszenie ciężarów i piwne maratony. Theo spotkał go z dziesięć razy w ciągu tyluż lat. Ich wzajemny stosunek przerodził się z łagodnego lekceważenia w otwartą pogardę – podobne były zresztą relacje Theo ze wszystkimi w Biurze Szeryfa Hrabstwa San Junipero.

– Zobaczyłem podejrzanego i ruszyłem w pościg. Straciłem go z oczu w lesie jakieś półtora kilometra stąd. – Postanowił nie wspominać o tym, co tak naprawdę widział. W biurze szeryfa i bez tego podważano jego wiarygodność.

– Dlaczego tego nie zgłosiłeś? Powinniśmy rozesłać patrole po całej okolicy.

– Zgłosiłem. Rozesłaliście.

– Nie słyszałem tego zgłoszenia.

– Zadzwoń z komórki. Mam zepsutą krótkofalówkę.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

Theo uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Może dlatego, że jesteś wielkim dupkiem, który nie ma szyi”. A przynajmniej liczył, że jego grymas miał właśnie taką wymowę.

Metz spojrzął na krótkofalówkę przy swoim pasku, po czym odwrócił się, by ukryć ruch dłoni przekręcającej włącznik. Natychmiast rozległ się głos wzywający dowódcę. Metz złapał mikrofon, który miał przypięty do bluzy mundurowej, i przedstawił się.

Theo stał obok i starał się nie uśmiechać, gdy głos z centrali jeszcze raz opisywał całą sytuację. Nie przejmował się dwoma patrolami zmierzającymi do lasu przy kaplicy. Był pewien, że nikogo nie znajdą. Kimkolwiek był ten gość w czerni, potrafił zniknąć, a Theo nie chciał nawet myśleć, w jaki sposób to robił. Wrócił wcześniej do kaplicy i przez ułamek sekundy widział blondyna, idącego między drzewami, ale potem znów go nie było. Zadzwoił do domu, by sprawdzić, czy u Molly wszystko gra. Grało.

– Mogę pogadać z dzieciakiem? – spytał.

– Kiedy sanitariusz skończy go badać – odparł Metz. -

Matka już tu jedzie. Pojechała ze swoim facetem na kolację do San Junipero. Dzieciakowi chyba nic się nie stało. Jest tylko trochę wstrząśnięty i ma parę siniaków na rękach, tam gdzie podejrzanego go złapał, ale oprócz tego żadnych widocznych obrażeń.

Nie umiał powiedzieć, o co chodziło temu facetowi. Z domu nic nie zginęło.

– Macie rysopis?

– Ten dzieciak dla porównania ciągle podaje imiona postaci z gier wideo. „Mung-fu Zwycięzony”, niby co nam to mówi? Przyjrzałeś mu się?

– Tak – potwierdził Theo ze ściśniętym gardłem. – Uważam, że Mung-fu to dobre porównanie.

– Nie wkurwiał mnie, Crowe.

– Białe, długie jasne włosy, niebieskie oczy, gładko ogolony, metr dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt kilo, nosi czarny płaszcz do ziemi. Nie widziałem butów. Centrala wszystko wie. – Theo przypomniał sobie głębokie bruzdy w policzkach. Zaczął już o nim myśleć jako o „upiornym robocie”. Gry wideo. Właśnie.

Metz skinął głową.

– Centrala twierdzi, że porusza się pieszo. Jak go zgubiłeś?

– Las jest tam gęsty.

Metz patrzył teraz na jego pasek.

– Gdzie twoja broń, Crowe?

– Zostawiłem w samochodzie. Nie chciałem straszyć dzieciaka.

Metz podszedł bez słowa do volvo i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Gdzie?

– Słucham?

– Gdzie w tym nie zamkniętym samochodzie jest twoja broń?

Theo poczuł, że opuszczają go ostatnie resztki energii. Kiepsko wypadał w konfrontacjach, i tyle.

– Jest u mnie w domu.

Metz uśmiechał się teraz jak barman, który właśnie oznajmił, że każdy dostanie kolejkę na koszt firmy.

– Wiesz co, chyba nadajesz się idealnie do pościgu za podejrzanym, Theo.

Theo nie znośił, kiedy szeryfowie mówili mu po imieniu.

– A to dlaczego, Josephie?

– Dzieciak powiedział, że facet może być niedorozwinięty.

– Nie rozumiem – powiedział Theo, powstrzymując się od uśmiechu.

Metz odszedł, kręcąc głową. Wsiadł do radiowozu, po czym przejechał na

wstecznym obok Theo, opuszczając szybę.

– Napisz raport, Crowe. A rysopis tego gościa musi trafić do miejscowych szkół.

– Są ferie świąteczne.

– Do licha, Crowe, kiedyś w końcu dzieciaki znowu pójda do szkoły, nie?

– Czyli myślisz, że twoi ludzie go nie złapią?

Metz już się nie odezwał, tylko zasunął szybę i wyjechał na podjazd z taką prędkością, jakby właśnie otrzymał pilny telefon.

Theo uśmiechnął się, podchodząc do domu. Pomimo emocji, strachu i zupełnej niesamowitości tego wieczoru, nagle poczuł się znakomicie. Molly była bezpieczna, dzieciak też, choinka stała w kaplicy, no i po prostu nic nie mogło się równać z bezpiecznym i skutecznym wkurwianiem napuszonego gliniarza. Przystanął na najwyższym stopniu i przez chwilę zastanawiał się, czy może po piętnastu latach pracy w policji nie powinien już wyrosnąć z takich zabaw. E, tam.

– Strzelał pan do kogoś? – spytał Joshua Barker. Siedział na stolku barowym przy kuchennym blacie. Krzątał się przy nim mężczyzna w szarym mundurze.

– Nie, jestem sanitariuszem – wyjaśnił sanitariusz. Zdjął opaskę ciśnieniomierza z ramienia Josha. – Pomagamy ludziom, a nie do nich strzelamy.

– A czy kiedyś założył pan to coś od ciśnienia komuś na szyję i pompował, aż oczy wyszły mu z orbit?

Sanitariusz spojrzał na Theophilusa Crowe'a, który właśnie wszedł do kuchni pani Barker. Theo, adekwatnie do sytuacji, zmarszczył brwi. Josh skupił teraz uwagę na patykowatym posterunkowym, zauważając odznakę przy pasku i brak pistoletu.

– A pan do kogoś strzelał?

– Jasne – odparł Theo.

Josłi był pod wrażeniem. Widywał Theo w mieście, a mama zawsze mówiła mu „cześć”, ale posterunkowy w zasadzie nigdy nic nie robił. W każdym razie nic fajnego.

– Oni do nikogo nie strzelali. – Josh wskazał dwóch zastępców i dwóch sanitariuszy, stojących w niewielkiej kuchni, i posłał im spojrzenie, oznaczające: „Cieniasy!” – z całą pogardą, jaką zdolne były wyrazić jego siedmioletnie rysy.

– Zabił go pan? – zwrócił się do Theo.

– Mhm.

Josh nie wiedział co dalej. Wiedział, że jeśli przestanie zadawać pytania, zacznie je

zadawać Theo, tak jak wcześniej szeryfowie, a nie chciał już odpowiadać. Blondyn powiedział mu, że ma nikomu nic nie mówić. Szeryf stwierdził, że ten blondyn nie może zrobić chłopcu krzywdy, ale szeryf nie wiedział tego, co wiedział Josh.

– Twoja mama już jedzie, Josh – oznajmił Theo. – Będzie tu za parę minut.

– Wiem. Rozmawiałem z nią.

– Mogę chwilę pogadać z Joshem na osobności? – zwrócił się Theo do sanitariuszy i zastępców.

– Już skończyliśmy – stwierdził ważniejszy z sanitariuszy i natychmiast wyszedł.

Obaj zastępcy byli młodzi i palili się do jakiegoś działania, nawet jeśli polegało ono na wyjściu z pomieszczenia.

– Poczekamy i wszystko spiszemy – powiedział jeden na odchodnym. – Sierżant Metz kazał nam zostać, dopóki nie wróci matka.

– Dzięki, chłopaki – odparł Theo, zaskoczony ich sympatycznym podejściem.

Widocznie pracowali w biurze na tyle krótko, że nie nauczyli się patrzeć na niego z góry za to, że jest miejskim posterunkowym – funkcja archaiczna i zbędna, zdaniem większości gliniarzy z terenu. Gdy już ich nie było, odwrócił się do Josha.

– No to opowiedz mi o tym mężczyźnie, który tu był.

– Opowiedziałem tym innym policjantom.

– Wiem. Ale musisz opowiedzieć mnie. O tym, co się stało. Nawet o dziwnych rzeczach, o których im nie mówiłeś.

Wydawało się, że Theo jest gotów uwierzyć we wszystko, i to się Joshowi nie podobało. Nie był przesadnie miły i nie rozmawiał z nim jak z małym dzieckiem, w przeciwieństwie do tamtych.

– Nie wydarzyło się nic dziwnego. Tak jak im powiedziałem. – Mówiąc, Josh kiwał głową, licząc, że dzięki temu będzie bardziej przekonujący. – Żadnego złego dotyku. Wiem o co chodzi. Nic takiego nie było.

– Nie to mam na myśli, Josh. Chodzi mi o dziwne rzeczy, o których im nie powiedziałeś, boby nie uwierzyli.

Josh zupełnie nie wiedział co teraz powiedzieć. Rozważał wybuchnięcie płaczem i na próbę pociągnął nosem, żeby sprawdzić, czy coś z tego wyjdzie. Theo wyciągnął rękę, chwycił go za podbródek i unióś jego głowę, by spojrzeć chłopcu w oczy. Dlaczego dorośli tak robią? Teraz zada pewnie pytanie, po którym bardzo trudno będzie skłamać.

– Co on tu robił, Josh?

Chłopiec pokręcił głową, głównie po to, by wyrwać się z uścisku Theo i uciec przed wzrokiem dorosłego, który działał jak wykrywacz kłamstw.

– Nie wiem. Po prostu wszedł i mnie złapał, a potem poszedł.

– Dlaczego poszedł?

– Nie wiem, nie wiem. Jestem tylko dzieckiem. Może to wariat czy coś. A może jest niedorozwinięty. Tak dziwnie mówi.

– Wiem – odparł Theo.

– Wie pan? – Wiedział?

Theo pochylił się nad nim.

– Widziałem go, Josh. Rozmawiałem z nim. Wiem, że nie zachowywał się jak normalny facet.

Josh poczuł się tak, jakby właśnie pierwszy raz od chwili, gdy wyszedł od Sama, zaczerpnął tchu. Nie lubił dotrzymywać tajemnic – wystarczyłoby, gdyby musiał wejść chyłkiem do domu i kłamać. A przecież widział jeszcze zabójstwo Świętego Mikołaja, i potem pojawił się ten dziwny blondyn. Ale skoro Theo i tak już wiedział o blondynie...

– Czyli, czyli widział pan, jak on świeci?

– Świeci? Cholera! – Theo poderwał się na nogi i obrócił, jakby właśnie oberwał w czoło pociskiem do paintballu. – To on jeszcze świecił? Cholera!

Wysoki mężczyzna poruszał się niczym pasikonik uwięziony w mikrofalówce. Co prawda, Josh nie wiedział, jak to jest, bo to byłoby okrutne i nigdy by czegoś takiego nie zrobił, ale, no wiecie, ktoś mu kiedyś opowiadał.

– Więc świecił? – spytał Theo, jakby szukał potwierdzenia.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć. – Josh musiał się z tego wycofać. Theo zaczął szaleć. Chłopiec miał dosyć szalejących dorosłych na jeden wieczór. Niedługo wróci mama, zastanie w domu gliniarzy i zacznie się szaleństwo nad szaleństwami. – Chodziło mi o to, że się wściekał.

– Nie to chciałem powiedzieć.

– Nie?

– Naprawdę świecił, co?

– No, nie cały czas. Znaczący, przez chwilę. A potem tylko na mnie patrzył.

– Dlaczego wyszedł, Josh?

– Powiedział, że ma wszystko, czego potrzebował.

– A co to było? Co zabrał?

– Nie wiem. – Josh zaczynał się martwić o posterunkowego. Mężczyzna wyglądał, jakby lada chwila mógł wybuchnąć. – Na pewno chce pan ciągnąć temat świecenia, panie posterunkowy? Mogę się mylić. Jestem dzieckiem. Dzieci to wyjątkowo mało wiarygodni świadkowie.

– Gdzie to usłyszałeś?

– W Wydziale śledczym.

– Ci goście wiedzą wszystko.

– Mają najfajniejszy sprzęt.

– Tak – powiedział tęsknie Theo.

– Pan nie dostaje takiego fajnego sprzętu, co?

– Nie. – Głos posterunkowego brzmiał teraz naprawdę żałośnie.

– Ale zastrzelił pan kogoś, prawda? – rzucił Josh wesoło, próbując podnieść go na duchu.

– Skłamałem. Przykro mi, Josh. Lepiej już pójdę. Nie długo wróci twoja mama. Powiedz jej wszystko. Zajmie się tobą. Zastępcy zostaną tutaj, dopóki ona nie przyjedzie. Na razie, mały. – Przeciągnął ręką po włosach i ruszył do drzwi.

Josh nie chciał jej mówić. I nie chciał, żeby Theo już sobie poszedł.

– Jest jeszcze coś.

Posterunkowy odwrócił się i popatrzył na niego.

– Dobra, Josh. Zostanę jeszcze chwilę i...

– Dzisiaj ktoś zabił Świętego Mikołaja – wypalił chłopiec.

– Dzieciństwo kończy się zbyt szybko, co, synu? – powiedział Theo, kładąc mu rękę na ramieniu.

Gdyby Josh miał pistolet, to by go zastrzelił, ale jako nieuzbrojone dziecko doszedł do wniosku, że spośród tych wszystkich dorosłych właśnie głupkowaty posterunkowy może uwierzyć w to, co spotkało Mikołaja.

Obaj zastępcy weszli do domu z matką Josha, Emily Barker. Theo poczekał, aż kobieta wyściska syna niemal do utraty tchu, po czym zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, i szybko dał nogę. Gdy schodził po schodkach z ganku, przy przedniej oponie jego volvo mignęło mu coś żółtego. Obejrzał się, by sprawdzić, czy żaden z zastępców nie

wygląda na zewnątrz, po czym przykucnął przed samochodem, sięgnął pod nadkole i wyciągnął kosmyk jasnych włosów, który utkwiał w zagłębieniu w czarnym tworzywie. Szybko wsunął go do kieszeni koszuli i wsiadł do samochodu, czując, jak włosy skrobią go w pierś niczym jakieś żywe stworzenie.

Wojownicza Laska z Pustkowi przyznała, że bez lekarstw jest bezradna i że nie panuje nad swoim życiem. Molly odhaczyła ten krok w należącej do Theo niebieskiej książeczce Anonimowych Narkomanów.

– Bezradna – mruknęła pod nosem, wspominając, jak mutanty przykuły ją do skały przy legowisku behemo-borsuka w filmie Stał z Pustkowi: Zemsta Kendry. Gdyby do akcji nie wkroczył Selkirk, pustynny pirat, jej wnętrzności wisiałyby teraz na solnych stalagmitach w borsuczej jaskini.

– To by bolało, co? – odezwał się Narrator.

– Zamknij się, to się nie zdarzyło naprawdę. – A może?

Pamiętała to tak, jakby się zdarzyło. Narrator stanowił problem. Podstawowy problem, prawdę mówiąc. Gdyby chodziło tylko o niekonwencjonalne zachowania, mogłaby to maskować do pierwszego, gdy znowu zacznie brać leki, i Theo nic by nie zauważył. Gdy jednak pojawiał się Narrator, wiedziała, że jest jej potrzebna pomoc. Wzięła książeczkę Anonimowych Narkomanów, z którą Theo się nie rozstawał, gdy walczył z nawykiem palenia trawki. Ciągłe mówił o powtarzaniu kroków i o tym, że bez nich nie dałby rady. Musiała coś zrobić, żeby wzmocnić rozmywającą się granicę między Molly Michon, piekącą ciastka organizatorką przyjęć i emerytowaną aktorką, a Kendrą, zmutowaną zabójczynią, uwodzącą wojowników łowczynią głów.

– „Krok drugi” – przeczytała. – „Uwierzyć, że moc większa od nas samych może przywrócić nam zdrowie”.

Zastanowiła się przez chwilę i wyjrzała przez okno domu, szukając wzrokiem świateł samochodu Theo. Miała nadzieję, że zdoła powtórzyć wszystkie dwanaście kroków, zanim mąż wróci.

– Moją mocą będzie Nigoth, Bóg-Robak – postanowiła, podnosząc ze stolika swój złamany miecz i wymachując nim zaczepnie w stronę telewizora Sony Wega, który przedrzeźniał ją z narożnika pokoju. – W imię Nigotha ruszę naprzód! Niech drży każdy mutant i pustynny pirat, który stanie mi na drodze, straci bowiem życie, a jego ociekające krwią jaja zawisną na totemie przed moją siedzibą.

– I niech zadrzą łotry przed wspaniałością twoich przybrudzonych, kształtnych ud
– wtrącił Narrator z przesadnym entuzjazmem.

– To się rozumie samo przez się – powiedziała Molly. – Dobra, krok trzeci.
„Powierz swoje życie Bogu, takiemu jakim go pojmujesz”.

– Nigoth żąda ofiary – wykrzyknął Narrator. – Kończyna!

Odetnij sobie kawałek ciała i, wciąż drżący, nabij na fioletowy róg Boga-Robaka!

Molly pokręciła głową, by trochę wstrząsnąć Narratorem.

– Ziomuś – powiedziała.

Bardzo rzadko tak się do kogoś zwracała. Theo podłapał to słowo podczas patrolowania parku dla skateboardzistów w Pine Cove i teraz używał go do wyrażenia niedowierzania w obliczu śmiałości czyjś stwierdzenia lub postępowania. Właściwe rozwinięcie tego wyrazu brzmiałoby: „Ziomuuuś, proszę cię, żartujesz albo masz odjazd, albo jedno i drugie, skoro w ogóle coś takiego proponujesz”. (Ostatnio Theo eksperymentował także z „Jo, ale lamerka, jo”. Molly jednak zabroniła mu tak mówić poza domem, bo, jak stwierdziła, trudno o coś bardziej żalosego niż hip-hopowy dialekt, dobywający się z ust białego mężczyzny po czterdziestce o posturze czapli. „O posturze albatrosa, jo”, poprawił Theo). Nazwany ziomusiem Narrator trochę spuścił z tonu.

– No to palec! Odcięły palec Wojowniczej Laski...

– Nic z tego – stwierdziła Molly.

– Pukiel włosów! Nigoth żąda...

– Może zapalę świecę na znak, że powierzam się wyższej mocy. – Na potwierdzenie swoich słów wzięła zapalniczkę ze stolika i zapaliła jedną z zapachowych świec, które trzymała na tacy pośrodku blatu.

– W takim razie zasmarkana chusteczkę! – spróbował Narrator.

Molly jednak przeszła już do kroku czwartego.

– „Przeprowadź wnikliwą i odważną inwentaryzację moralną swojej osoby”. Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Niech mnie ślepy pawian w ucho wydyma, jeśli coś z tego rozumiem – powiedział Narrator.

Molly postanowiła nie zwracać uwagi na tę wypowiedź Narratora. W końcu, jeśli kroki spełnią jej nadzieje, Narratora wkrótce już nie będzie. Wczytała się w niebieską książeczkę w poszukiwaniu wyjaśnień.

Po dalszej lekturze okazało się, że chodzi chyba o zrobienie listy wszystkich złych cech swojego charakteru.

– Napisz, że jesteś pieprzonym świrem – poradził Narrator.

– Już – odparła Molly.

Potem zauważyła, że książka zaleca sporządzenie listy żali. Nie była pewna, co ma z nimi zrobić, ale w piętnaście minut zapełniła trzy strony najróżniejszymi żalami, wymieniając oboje rodziców, urząd podatkowy, algebrę, przedwczesne wytryski, dobre gospodynie, francuskie samochody, język włoski, prawników, opakowania na CD, testy IQ i popaprańca, który umieścił napis „Uwaga, ciastka mogą być gorące po podgrzaniu” na pudełku ze słodkimi tostami Pop-Tarts.

Przerwała, by nabrać tchu, po czym zaczęła czytać o kroku piątym, gdy blask reflektorów omiótł ogródek i zatrzymał się na frontowej ścianie domu. Theo wrócił.

– „Krok piąty” – czytała Molly. – „Wyznaj swojej wyższej mocy i innemu człowiekowi naturę swych błędów”.

Gdy Theo przekroczył próg, Molly, ze złamanym mieczem w dłoni, odwróciła się od cynamonowej świecy Boga Robaka Nigotha i wykrzyknęła:

– Wyznaję! Nie płaciłam podatków w latach 1995-2000, jadłam radioaktywne mięso mutantów i mam do ciebie cholerny żal, że nie musisz kucać przy sikaniu!

– Cześć, kochanie – powiedział Theo.

– Zamknij się, gnojku – odparła Wojownicza Laska.

– Domyślam się, że z mycia volvo nici?

– Cicho! Próbuje coś wyznać, niewdzięczniku.

– I o to chodzi! – pochwalił Narrator.

Rozdział 7

I NADSZEDŁ PORANEK

Była środa rano, do świąt zostały trzy dni, a Lena Marquez obudziła się i ujrzała w swoim łóżku obcego mężczyznę. Dzwonił telefon, a ten facet obok wydawał z siebie jęklive odgłosy. Jego ciało częściowo okrywała kołdra, Lena jednak była niemal pewna, że jest nagi.

– Halo – powiedziała do słuchawki. Podniosła kołdrę i zajrzała. Tak, był nagi.

– Lena, w Wigilię ma być burza i chcieliśmy, żeby Mavis zrobiła grilla na przyjęciu świątecznym dla samotnych, ale nic z tego, jeśli się rozpada, a ja nakrzyczałam wieczorem na Theo, wyszłam i chodziłam dwie godziny po ciemku, i on chyba myśli, że zwariowałam, no i zdaje się, że powinnaś wiedzieć, że Dale nie wrócił na noc do domu, a jego nowa... ee, ta druga, ee... ta kobieta, z którą mieszka, zadzwoniła w panice do Theo i...

– Molly?

– Tak, cześć, jak się masz?

Lena spojrzała na zegar na nocnej szafce, a potem znów na nagiego mężczyznę.

– Molly, jest szósta trzydzieści.

– Dzięki. Tutaj jest dziewiętnaście stopni. Widzę termometr na zewnątrz.

– Co się stało?

– Już ci mówiłam: nadciąga burza. Theo wątpi w moją poczytalność. Dale zaginął.

Tucker Case przewrócił się na drugi bok i choć nadal na wpeł spał, wydawał się gotowy do działania.

– Proszę, proszę, popatrz na to – pomyślała sobie Lena, po czym zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos do słuchawki.

– Na co? – spytała Molly.

Tuck otworzył oczy i uśmiechnął się do niej, po czym podążył za jej wzrokiem w dół. Wyciągnął kołdrę z jej dłoni i okrył się.

– To nie z twojego powodu. Po prostu muszę zrobić siusiu.

– Przepraszam – powiedziała Lena, szybko naciągając sobie kołdrę na głowę.

Od dawna nie musiała się tym przejmować, ale nagle przypomniała sobie artykuł

o tym, że mężczyzna nie powinien oglądać kobiety z samego rana, chyba że znają się co najmniej trzy tygodnie.

– Kto to był? – spytała Molly.

Lena zrobiła w kołdrze tunel i spojrzała na Tuckera Case'a, zupełnie nieskrępowanego, zupełnie nagiego. Sterczący wacek prowadził go do łazienki, kołysząc się przed nim niczym różdżka radiestety. Zdała sobie sprawę, że zawsze może znaleźć nowe powody do złości wobec samczej części gatunku ludzkiego – brak skrępowania także znalazłby się na tej liście.

– Nikt – powiedziała do słuchawki.

– Lena, chyba nie spałaś znowu ze swoim byłym? Powiedz mi, że nie jesteś w łóżku z Dałem.

– Nie jestem w łóżku z Dałem.

W tym momencie przypomniała jej się nadzwyczaj wyraźnie cała noc i pomyślała, że chyba zwymiotuje. Tucker Case sprawił, że na chwilę o wszystkim zapomniała. Dobra, może powinna to zaliczyć do męskich pozytywów, ale niepokój powrócił. Zabiła Dale'a. Pójdzie do więzienia. Musiała jednak udawać, że nic nie wie.

– Co mówiłaś o Dale'u?

– No to z kim jesteś w łóżku?

– Cholera, Molly, co się stało z Dałem? – Miała nadzieję, że brzmi to przekonująco.

– Nie wiem. Zadzwoiła jego nowa dziewczyna i powiedziała, że nie wrócił do domu po przyjęciu świątecznym Caribou. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć, rozumiesz, w razie gdyby się okazało, że stało się coś złego.

– Na pewno nic mu nie jest. Może po prostu spotkał jakąś zdzirę w „Głowie Ślimaka” i poderwał ją na swoją gadkę biznesmena.

– Fuj – powiedziała Molly. – Oj, przepraszam. Słuchaj, Lena, w wiadomościach dziś rano mówili, że nadciąga wielka burza znad Pacyfiku. W tym roku czeka nas El Nino. Musimy coś wykombinować, jeśli chodzi o jedzenie na przyjęcie dla samotnych. No i co zrobimy, jeśli przyjdzie dużo ludzi? Ta kaplica jest strasznie mała.

Lena wciąż się zastanawiała, co zrobić w kwestii Dale'a. Chciała powiedzieć o tym Molly. Jeśli ktokolwiek mógł ją zrozumieć, to właśnie Molly. Lena była przy niej podczas kilku „nawrotów”. Ta kobieta rozumiała, że sprawy mogą się wymknąć spod kontroli.

– Słuchaj, Molly, potrzebuję...

– I nakrzyczałam wieczorem na Theo. Bardzo. Dawno tak się nie wkurzył. Zdaje się, że spieprzyłam święta.

– Nie gadaj głupstw, Molly, to niemożliwe. Theo zrozumie. – Co oznaczało: „Wie, że masz świra, a i tak cię kocha”.

W tej właśnie chwili Tucker Case wrócił do pokoju, podniósł z podłogi spodnie i zaczął je wkładać.

– Muszę iść nakarmić nietoperza – oznajmił, po czym częściowo wyciągnął banana, którego miał w przedniej kieszeni.

Lena zrzuciła sobie kołdrę z głowy i zaczęła się zastanawiać co powiedzieć. Tuck uśmiechnął się, wyciągając banana do końca.

– A, myślałaś, że po prostu ucieszyłem się na twój widok?

– Ee... ja... cholera.

Tuck podszedł bliżej i pocałował jej brew.

– Owszem, cieszę się – stwierdził. – Ale muszę też nakarmić nietoperza. Zaraz wracam.

Wyszedł z pomieszczenia, boso i bez koszuli. Dobra, pewnie wróci.

– Lena, kto to był? Powiedz!

Lena zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma słuchawkę.

– Słuchaj, Molly, oddzwonię do ciebie, dobra? Wymyślimy coś na piątkowy wieczór.

– Ale muszę się jakoś zrehabilitować za...

– Zadzwoń.

Lena odłożyła słuchawkę i wygramoliła się z łóżka. Jeśli się pospieszy, zdąży umyć twarz i nałożyć trochę tuszu, zanim Tuck wróci. Zaczęła nago przemierzać pokój, aż w pewnej chwili poczuła, że ktoś na nią patrzy. W pomieszczeniu było duże okno wychodzące na las, a ponieważ sypialnia znajdowała się na piętrze, człowiek czuł się tak, jakby obudził się w domku na drzewie, za to nikt nie mógł zajrzeć do środka. Obróciła się na pięcie i ujrzała nietoperza, wiszącego na rynnicy. Patrzył na nią – nie tylko patrzył, on ją oglądał. Ściągnęła kołdrę z łóżka i okryła się.

– Idź sobie zjeść banana! – krzyknęła do zwierzaka.

Roberto obliznął wargi.

Kiedyś, w czasach palenia trawki, Theophilus Crowe stwierdziłby bez wahania, że nie lubi niespodzianek, woli rutynę od różnorodności, przewidywalność od niepewności, znane od nieznanego. Potem, kilka lat temu, rozpracowując ostatni w Pine Cove przypadek zabójstwa, Theo poznał i pokochał Molly Michon, była gwiazdę kina klasy B, i wszystko się zmieniło. Złamał jedną z kardynalnych zasad – „nigdy nie idź do łóżka z kimś bardziej zwariowanym niż ty” – i od tamtej pory kochał życie. Zawarli umowę: jeśli on będzie się trzymał z dala od swojego „lekarstwa” (trawki), ona będzie brała swoje (środki antypsychotyczne), skutkiem czego ona mogła liczyć na jego niestępią uwagę, a on poznawać tylko najprzyjemniejsze aspekty postaci Wojowniczej Laski, w którą Molly czasami się wcielała. Nauczył się cieszyć jej towarzystwem i niezwykłością, którą czasami wносиła do jego życia.

Ale ostatni wieczór to było dla niego zbyt wiele. Gdy wszedł do domu, chciał – nie, musiał – podzielić się zadziwiającą historią o jasnowłosym mężczyźnie z jedyną osobą, która mogła mu uwierzyć, zamiast uznać jego słowa za rojenia ćpuna, a ona wybrała sobie akurat tę chwilę na atak wrogiego szaleństwa. Wypadł więc z domu i zanim wrócił, wypalił tyle trawki, że cały rastafariański chór mógłby zapaść od niej w sypialkę.

Nie temu miało służyć poletko marihuany, które uprawiał. Zupełnie nie temu. Nie jak w starych czasach, kiedy miał mały ogródek na własny użytek. Nie, zagajnik dwumetrowych lepkich roślin, zdobiący krawędź ich działki, stanowił przedsięwzięcie czysto komercyjne, choć przedsięwzięcie to miało szczytny cel. Miłość. Przez lata, mimo że perspektywa powrotu do branży filmowej coraz bardziej się oddalała, Molly wciąż trenowała ze swoim olbrzymim mieczem. Codziennie, rozebrana do bielizny albo odziana w sportowy stanik i spodenki, na polance przed domem wołała „en garde” do wyimaginowanego przeciwnika, po czym wykonywała serię obrotów, podskoków, pchnięć, zasłon i cięć do utraty tchu. Ten rytuał nie tylko pozwalał Molly utrzymać formę, ale także sprawiał jej radość, co z kolei niezmiernie cieszyło Theo. Zachęcał ją nawet, by zaczęła ćwiczyć kendo. Jak się można było spodziewać, okazała się świetna w tej dyscyplinie i bez trudu zwyciężała rywali dwa razy większych od siebie.

To wszystko pośrednio sprawiło, że Theo pierwszy raz w życiu zajął się komercyjną uprawą trawki. Próbował innych sposobów, ale banki nadzwyczaj opornie traktowały prośby o pożyczkę w wysokości półrocznych dochodów na zakup miecza samurajskiego. No, niezupełnie samurajskiego, ale japońskiego – starego japońskiego

miecza, wykonanego przez mistrza Hisakuni z Yamashiro pod koniec trzynastego wieku. Sześćdziesiąt tysięcy warstw stali wysokowęglowej. Doskonale wyważony i po ośmiu stuleciach wciąż ostry jak brzytwa. Był to tashi, zakrzywiony miecz kawalerii, dłuższy i cięższy od tradycyjnej katany, używanej przez późniejszych samurajów do walki pieszej. Ciężar tego miecza przypadłby Molly do gustu podczas treningów – jego masa była bardziej zbliżona do tego, którego używała podczas zdjęć do filmu i który zabrała sobie na pamiątkę złamanej kariery. Spodobałby jej się też fakt, że miecz jest prawdziwy. Theo miał nadzieję, że zrozumie, co chce jej powiedzieć: kocha w niej wszystko, nawet Wojowniczą Laskę (choć jednych części lubił dotykać bardziej niż innych). Tashi leżał teraz owinięty w aksamit, ukryty na najwyższej półce w szafie, gdzie kiedyś Theo trzymał swoją kolekcję fajek.

Pieniądze? Dawny przyjaciel Theo z czasów palenia maryśki, hodowca marihuany z Big Sur, który teraz został hurtownikiem, z radością zapłacił z góry za jego zbiory. Miało być to czysto komercyjne przedsięwzięcie: wejść, wyjść i nikomu nie zrobić krzywdy. Teraz jednak Theo pierwszy raz od lat pojawił się w pracy nagrzany i czuł, że po kiepskiej nocy dzień też kroi się marny.

Potem zadzwoniła dziewczyna/żona/ktoś tam Dale'a Pearsona i piekielny dzień zaczął się na dobre.

Theo wpuścił sobie do oczu krople Visine i podjechał pod sklep „Przynęty, Sprzęt Wędkarski i Dobre Wina u Brine'a”, by wypić dużą kawę, zanim ruszył do domu Leny Marquez w poszukiwaniu jej byłego męża. Choć z poniedziałkowego zdarzenia pod Tanim Marketem i dziesiątków innych incydentów wynikało, że ich wzajemna niechęć graniczy z nienawiścią, nie powstrzymywało ich to przed okazjonalnymi spotkaniami na znajomy seks. Theo nawet by o tym nie wiedział, ale Molly przyjaźniła się z Leną, a kobiety miały zwyczaj rozmawiać o takich rzeczach. Lena mieszkała w ładnym dwupiętrowym, rustykalnym domu na działce w sosnowym lesie, graniczącej z terenem jednego z licznych w Pine Cove rancz. Nie mogłaby sobie pozwolić na taki dom, pracując w agencji nieruchomości, ale z drugiej strony zносиła Dale'a Pearsona przez pięć lat małżeństwa, a potem jeszcze przez pięć, więc zasługiwała przynajmniej na tyle, myślał sobie Theo. Podobało mu się głucho stukanie jego traperów na ganku. Podszedł do drzwi i pomyślał, że Molly też powinna dobudować ganek do ich domku. Pomyślał, że mogliby sobie kupić dzwonki wiatrowe i huśtawkę, a do tego mały piecyk, żeby spędzać na

zewnątrz chłodne wieczory. A potem, gdy poczuł wibracje zbliżających się do drzwi kroków, zdał sobie sprawę, że jest całkowicie i totalnie usmażony. Że wszyscy się o tym dowiedzą. Że żadna ilość kropli Visine ani kawy nie zamaskuje jego usmażenia. Dwadzieścia lat funkcjonowania na haju na nic mu się teraz nie przyda – stracił swoje zdolności, wypadł z gry, oko tygrysa nabiegło krwią.

– Cześć, Theo – powiedziała Lena, otwierając drzwi.

Miała na sobie luźną, męską bluzę i czerwone skarpetki. Jej długie, czarne włosy, które zazwyczaj spływały na plecy jak ciekła satyna, były poplątane z tyłu, a przy uchu sterczał zawinięty kędzior. Tak wyglądają włosy po seksie.

Theo przestąpił na ganku z nogi na nogę, jak młody chłopak, który chce zaprosić dziewczynę z sąsiedztwa na pierwszą randkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tak wczesnej porze, ale zastanawiałem się, czy nie widziałas Dale’a. To znaczy, od poniedziałku.

Odsunęła się od drzwi, jakby miała zaraz zemdleć. Pewnie wiedziała, że Theo jest na haju.

– Nie, Theo. A co?

– No, eee, zadzwoniła Betsy i powiedziała, że Dale nie wrócił na noc do domu. – Betsy to była nowa żona/dziewczyna/ktoś tam Dale’a. Pracowała jako kelnerka w „H.R” i w ciągu paru lat zaskrynęła licznymi romansami z żonatymi mężczyznami. – Ja tylko, ee...

– Dlaczego mu nie przerywała? Nie chciał powiedzieć, że wie o ich sporadycznych seksualnych spotkaniach. Nie powinien wiedzieć. – No więc, po prostu się zastanawiałem.

– Cześć, kto to jest? – spytał jasnowłosy facet bez koszuli, który pojawił się w drzwiach za Leną.

– O, chwała Bogu – powiedział Theo, biorąc głęboki wdech. – Nazywam się Theo Crowe. Jestem tu posterunkowym.

Zerknął na Lenę, czekając, aż przedstawi mu nieznanego.

– To jest Tucker... ee, Tuck.

Nie miała pojęcia, jak facet ma na nazwisko.

– Tucker Case – powiedział Tucker Case, obchodząc Lenę i wyciągając rękę. – Powinienem się chyba przedstawić wcześniej, skoro robimy w tej samej branży.

– A jaka to branża? – Theo nigdy nie uważał się za przedsiębiorcę, ale wyglądało

na to, że teraz nim został.

– Latam śmigłowcem dla Agencji Antynarkotykowej – wyjaśnił Tucker Case. – Wie pan, podcierwień, poszukiwanie upraw marychy i tak dalej.

Cofnąć się! Serce przestało bić! Pięćset miligramów adrenaliny, zastrzyk bezpośrednio w osierdzie! Tracimy go! Cofnąć się!

– Miło pana poznać – powiedział Theo z nadzieją, że nie widać po nim niewydolności serca. – Przepraszam, że przeszkodziłem. Pójdę już.

Puścił dłoń Tucka i zaczął się oddalać, myśląc: nie idź jak naspawany, nie idź jak naspawany! Na miłość boską, jak ja to robiłem przez te wszystkie lata?

– Ee, panie posterunkowy – odezwał się Tuck. – A po co pan wpadł? Auć!

Theo odwrócił się. Lena przyłożyła pilotowi w ramię, najwyraźniej dość mocno, bo ten właśnie je rozmasowywał.

– Ee, po nic. Taki jeden facet nie wrócił ostatniej nocy do domu i myślałem, że Lena może wiedzieć, dokąd poszedł.

Theo chciał się cofnąć, ale zatrzymał się, pomyślawszy, że może się potknąć na schodach ganku. Jak by to wyjaśnił Agencji Antynarkotykowej?

– Ostatniej nocy? To nawet nie jest zaginiony od, mmm, dwudziestu czterech, czterdziestu ośmiu godzin? Auć! Cholera, po co tak robisz? – Tucker Case potarł ramię, w które znowu oberwał od Leny, Theo pomyślał, że ta kobieta ma chyba problem z przemocą wobec mężczyzn.

Lena popatrzyła na Theo i uśmiechnęła się, jakby się wstydziła swojego ciosu.

– Molly dzwoniła do mnie rano i powiedziała mi o Dale'u. Wyjaśniłam, że go nie widziałam. Nie mówiła ci?

– Jasne. Jasne, że mi mówiła. Tylko, wiesz, myślałem, że może coś ci przyjdzie do głowy. To znaczy, twój przyjaciel ma rację, Dale nie został oficjalnie uznany za zaginionego, ale, wiesz, to małe miasteczko, a ja, wiesz, mam swoje obowiązki i w ogóle.

– Dzięki, Theo – powiedziała Lena, machając mu na pożegnanie, choć stał zaledwie o dwa metry od niej i wcale nie zbierał się do odejścia. Pilot też machał i się uśmiechał.

Theo nie podobało się towarzystwo świeżo upieczonych kochanków, którzy dopiero co się ze sobą bzyknęli, zwłaszcza że sprawy w jego związku nie układały się najlepiej. Ci tutaj wyglądali na zadowolonych, mimo że niczego nie udawali.

Zauważył, że z dachu ganku zwiesza się coś ciemnego, dokładnie tam, gdzie na ganku Molly wisiałyby dzwonki wiatrowe, gdyby właśnie nie poświęcił bezpieczeństwa ich małżeństwa, wracając do środków odurzających. To coś nie mogło być tym, czym się wydawało.

– Więc to jest, ee, to wygląda jak...

– Nietoperz – powiedziała Lena.

Ja pierdołę, pomyślał Theo, ale ogromny.

– Nietoperz – powtórzył. – Jasne. Oczywiście'cie.

– Nietoperz owocożerny – sprecyzował Tucker Case. – Z Mikronezji.

– A, tak – powiedział Theo. Nie istniało coś takiego jak Mikronezja. Ten blondas robił go w konia. – Dobra, to do zobaczenia.

– Spotkamy się na przyjęciu dla samotnych w piątek – odezwała się Lena. – Pozdrów Molly.

– Okej – odparł Theo, wsiadając do volvo. Zatrzasnął drzwi. Tamci wrócili do środka. Oparł głowę na kierownicy. Oni wiedzą, pomyślał.

– On wie – powiedziała Lena, opierając się o drzwi.

– Nie wie.

– Jest sprytniejszy, niż się wydaje. Wie.

– Nie wie. I wcale nie wyglądał na głupiego, tylko jakby naspawanego.

– Nie był naspawany, tylko podejrzliwy.

– Nie sądzisz, że gdyby był podejrzliwy, mógłby cię zapytać, gdzie byłaś ostatniej nocy?

– No, przecież widział, łąziłeś bez koszuli, a ja byłam taka... taka...

– Zadowolona?

– Nie, chciałam powiedzieć „rozczochrana”. – Uderzyła go w ramię. – Kurde, skończ już z tym.

– Auć. Przestań się tak zachowywać.

– Mam kłopoty – stwierdziła Lena. – Mógłbyś mnie przynajmniej wspierać.

– Wspierać? Pomogłem ci ukryć ciało. W niektórych krajach uznaje się to za współudział.

Zamachnęła się, by znowu go uderzyć, ale się powstrzymała. Wciąż jednak trzymała pięść uniesioną, tak na wszelki wypadek.

- Naprawdę myślisz, że nie nabrał podejrzeń?
- Nie spytał nawet, dlaczego na werandzie wisi wielki nietoperz owocożerny.
- A dlaczego na werandzie wisi wielki nietoperz owocożerny?
- Dobrodziejstwo inwentarza. – Uśmiechnął się.

Czuła się teraz głupio, stojąc tak z uniesioną pięścią. Czuła się też niedouczona, tępą, niecywilizowaną, niedorozwiniętą – widziała w sobie wszystkie te cechy, które na ogół przypisywała tylko innym. Weszła za nim do sypialni.

- Przepraszam, że cię uderzyłam.

Wkładając koszulę, Tuck potarł posiniaczone ramię.

- Masz niebezpieczne skłonności. Może powinienem schować łopatę?
- To okropne, że tak mówisz. – Już chciała go uderzyć, ale zamiast tego postanowiła wypaść bardziej cywilizowanie i mniej groźnie i objęła go. – To był wypadek.
- Puść. Muszę iść, żeby wypatrywać złych ludzi ze swoje go śmigłowca – powiedział, klepiąc ją w tyłek.

- Nietoperza zabierzesz ze sobą, prawda?
- Nie masz ochoty na jego towarzystwo?
- Bez urazy, ale jest trochę straszny.
- Nawet nie wiesz jak bardzo – stwierdził Tuck.

Rozdział 8

ŚWIĘTA ZŁAMANYCH SERC

Bożonarodzeniowa Amnestia. Możesz zerwać kontakty z przyjaciółmi, nie odbierać telefonów, ignorować e-maile, unikać kontaktu wzrokowego w Tanim Markecie, zapominać o urodzinach, rocznicach i spotkaniach, lecz jeśli pojawisz się w ich domu podczas przerwy świątecznej (z prezentem), mocą nakazu społecznego będą ci musieli przebaczyć i zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Przyzwoitość nakazuje, by przyjaźń trwała dalej, bez poczucia winy i wzajemnych oskarżeń. Jeśli dziesięć lat temu w październiku zaczęliście partię szachów, musisz sobie tylko przypomnieć, czyj teraz ma być ruch – albo dlaczego tymczasem sprzedałeś szachy i kupiłeś X-boxa. (Widzicie, Bożonarodzeniowa Amnestia to cudowne zjawisko, ale nie przeskok między wymiarami. Prawa czasu i przestrzeni nadal obowiązują. Nie próbuj jednak wykorzystywać rozszerzania się wszechświata jako wymówki – na przykład, że ciągle chciałeś do nich wpaść, ale ich dom coraz bardziej się oddalał. Takie bzdury nie przejdą. Powiedz po prostu: „Przepraszam, że nie dzwoniłem. Wesołych świąt”. Potem pokaż prezent. Protokół Bożonarodzeniowej Amnestii nakazuje, by przyjaciel odpowiedział: „Nie szkodzi” i wpuścił cię bez dalszych komentarzy. Tak to się zawsze odbywa).

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewał? – spytał Gabe Fenton, gdy otworzył drzwi i zobaczył w nich swojego starego przyjaciela, Theophilusa Crowe’a, z prezentem.

Gabe, niski i zylasty czterdziestopięciolatek, nieogolony i lekko łysiejący, miał na sobie spodnie khaki, które wyglądały tak, jakby spał w nich od tygodnia.

– Wesołych świąt, Gabe – powiedział Theo, wyciągając prezent z wielką, czerwoną kokardą.

Zamachał nim w przód i w tył, jakby chciał powiedzieć: „Hej, mam tu prezent, nie powinienes się rzucać tylko dlatego, że przez trzy lata nie dzwoniłem”.

– Ta, ładny – stwierdził Gabe. – Ale mogłeś zadzwonić.

– Przepraszam. Chciałem, ale związałeś się z Val i wolałem wam nie przeszkadzać.

– Rzuciła mnie, wiesz? – Gabe przez kilka lat spotykał się z Valerie Riordan, jedyną psychiatrą w miasteczku. Ale nie przez ostatni miesiąc.

– Tak, słyszałem. – Theo słyszał, że Val pragnie kogoś bardziej obytego z ludzką

kulturą niż Gabe.

Gabe był pracującym w terenie biologiem behawioralnym, który badał dzikie gryzonie albo ssaki morskie, zależnie od tego, kto dane badania finansował. Mieszkał w małym, komunalnym domku przy latarni morskiej, wraz ze swoim pięćdziesięciokilogramowym labradorem, Skinnerem.

– Słyszałeś? I nie zadzwoniłeś?

Zbliżało się południe i Theo przestawał już odczuwać szum w głowie, wciąż jednak był nawalony. Faceci nie powinni się skarżyć na brak wsparcia ze strony przyjaciela, chyba że chodziło o pomoc w knajpianej bójce albo w przeniesieniu czegoś ciężkiego. To nie było normalne zachowanie. Może Gabe naprawdę powinien spędzać więcej czasu wśród istot ludzkich.

– Słuchaj, Gabe, przyniosłem ci prezent – powiedział Theo. – Zobacz, jak Skinner cieszy się na mój widok.

Skinner rzeczywiście cieszył się na widok Theo. Przepychał się w drzwiach ze swoim panem, waląc grubym ogonem we framugę niczym w werbel. Kojarzył Theo z hamburgerami i pizzą, a kiedyś uważał go za zastępczego Faceta od Żarcia (podstawowym Facetem od Żarcia był Gabe).

– No, chyba powinieneś wejść – powiedział biolog.

Odsunął się od drzwi i wpuścił Theo do środka. Skinner przywitał się, wciskając nos w krocze Theo.

– Pracuję tutaj, stąd ten lekki bałagan.

„Lekki bałagan”? Mało powiedziane. Zupełnie jakby Marsz Śmierci na Bataan nazwać wycieczką krajoznawczą – wyglądało to tak, jakby ktoś załadował wszystkie rzeczy Gabe’a do armaty i strzelił nimi przez ścianę do pomieszczenia. Brudne ciuchy i naczynia pokrywały każdy skrawek powierzchni, z wyjątkiem stołu roboczego, który był nieskazitelnie czysty, jeśli nie liczyć szczurów.

– Ładne szczury – powiedział Theo. – Co z nimi robisz?

– Badam.

Gabe usiadł przed dwudziestolitrowymi terrariami, ustawionymi w kształt gwiazdy wokół środkowego zbiornika i połączonymi rurami firmy Habitrail, z drzwiczkami umożliwiającymi szczurom przechodzenie z jednego pomieszczenia do drugiego. Każdy szczur miał przyklejony do grzbietu srebrny krążek, mniej więcej

wielkości ćwierćdolarówki. Theo patrzył, jak Gabe otwiera drzwiczki. Jeden ze szczurów pomknął do środkowego zbiornika, gdzie natychmiast spróbował pokryć jego mieszkańca. Biolog podniósł niewielkiego pilota i nacisnął guzik. Atakujący szczur niemal zrobił fikołka, próbując się wycofać.

– Ha! Dostał nauczkę! – wykrzyknął Gabe. – Samica w środkowej klatce ma ruję.

Szczur cofnął się niepewnie i zaczął niuchać, po czym znowu podjął próbę kopulacji. Gabe nacisnął przycisk. Samca odrzuciło.

– Ha! Teraz rozumiesz?! – wykrzyknął Gabe podekscytowanym głosem. Podniósł wzrok znad klatek i popatrzył na Theo. – Mają elektrody na jądrach. Te srebrne krążki to baterie i odbiorniki sygnałów z nadajnika. Za każdym razem, kiedy się podnieci, walę mu pięćdziesiąt woltów w te maleńkie jajka.

Szczur podjął kolejną próbę i Gabe znowu nacisnął guzik. Gryzoń rzucił się w kąt klatki.

– Głupi gnojek! – krzyknął Gabe. – Człowiek myśli, że czegoś się nauczą. Każdego porażę dziś prądem dziesięć razy, ale kiedy jutro otworzę klatkę, pobiegną tam z powrotem i znów będą próbowały ją pokryć. Widzisz, widzisz, jacy jesteśmy?

– My?

– My. Samce. Widzisz, jacy jesteśmy. Wiemy, że nie czeka nas nic oprócz bólu, ale wracamy raz za razem.

Gabe zawsze był taki spokojny, opanowany, profesjonalnie zdystansowany, z obsesją na punkcie nauki, niezawodnie nawiedzony, a dzisiaj Theo odniósł wrażenie, że rozmawia z zupełnie innym człowiekiem, jakby ktoś zdarł z niego cały intelekt, odsłaniając nerwy.

– Ee, Gabe, nie jestem pewien, czy powinniśmy się porównywać z gryzoniami. To znaczy...

– O, jasne. Teraz tak mówisz. Ale jeszcze zadzwonisz i powiesz, że miałem rację. Coś się wydarzy i zadzwonisz. Ona zdepcze ci serce, a ty dokończysz dzieła zniszczenia. Mam rację? Mam rację?

– Ee, ja... – Theo myślał o seksie na cmentarzu i kłótni z Molly, która potem nastąpiła.

– W takim razie zmiana skojarzeń. Spójrz na to. – Gabe pognął do regału, przerzucając plik specjalistycznych czasopism i notatników, aż w końcu znalazł to czego

szukał. – Popatrz. Popatrz na nią. – Podniósł najnowszy katalog bielizny Victorias Secret. Modelka na okładce miała na sobie garderobę, która nadzwyczaj nieudatnie zakrywała jej wdzięki. Wydawała się z tego powodu przeszczęśliwa. – Piękna, co? Oszalamiająca, co? Pozostań przy tej myśli. – Sięgnął do kieszeni bojówek i wyciągnął stalowy nadajnik, taki sam, jaki leżał na stole ze szczurami. – Piękna – powiedział i nacisnął guzik.

Plecy biologa wygięły się w łuk i nagle stał się o piętnaście centymetrów wyższy, gdy wszystkie mięśnie w jego ciele naprężyły się jednocześnie. Zatrząsł się dwa razy konwulsyjnie, po czym runął na podłogę, wciąż ściskając w dłoni zmięty katalog.

Skinner zaczął szczeukać jak oszalały. „Nie umieraj, Facecie od Żarcia, moja miska jest na werandzie, a sam nie otworzę drzwi”. Za każdym razem było tak samo, zawsze się cieszył, że Facet od Żarcia tak naprawdę nie umarł, teraz jednak konwulsje wywołały u psa niepokój.

Theo rzucił się przyjacielowi na pomoc. Gabe przewrócił oczami i zadrżał kilka razy, nim w końcu głęboko odetchnął i popatrzył w twarz Theo.

– Widzisz. Zmiana skojarzeń. Nie minie wiele czasu, a będę tak reagował nawet bez elektrod przyklejonych do moszny.

– Dobrze się czujesz?

– O, tak. Utrwali się, wiem to. Ze szczurami na razie się nie udało, ale mam nadzieję, że się uda, zanim wszystkie pozdychają.

– Zdychają od tego?

– No, musi boleć, bo inaczej niczego się nie nauczą. – Gabe znów podniósł pilota, a Theo wyrwał mu urządzenie z ręki.

– Przestań!

– Mam drugi zestaw elektrod i odbiornik. Chcesz spróbować? Strasznie bym chciał wypróbować to w praktyce. Możemy iść do baru ze striptizem.

Theo pomógł mu wstać, po czym posadził go na krześle plecami do stołu i przysunął drugie krzesło dla siebie.

– Gabe, nie panujesz nad sobą. Przepraszam, że nie zadzwoniłem.

– Wiem, że byłeś zajęty. W porządku.

Świetnie, teraz przyjął właściwą postawę Amnestii Świątecznej, pomyślał Theo.

– Te szczury, elektrody, to wszystko jest nie w porządku.

Skończysz albo z bandą paranoicznie mizoginicznych samców, albo ze stosem

trupów.

- Mówisz tak, jakby to było coś złego.
- Masz złamane serce. Wyjdiesz z tego.
- Powiedziała, że jestem nudny.
- Szkoda, że nie widziała tego. – Theo wskazał pomieszczenie.
- Nie interesowała się moją pracą.
- Dobrze wam poszło. Pięć lat. Może po prostu nadszedł czas. Sam mówiłeś, samiec gatunku ludzkiego nie jest przystosowany do monogamii.
- Tak, ale wtedy miałem dziewczynę.
- Czyli to nieprawda?

– Nie, to jest prawda, ale nie przeszkadzało mi to, kiedy miałem dziewczynę. Teraz wiem, że jestem biologicznie zaprogramowany do rozsiewania nasienia moich lędźwi, gdzie się tylko da, do parzenia się z jak największą liczbą samic, do gorącej, bezsensownej kopulacji z jedną płodną samicą, by zaraz znaleźć inną. Moje geny wymagają, bym przekazał je dalej, a ja nie wiem od czego zacząć.

- Mógłbyś wziąć prysznic, nim zaczniesz rozsiewanie.
- Myślisz, że nie wiem? Dlatego próbuję przeprogramować swoje instynkty.

Okiełznać zwierzęcość, jak to się mówi.

- Bo nie chcesz iść pod prysznic?
- Nie. Bo nie wiem jak rozmawiać z kobietami. Z Val umiałem rozmawiać.
- To był jej zawód.
- Wcale nie. W życiu nie przespała się z nikim za kasę.
- Słuchanie, Gabe. Słuchanie to był jej zawód. Była psychiatrą.
- A, tak. Myślisz, że powinienem zacząć od prostytutki albo prostytutek?

– Z powodu zawodu miłosnego? Tak, na pewno zdałoby to egzamin nie gorzej od elektrod na mosznie, ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić. – Theo pomyślał, że być może, tylko być może, jakaś praca – normalna praca pomoże przyjacielowi odzyskać równowagę. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął kosmyk jasnych włosów, który wyciągnął z nadkola volvo. – Chcę, żebyś na to spojrział i coś mi o tym powiedział. Gabe wziął włosy i uważnie im się przyjrzał.

- Czy to dowód przestępstwa?
- W pewnym sensie.

- Skąd je wzięłeś? I co chcesz wiedzieć?
- Powiedz mi, ile możesz, a dopiero potem ja będę mówił, dobra?
- Wyglądają mi na blond.
- Dzięki, Gabe. Myślałem, że może obejrzysz je pod mikroskopem albo coś.
- A biuro szeryfa nie ma laboratorium kryminalnego do takich spraw?
- Ma, ale nie mogę tego tam zanieść. Mam swoje powody.
- Na przykład?
- Na przykład mogą uznać, że jestem naćpany albo stuknięty, albo jedno i drugie.

Spójrz na włosy – poprosił Theo. – Ty powiesz, a potem ja powiem.

- Dobra, ale nie mam takich fajnych rzeczy jak w Wydziale Śledczym.
- Tak, ale goście z laboratorium kryminalnego nie mają baterii przyklejonych superklejem do jąder. A ty masz.

Dziesięć minut później Gabe podniósł wzrok znad mikroskopu.

- Nie są ludzkie – oświadczył.
- Super.
- Właściwie w ogóle nie wygląda to na włosy.
- W takim razie, co to takiego?
- No, wydaje się, że mają wiele cech włókien światłowodowych.
- Czyli to dzieło ludzkich rąk?
- Powoli. Mają cebulkę, ale nie wyglądają na zbudowane z keratyny. Musiałbym je zbadać pod kątem białek. Jeśli je wytworzono, proces produkcyjny nie zostawił żadnych śladów. Wyglądają, jakby wyrosły, a nie zostały wyprodukowane. Wiesz, włosy niedźwiedzi polarnych mają cechy światłowodów: przenoszą energię cieplną przez czarną skórę.
- Czyli to sierść niedźwiedzia polarnego?
- Powoli.
- Gabe, na litość boską, skąd to się, do diabła, wzięło?
- Ty mi powiedz.
- Ale niech to zostanie między nami, dobra? To, co teraz powiem, nie wyjdzie poza ściany tej chaty, o ile nie uzyskam jakiegoś potwierdzenia, tak?
- Jasne. Dobrze się czujesz, Theo?
- Czy dobrze się czuję? Ty mnie pytasz, czy dobrze się czuję?

– Między tobą a Molly wszystko w porządku? A praca? Nie zaczęłaś znowu palić trawki, prawda?

Theo zwiesił głowę.

– Mówiłaś, że masz jeszcze drugą parę elektrod?

Gabe pokraśniał.

– Musisz ogolić fragment skóry. Pozwolisz mi otworzyć prezent, kiedy będziesz w łazience? Możesz użyć mojej maszynki.

– Nie, śmiało, otwórz prezent. Muszę ci powiedzieć o paru sprawach.

– O raję, malakser. Dzięki, Theo.

– Zabrał malakser – powiedziała Molly.

– O! Był dla niego ważny? – zdziwiła się Lena.

– Prezent ślubny.

– Wiem, sama wam go dałam. Też dostaliśmy go z Dalem w prezencie ślubnym.

– Widzisz, to była tradycja. – Molly była niepokieszona.

Wypiła pół swojej dietetycznej coli i walnęła plastikowym kubkiem z logiem Budwaisera o bar, niczym pirat klnący nad kielichem grogu. – Sukinsyn!

Był środowy wieczór i siedziały w barze „Głowa Ślimaka”. Miały omówić sprawę jedzenia na świąteczne przyjęcie dla samotnych. Kiedy Molly poprosiła o pomoc, Lena chciała się z początku wykręcić i zostać w domu. Ale kiedy już wymyślała sobie wymówkę, dotarło do niej, że w domu będzie tylko miała natrętne myśli: na przemian o tym, że złapią ją za zabójstwo Dale’a, i o tym, że ten dziwny pilot śmigłowca złamie jej serce. Stwierdziła, że może spotkanie z Molly i Mavis w barze to nie jest taki zły pomysł. Może nawet uda jej się dowiedzieć od Molly, czy Theo podejrzewa ją w sprawie zniknięcia Dale’a. Choć pewnie były na to małe szanse, skoro Moily szalała z powodu Theo, niezależnie od tego, co facet zrobił nie tak. Lena miała wrażenie, że tylko wziął malakser do pracy. Należało współczuć przyjaciółkom w kłopotach, były to jednak, cokolwiek by mówić, ich kłopoty, a przyjaciółki Leny, z Molly na czele, bywały lekko stuknięte.

W knajpie roilo się od singli po dwudziestce i trzydziestce. Wyczuwało się desperacką energię, iskrzącą w całym mrocznym pomieszczeniu, jakby samotność miała ładunek ujemny, a seks ładunek dodatni, i jakby ktoś stykał oba kable ze sobą nad wiadrem benzyny. Był to skutek świątecznego cyklu złamanych serc, który rozpoczynał

się od młodych mężczyzn. Brakowało im silniejszej motywacji do zmian w życiu, więc zrywali z aktualnymi dziewczynami, by nie kupować im gwiazdkowych prezentów. Zrozpaczone kobiety dąsały się przez parę dni, jadły lody i nie dzwoniły do rodziny, ale, gdy perspektywa samotnego Bożego Narodzenia i Sylwestra stawała się coraz bliższa, gromadnie waliły do „Głowy Ślimaka” w poszukiwaniu towarzysza, dosłownie dowolnego towarzysza, z którym mogłyby spędzić święta. Cała naprzód i zapomnijmy o prezentach. Z kolei samotni mężczyźni z Pine Cove, by okazać swoją nowo zdobytą wolność, przychodzili do „Ślimaka” i korzystali z awansów odrzuconych kobiet. Była to małomiasteczkowa, seksualna gra w krzeselka do wynajęcia, w którą bawiono się do melodii Cichej nocy. Każdy liczył, że po pijanemu wpadnie w jakieś przytulne ramiona, zanim wybrzmia ostatnie dźwięki.

Wydawało się jednak, że wokół Leny i Molly wytworzyła się szklana kula, żadna z nich bowiem nie brała udziału w zabawie. Choć obie były wystarczająco atrakcyjne, żeby przyciągać uwagę młodszych mężczyzn, okrywała je woalka doświadczenia i niepodatności na gładkie gadki. Widać było, że ten etap mają za sobą. Prawdę mówiąc, budziły przerażenie adoratorów ze „Ślimaka”, z wyjątkiem tych najbardziej zalanych, a fakt, że piły dietetyczną colę bez żadnych dodatków, odstraszał także pijaków. Molly i Lena, pomimo swoich problemów, zabiły w sobie smoki świątecznej rozpacz – zresztą właśnie stąd wziął się pomysł świątecznego przyjęcia dla samotnych. Obie kobiety miały inne, indywidualne obawy.

– Kanapki z mielonką – powiedziała Mavis Wielka chmura dymu o niskiej zawartości substancji smolistych owiała Lenę i Molly wraz z tymi słowami. W Kalifornii palenie w barach było od lat zakazane, Mavis jednak lekceważyła prawo oraz władze (Theopilusa Crowe’a) i paliła dalej. – Kto nie lubi mielonki w bułce?

– Mavis, to Boże Narodzenie – odparła Lena.

Jak dotąd, Mavis proponowała tylko miękkie i płynne przekąski. Lena podejrzewała, że Mavis znowu zgubiła sztuczną szczękę i dlatego optowała za daniami, które da się pogryźć za pomocą samych dziąseł.

– No to z piklami. Czerwony sos, zielone pikle, świąteczny klimat.

– Chodzi mi o to, czy nie powinniśmy zrobić na święta czegoś fajnego? Nie tylko bułki z mielonką?

– Za pięć dolców na głowę? Mówiłam, że grill to jedyny sposób, żeby ich

wszystkich nakarmić. – Mavis pochyliła się ku Molly, która mruczała coś wściekłym tonem do kostek lodu. – Ale najwyraźniej wszyscy uważają, że będzie padać. Tak jakby kiedykolwiek w grudniu padało.

Molly podniosła wzrok i cicho warknęła, a potem spojrzała na ekran telewizora za plecami Mavis i pokazała go palcem. Dźwięk był wyłączony, pokazywano jednak mapę pogodową Kalifornii. Mniej więcej tysiąc trzysta kilometrów od wybrzeża widniała wielka plama koloru, wirująca w rytmie zmieniających się zdjęć satelitarnych, co wyglądało tak, jakby barwna ameba miała lada chwila pochłonąć okolice zatoki.

– To nic takiego – stwierdziła Mavis. – Nawet nie nadadzą temu imienia. Gdyby to było coś takiego, jak na Bermudach, miałyby imię już od dwóch dni. A wiecie, dlaczego? Bo tutaj one nigdy nie docierają do brzegu. Ta sukaskręci w prawo sto mil od Wyspy Anacapa, poleci w dół i zwali się na Jukatan. A my tymczasem nie będziemy mogli myć samochodów z powodu suszy.

– Deszcz powstrzyma przynajmniej ataki pustynnych piratów – powiedziała Molly, gryząc kostkę lodu.

– Hę? – spytała Lena.

– Co, kurde, mówiłaś? – Mavis dostroiła aparat słuchowy.

– Nic – odparła Molly. – A co myślicie o lazanii? Wiecie, pieczywo czosnkowe, trochę sałatki.

– Tak, pewnie da się zrobić za pięć dolców na głowę, jeśli zrezygnujemy z sosów i sera – stwierdziła Mavis.

– Lazanię bym sobie odpuściła, to nie jest specjalnie świąteczna potrawa – powiedziała Lena.

– Mogłybyśmy podać ją w rondlach z Mikołajem – podsunęła Molly.

– Nie! – warknęła Lena. – Żadnych Mikołajów! Może być bałwanek czy coś, ale żadnych pieprzonych Mikołajów. Mavis wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Leny.

– Mikołaj niejednej z nas wyciął numer, kiedy byliśmy małe, skarbie. Ale kiedy zaczynają ci rosnać wąsy, trzeba zapomnieć o tych bzdurach.

– Nie rosna mi wąsy.

– Używasz wosku? Bo nic nie widać – powiedziała Molly, starając się okazać wsparcie.

– Nie mam wąsów – odparła Lena.

– Myślisz, że to źle być Meksykanką? Rumunki zaczynają się golić w wieku dwunastu lat – wtrąciła Mavis. Lena skorzystała z okazji, by oprzeć łokcie na stole i chwycić się garściami za włosy. Po chwili zaczęła je ciągnąć, powoli i jednostajnie, by podkreślić swoje słowa.

– Co? – spytała Mavis.

– Co? – spytała Molly.

Na chwilę zapadło krępujące milczenie. Było słychać tylko stłumiony rytm szafy grającej w tle i cichy gwar głosów ludzi, kłamiących sobie nawzajem. Trzy kobiety rozglądały się dookoła, by nic nie mówić, a potem odwróciły się w stronę wejścia. Vance McNally, starszy sanitariusz z Pine Cove, wszedł do środka i wydał z siebie przeciągłe, chrapliwe beknięcie.

Vance był po pięćdziesiątce i uważał się za podrywacza oraz bohatera, chociaż w istocie był trochę głupkiem. Jeździł karetką już od ponad dwudziestu lat i nic nie sprawiało mu takiej frajdy, jak przynoszenie złych wieści. Dzięki temu czuł się ważny.

– Słyszeliście, że patrol drogowy znalazł pickupa Dale’a Peatsona, zaparkowanego w Big Sur przy skale Lime Kiln? Wygląda na to, że łowił ryby i spadł. Przez ten sztorm idzie taka fala, że nigdy go nie znajdą. Theo prowadzi tam teraz dochodzenie.

Lena opadła na barowy stół, po czym znów się podniosła. Była pewna, że wszyscy w barze, a przynajmniej miejscowi, patrzą na nią, by sprawdzić, jak zareaguje. Pozwoliła, by długie włosy opadły jej wokół twarzy, ukrywając ją przed spojrzeniami.

– No to zrobimy lazanie – powiedziała Mavis.

– Ale bez pieprzonych rondli z Mikołajami! – warknęła Lena, nie podnosząc wzroku.

Mavis sprzątnęła z baru oba plastikowe kubki.

– W normalnych okolicznościach przestałabym wam podawać alkohol. Ale w tej sytuacji wydaje mi się, że powinnyście właśnie zacząć pić.

Rozdział 9

MIEJSCOWI FACECI MIEWAJĄ PRZEBŁYSKI

W czwartkowy poranek wieść nabrała oficjalnego charakteru: Dale Pearson, wredny deweloper, został uznany za zaginionego. Theo Crowe sprawdzał wielkiego, czerwonego pickupa zaparkowanego nad grzmiącym Pacyfikiem przy skale Limę Kiln w parku przyrodniczym Big Sur ponad Pine Cove. W tej okolicy nakręcono połowę reklam samochodów na świecie – wszelkie wozy, od minivanów z Detroit po niemieckie luksusowe limuzyny – filmowano, jak jeżdżą po klifach Big Sur, jakby wystarczyło podpisać dokumenty kredytowe, by życie zmieniło się w drogę nad spienionymi falami uderzającymi o majestatyczne urwiska, wiodącą ku słodkiemu lenistwu i bogactwu. Zaparkowany nad morzem wielki czerwony samochód Dale’a Pearsona faktycznie wyglądał beztrosko i dostatnio, choć na lakierze tworzyła się warstewka soli i odnosiło się wrażenie, że właściciela zmyła fala. Theo życzył sobie, żeby tak właśnie było. Patrol drogowy, który znalazł pickupa, zgłosił to jako wypadek. Na kamieniach leżała wędka do morskich połowów, dogodnie oznaczona inicjałami Dale’a. A w pobliżu znaleziono wyrzuconą na brzeg czapkę Mikołaja, którą ostatnio nosił. Na tym właśnie polegał problem. Betsy Butler, laska Dale’a, powiedziała, że ten wyszedł dwa wieczory wcześniej, by zagrać Mikołaja w Łoży Caribou, i nie wrócił do domu. Kto jeździł na ryby w środku nocy w czapce Mikołaja? Jasna sprawa, według innych członków Caribou, Dale „trochę wypił” i był trochę zakręcony po konfrontacji z byłą żoną, ale chyba nie postradał zmysłów do reszty. Pokonywanie klifów przy skale Limę Kiln, by dostać się do wody, stanowiło ogromne ryzyko nawet za dnia. Niemożliwe, by Dale próbował to zrobić w środku nocy. (Theo potknął się i ześlizgnął pięć metrów w dół, zanim zdołał się zatrzymać, nadwerężając sobie przy tym grzbiet. Jasne, że był trochę naspawany, ale z drugiej strony, Dale był trochę pijany). Facet z patrolu, który był obcięty na jeża i wyglądał na jakieś dwanaście lat – jakby uciekł z jednego z filmów o higienie, które Theo oglądał w szóstej klasie – Dlaczego Mary nie chce wejść do wody? – przekazał mu swój raport, po czym wsiadł do radiowozu i odjechał wzdłuż wybrzeża do hrabstwa Monterey. Theo wrócił i znowu obejrzał ciężarówkę.

Wszystko, co być w niej powinno – trochę narzędzi, czarna latarka Maglite, parę

opakowań z barów szybkiej obsługi, druga wędka, tuba z planami domów – było. Tego, czego być nie powinno – zakrwawionych noży, łusek, odciętych kończyn, śladów środków myjących po sprzątaniu – nie było. Wyglądało to tak, jakby facet tam podjechał, zszedł z klifu i został porwany przez morze. Ale tak być po prostu nie mogło. Może i Dale był złośliwy, szorstki, a nawet gwałtowny, ale nie był głupi. Jeśli dokładnie nie znał topografii tych klifów i nie miał latarki, nigdy nie dotarłby na dół po ciemku. A jego latarka wciąż leżała w samochodzie.

Theo żałował, że nie przeszedł lepszego szkolenia w zakresie dochodzeń na miejscu przestępstwa. Wiedzę na ten temat czerpał głównie z telewizji, a nie z akademii, w której spędził raptem osiem tygodni piętnaście lat temu, kiedy skorumpowany szeryf, znalazłszy jego prywatne poletko trawki, wmanewrował go w funkcję posterunkowego w Pine Cove. Od czasów akademii niemal każde miejsce przestępstwa, na jakie się natknął, było natychmiast przekazywane szeryfowi albo patrolowi drogowemu. W kabinie pickupa szukał czegoś, co mogłoby stanowić poszlakę. Jediną rzeczą, która mogła wydawać się trochę nie na miejscu, była odrobina psiej sierści na zagłówku. Theo nie pamiętał, czy Dale miał psa. Włożył kłaczki sierści do foliowej torebki i zadzwonił z komórki do Betsy Butler. Po głosie nie wydawała się szczególnie załamana zniknięciem Dale'a.

- Nie, Dale nie lubił psów. Kotów też nie lubił. Wolał raczej krowy.
- Lubiał krowy? Może macie krowę? Czy to może być krowia sierść?
- Nie, on lubił je jeść, Theo. Dobrze się czujesz?
- Nie, przepraszam, Betsy. – A był taki pewien, że nie mówi jak naspawany.
- To co, dostanę pickupa? To znaczy, przywieziecie go tu?
- Nie mam pojęcia – odparł Theo. – Odholują go na parking policyjny. Nie wiem, czy wydadzą go tobie. Muszę kończyć, Betsy.

Zamknął telefon. Mole był po prostu zmęczony? Ostatniej nocy Molly kazała mu spać na kanapie, wspominając coś o jego cechach mutanta. Nawet nie wiedział, że lubiła ten malakser. Na pewno poznała, że palił trawkę. Znowu otworzył telefon i zadzwonił do Gabe'a Fentona.

- Hej, Theo. Nie wiem, co mi tu przyniosłeś, ale to nie są włosy. Nie palą się ani nie topią i cholernie ciężko je przeciąć albo złamać. Dobrze, że wyrwano je w całości.

Theo aż się skulił. Niemal zapomniał o stukniętym blondynie, którego przejechał.

Wzruszył ramionami, gdy o tym pomyślał.

– Gabe, mam inne włosy, na które mógłbyś rzucić okiem – powiedział.

– O, mój Boże, Theo, przejechałeś jeszcze kogoś?

– Nie, nikogo nie przejechałem. Kurde, Gabe.

– Dobra, będę tu przez cały dzień. Właściwie to i przez całą noc. To nie jest tak, że mam dokąd iść. Albo że kogoś obchodzi, czy żyję, czy umarłem. To nie jest tak...

– Dobra. Już jadę.

W biurze Domy Wśród Sosen znajdowało się dwóch mężczyzn i trzy kobiety, w tym Lena, gdy do środka wszedł Tucker Case. Kobiety natychmiast się nim zainteresowały, a mężczyźni natychmiast zapalali doń niechęcią. Z Tuckiem zawsze tak to wyglądało. Po bliższym poznaniu kobiety zaczęłyby go lekceważyć, a mężczyźni nadal by go nie lubili. Ogólnie biorąc, był nudziarzem o wyglądzie fajnego gościa – albo jedno, albo drugie działało na jego niekorzyść.

Pomieszczenie przypominało stajnię pełną biurek i Tuck podszedł prosto do biurka Leny z tyłu. Po drodze uśmiechał się do pracowników biura i kiwał im głową, a oni odpowiadali nikłymi uśmiechami, starając się nie wyszczerzać. Byli wykończeni pokazywaniem nieruchomości świątecznym turystom, którzy nie przeprowadziliby się tutaj, nawet gdyby w tym miasteczku-zabawce ktoś dał im pracę. Po prostu nie udało im się zaplanować żadnych atrakcji, zabierali więc dzieciaki na porywający pokaz robienia pośrednika w jajo. Tak przynajmniej głoszą podczas zebrań agentów sieci MLS.

Lena napotkała spojrzenie Tucka i instynktownie się uśmiechnęła, po czym ściągnęła brwi.

– Co tu robisz?

– Pomyślałem o lanczu? Ty. Ja. Jedzenie. Rozmowa. Muszę cię o coś spytać.

– Myślałam, że miałeś latać.

Tuck nie widział jeszcze Leny w biurowym stroju – praktyczna spódnica i bluza, odrobina tuszu i szminki, włosy spięte lakierowanymi pałeczkami, a tu i ówdzie parę luźnych kosmyków okalających twarz. Podobało mu się.

– Latałem całe rano. Pogoda się psuje. Nadciąga sztorm. – Miał wielką ochotę wyciągnąć te pałeczki i rzucić je na biurko, a następnie powiedzieć jej, co naprawdę czuje, a czuł spore podniecenie. – Moglibyśmy zjeść chińszczyznę – dorzucił.

Lena wyjrzała przez okno. Niebo nad sklepami po drugiej stronie ulicy nabierało

ciemnoszarej barwy.

– W Pine Cove nie ma chińskiej knajpy. Poza tym jestem zarobiona po uszy. Zajmuję się wynajmem nieruchomości na święta, a mamy wigilię Wigilii.

– Moglibyśmy skoczyć do ciebie na szybki lancz. Nie masz pojęcia, jaki potrafię być szybki, kiedy się postaram. Lena spojrzała za jego plecy na swoich współpracowników, którzy, ma się rozumieć, gapili się na nią jak jeden mąż.

– O to chciałeś mnie spytać?

– O, nie, nie, jasne, że nie. Nie chciałem... to znaczy chciałem, tak... ale jest coś jeszcze. – Teraz Tuck czuł, że na niego patrzą, że nasłuchują. Pochylił się nad biurkiem Leny, by słyszała go tylko ona. – Powiedziałeś rano, że ten posterunkowy, który jest mężem twojej przyjaciółki, mieszka w domku na skraju rancza. To nie jest to wielkie ranczo na północ od miasta, prawda? Lena wciąż patrzyła za niego.

– Owszem, ranczo Beer-Bar. Należy do Jima Beera.

– A przy domku stoi stary wóz mieszkalny?

– Tak, kiedyś należał do Molly, ale teraz mieszkają razem w domku. A co?

Tuck wyprostował się i uśmiechnął.

– No to niech będą białe róże – powiedział przesadnie głośno na użytek publiczności. – Nie wiedziałem, czy będą odpowiednie na święta.

– Hę? – zdziwiła się Lena.

– Do zobaczenia wieczorem – dodał Tuck.

Pochylił się i pocałował ją w policzek, po czym wyszedł z biura, uśmiechając się ze współczuciem do wykończonych pracowników.

– Wesółych świąt wszystkim – powiedział, machając im spod drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Theo po wejściu do domku Gabe'a Fentona, były terraria z martwymi szczurami. Samica biegała po środkowej klatce. Węszyła, podskakiwała i wydawała się po szczurzemu szczęśliwa, ale pozostałe gryzonie, samce, leżały na grzbietach z łapkami skierowanymi w sufit, niczym plastikowe żołnierzyki na makiecie pobojowiska.

– Jak to się stało?

– Niczego się nie nauczyły. Kiedy skojarzyły porażenie z seksem, zaczęło im się to podobać.

Theo pomyślał o swojej relacji z Molly w ciągu kilku ostatnich dni. Wyobraził

sobie siebie samego w pozie martwego szczura.

– Czyli raziliś je prądem, aż zdechły?

– Musiałem utrzymywać parametry eksperymentu na stałym poziomie.

Theo z powagą pokiwał głową, jakby doskonale rozumiał, choć to nie było prawdą. Podbiegł Skinner i walnął go z bańki w udo. Theo podrapał psa w ucho, by go pocieszyć.

Skinner martwił się o Faceta od żarcia i liczył, że Zastępczy Facet od Żarcia da mu jedną z tych smakowicie pachnących białych wiewiórek z klatek na stole, skoro podstawowy Facet od Żarcia najwyraźniej skończył już je gotować. Ta pokusa drażniła go tak samo, jak wtedy, kiedy ten dzieciak na plaży udawał, że rzuca piłkę, a wcale nie rzucał. A później znów udawał, że rzuca, i wcale nie rzucał. Skinner po prostu musiał przewrócić dzieciaka i usiąść mu na twarzy. Jejku, ale mu wtedy nawymyślano od niedobrych psów. Nic nie bolało bardziej niż słuchanie takich obelg, ale Skinner wiedział, że jeśli Facet od Żarcia dalej będzie go drażnił białymi wiewiórkami, zostanie zmuszony go przewrócić i usiąść mu na twarzy, a może nawet zrobić kupę do jego buta. Oj, ale ze mnie niedobry pies. Nie, zaraz, Zastępczy Facet od Żarcia drapał go w uszy. O, jakie to przyjemne. Poczul się dobrze. Taki psi xanax. Już, nieważne. Theo podał Gabe'owi foliową torebkę z włosami.

– Co to za tłusta substancja w torebce? – spytał Gabe, oglądając próbkę.

– Resztki chipsów ziemniaczanych. To torebka po moim wczorajszym drugim śniadaniu.

Gabe skinął głową, a potem popatrzył na Theo takim wzrokiem, jakim w telewizji koroner patrzy zwykle na gliniarza – coś w stylu: „Ty matole, nie wiesz, że zanieczyszczasz dowody już przez to, że oddychasz, a ja poczułbym się znacznie lepiej, gdybyś w ogóle przestał?”.

Zaniósł torebkę do mikroskopu na blacie, wyjął włosy i wsunął je do pudełeczka z pokrywką, które następnie włożył pod mikroskop.

– Proszę, nie mów, że to niedźwiedź polarny – powiedział Theo.

– Nie, ale przynajmniej zwierzę. Zdaje się, że ma charakterystyczny zapach śmietany i cebuli. – Gabe odsunął się od mikroskopu i uśmiechnął do posterunkowego. – Tylko się z tobą drażnię. – Szturchnął kumpla w ramię i znowu spojrzął w mikroskop. – Oho, brak rdzenia i niska dwójłomność.

– Oho – powtórzył jak echo Theo, bez powodzenia starając się dać ponieść

emocjom z powodu niskiej dwójłomności.

– Muszę sprawdzić bazę danych włosów w sieci, ale zdaje się, że to z nietoperza.

– Jest o tym baza danych? Włosy nietoperzy kropka com?

– Wiesz, taki cel przyświecał powstaniu Internetu. To miał być system udostępniania danych naukowych.

– A nie dostarczania viagry i pornosów? – spytał Theo.

Może z Gabem wszystko będzie w porządku, pomyślał.

Gabe podszedł do komputera na biurku i zaczął przewijać kolejne ekrany pełne zdjęć owłosienia ssaków, aż znalazł jedno, które mu się spodobało. Następnie wrócił do mikroskopu i jeszcze raz spojrzął w okular.

– No, Theo, trafiłeś na zagrożony gatunek.

– Niemożliwe.

– Skąd to, do diabła, masz? Rudawka wielka, nietoperz owocożerny z Mikronezji.

– Z pickupa marki Dodge.

– Hmm, nie wymieniają go tu wśród naturalnych siedlisk. Ten pickup nie był zaparkowany na Guam, co?

Theo wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Słuchaj, Gabe, muszę iść. Pójdziemy wieczorem do „Ślimaka” na piwo, co?

– Możemy się napić teraz, jeśli chcesz. Mam trochę piwa w lodówce.

– Powinieneś wyjść. Ja też. Dobra? – Theo cofał się do drzwi.

– Dobra. Spotkajmy się tam o szóstej. Muszę podjechać do Taniego Marketu po rozpuszczalnik do superkleju.

– Pa. – Theo zeskoczył z ganku i pognął do volvo.

-

-

Skinner zaszczekał za nim w rytmie cztery na cztery. „Halo? Pyszne białe wiewiórki? Ciągłe w pudełku? Halo? Zapomniałeś?”. Kiedy Theo podjechał pod dom Leny Marquez, stał tam typowy biały samochód z taniej wypożyczalni (ford czort, pomyślał Theo). Poszukał wzrokiem nietoperza zwieszającego się z dachu nad gankiem, ale zwierzaka nie było. Theo jeszcze nie przetrwał doświadczenia związanego z przejechaniem niezniszczalnego blondyna, a już rysowała się przed nim możliwość stanięcia twarzą w twarz z mordercą. Na wszelki wypadek zajrzał do domu i zabrał

pistolet z półki w szafie, a także kajdanki ze szczebelka łóżka, gdzie Molly uwięziła go, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali. (Była akurat na zewnątrz, za domem, i trenowała bambusowym shinai do kendo, którego używała, od kiedy złamała swój miecz – wszedł i wyszedł, nie nawiązując z nią żadnego kontaktu). Odpiął teraz nylonową kaburę glocka, którą nosił przypiętą z tyłu dżinsów, i zadzwonił do drzwi.

Drzwi otworzyły się. Theo krzyknął, wyciągnął pistolet i odskoczył w tył. Z drugiej strony progu Tucker Case też krzyknął i rzucił się w tył, zakrywając twarz rękami. Jego nietoperz wydał z siebie cichy skowyt.

– Nie ruszać się – powiedział Theo. Na szyi czuł przyspieszony puls.

– Nie ruszam się, nie ruszam. O co tu, kurwa, chodzi?

– Ma pan nietoperza na głowie!

– Tak, i za to chce mnie pan zastrzelić?

Nietoperz, który wielkimi czarnymi skrzydłami owinął głowę pilota, sprawiał wrażenie dużej, skórzanej czapki ze sterczącym irokezem sierści, który kończył się psią mordką z dużymi uszami, szczekającą teraz na Theo.

– No, ee, nie.

Theo opuścił pistolet, czując się teraz lekko zmieszany. Wciąż jednak trwał w strzeleckim przysiadzie i gdy już opuścił broń, wyglądał jak najchudszy zapaśnik sumo na świecie.

– Mogę wstać? – spytał Tuck.

– Jasne, chciałem tylko pogadać z Leną.

Tucker Case był przerażony, a nietoperz opadł mu na jedno oko.

– Jest w biurze. Jeśli ma pan być na hajku, może lepiej zostawić pistolet w domu, co?

– Co? – Theo pamiętał o kropłach Visine i minęło już wiele godzin, od kiedy odłożył swoją firkę. Powiedział: – Nie jestem na hajku. Od lat nie byłem na hajku.

– Taa, pewnie. Panie posterunkowy, może pan lepiej wejdzie.

Theo wyprostował się i starał nie sprawiać wrażenia, że widok faceta z nietoperzem na głowie skrócił jego życie o pięć lat. Wszedł za Tuckerem Casem do kuchni Leny, gdzie pilot zaprosił go, by usiadł przy stole.

– No, panie posterunkowy, czym mogę służyć?

Theo nie miał pewności, czy dobrze robi, zamierzał bowiem rozmawiać z Leną, a

przynajmniej z obojgiem naraz.

– No, jak pan pewnie wie, w Big Sur znaleźliśmy samochód byłego męża Leny.

– Pewnie, widziałem go.

– Widział pan?

– Ze śmigłowca, jestem Tucker Case, pilot kontraktowy Agencji Antynarkotykowej, pamięta pan? Może pan sprawdzić, jeśli pan chce. Tak czy owak, patrolowałem okolice.

– Naprawdę?

Nietoperz patrzył na Theo, któremu trudno było przez to zebrać myśli. Nietoperz nosił maleńkie okulary przeciwsłoneczne. Ray-Bany, Theo poznał po znaku firmowym w rogu jednego ze szkielec.

– Przepraszam, panie... ee, Case, mógłby pan zdjąć zwierze z głowy? Ono mnie bardzo rozprasza.

– On.

– Słucham?

– To jest on. Roberto. On nie lubi światła.

– Słucham?

– Pewien mój przyjaciel tak mawiał. Przepraszam. – Tucker Case odwinął nietoperza i odłożył go na podłogę, a zwierzak pajęcym krokiem poczołgał się do salonu.

– Boże, można dostać gęziej skórki.

– Tak, wie pan, jakie są dzieci. Co zrobić? – Na twarzy Tucka odmalował się olśniewający uśmiech. – Czyli znaleźliście pickupa tego faceta? Ale jego już nie?

– Nie. Upozorowano to tak, jakby zmyła go fala, kiedy łowił ryby na skałach.

– Upozorowano? Czyli podejrzewa pan, że coś tu śmierdzi? – Tuck uniósł brwi.

Theo pomyślał, że pilot powinien traktować to poważniej. Nadeszła pora na wytoczenie armat.

– Tak, po pierwsze, we wtorek wieczorem nie wrócił do domu z przyjęcia świątecznego dla członków Caribou, gdzie wygłupiał się jako Mikołaj, Nikt nie idzie wędkować w morzu w środku nocy w stroju Mikołaja. Znaleźliśmy mikołajową czapkę, a ja znalazłem sierść mikronezyjskiego nietoperza owocożernego na zagłówku w samochodzie.

– No, to ci dopiero zbieg okoliczności. Kurde, pewnie pan nabrał podejrzeń, co? –

Tucker Case wstał i podszedł do blatu. – Kawy? Właśnie zaparzyłem.

Theo też wstał, bo nie chciał, by podejrzany uciekł. A może chciał pokazać, że jest wyższy, bo wydawało mu się, że to jego jedyna przewaga nad tym pilotem.

– Tak, to podejrzane. Poza tym, we wtorek wieczorem rozmawiałem z dzieciakiem, który powiedział, że widział kobietę, która łopata zabiła Świętego Mikołaja. Wtedy nic sobie z tego nie robiłem, ale teraz myślę, że może dzieciak naprawdę coś widział.

Tucker Case był zajęty wyjmowaniem filiżanek z szafki i mleka z lodówki.

– Więc powiedział pan temu dzieciakowi, że Mikołaja nie ma, tak?

– Nie powiedziałem.

Teraz tamten odwrócił się z dzbankiem kawy w ręce i popatrzył na Theo.

– Wie pan, że Mikołaja nie ma, prawda, panie posterunkowy?

– To nie są żarty – odparł Theo.

Nie cierpiał takich sytuacji – to on powinien zgrywać cwaniaka wobec władz.

– Ze śmietanką?

Theo westchnął.

– Tak. I z cukrem, proszę.

Tuck skończył przygotowywać kawę, przyniósł filiżanki na stół i usiadł.

– Słuchaj, rozumiem, do czego zmierzasz, Theo. Mogę ci mówić po imieniu?

Theo skinął głową.

– Dzięki. Tak czy siak, Lena była ze mną we wtorek w nocy. Całą noc.

– Naprawdę? Widziałem Lenę w poniedziałek. Nie wspominała o tobie. Gdzie się poznaliście?

– W Tanim Markecie. Była Mikołajem z Armii Zbawienia. Wydała mi się atrakcyjna, więc zaproponowałem spotkanie. No i zaskoczyło.

– Masz zwyczaj umawiać się z Mikołajami z Armii Zbawienia?

– Lena mówiła, że jesteś żonaty z gwiazdą ekranu, niejaką Kendrą, Wojowniczą Laską z Pustkowi.

Theo omal nie bryzgnął kawą przez nos.

– To była bohaterka, którą grała.

– Tak. Lena mówi, że to czasem nie jest do końca jasne. Chodzi mi o to, że miłość można znaleźć wszędzie.

Theo skinął głową. Tak, to była prawda. Zanim odpłynął w tęskny stan umysłu, przypomniał sobie, że ten facet w pośredni sposób atakuje jego kochaną kobietę.

– Ej – powiedział.

– W porządku? Kim jestem, żeby oceniać? Ożeniłem się z wyspiarską dziewczyną, która nie widziała kanalizacji, dopóki nie przywiozłem jej do Stanów. Nie wyszło...

– Sierść nietoperza w pickupie – przerwał Theo.

– Tak, wiedziałem, że do tego wrócisz. No, kto wie? Roberto co jakiś czas lata gdzieś sam. Może spotkał tego Dale'a. Może zaiskrzyło. Wiedz, że miłość można znaleźć wszędzie.

Chociaż wątpię. Podobno ten Dale to był kawał drania.

– Sugerujesz, że twój nietoperz mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Dale'a Pearsona?

– Nie, durniu, sugeruję, że mój nietoperz mógł mieć coś wspólnego z sierścią nietoperza. Przy twojej umiejętności obserwacji, godnej Sherlocka Holmesa, może zauważyłeś, że jest nią cały pokryty.

– Nie do wiary, że jesteś gliną – odparł Theo, którego ogarnął teraz prawdziwy gniew.

– Nie jestem gliną. Latam tylko śmigłowcem dla Agencji Antynarkotykowej. Zatrudniają mnie w sezonie, a zbliża się czas zbiorów w Big Sur i okolicach, więc jestem tu i latam, szukając w lesie skrawków zieleni, a agenci z tyłu patrzą na nie w podczerwieni i zapisują wszystko w dziptesach, żeby uzyskać konkretne nakazy. I, facet, naprawdę dobrze płacą. „Vive walka z narkotykami!”, mawiam. Ale nie, nie jestem gliną.

– Tak przypuszczałem.

– Zabawne, że nauczyłem się z powietrza rozpoznawać odpowiedni odcień zieleni, a podczerwień zwykle potwierdza moje podejrzenia. Dziś rano zauważyłem mniej więcej stumetrowe pole marihuany tuż przy północnej granicy rancza Beer-Bar. Wiesz, gdzie to jest?

Theo poczuł, że w jego gardle powstaje bryła wielkości jednego ze zdechłych szczurów Gabe'a. – Tak.

– Facet, to mnóstwo trawki, nawet jak na standardy upraw komercyjnych. Podpada pod ciężkie przestępstwo. Zawróciłem śmigłowiec i odleciałem, nie pokazując go agentowi, ale kiedy pogoda pozwoli, możemy tam wrócić. Zbliża się burza, wiesz?

Roberto i ja podjechaliśmy tam po południu, żeby się upewnić. Myślę, że zawsze mogę pokazać to agentowi jutro. – Tucker Case odstawił kawę, podparł się łokciami i przechylił głowę, jakby był uroczym dzieckiem z reklamy płatków śniadaniowych, osiągającym właśnie cukrową nirwanę.

– Trudno pana polubić, panie Case.

– Rany, szkoda, że mnie nie widziałeś przed moim nawróceniem. Wtedy naprawdę byłem dupkiem. Właściwie teraz zrobiłem się bardzo sympatyczny. Przy okazji, widziałem twoją żonę, jak trenuje przed domem. Bardzo ładna. Tego miecza można się trochę przestraszyć, ale poza tym bardzo ładna.

Theo wstał, czując lekkie zawroty głowy, jakby oberwał skarpetą wypełnioną piaskiem.

– Lepiej już pójdę.

Tucker Case położył rękę na ramieniu Theo, odprowadzając go do drzwi.

– Pewnie w to nie uwierzysz, Theo, ale jestem pewien, że w innych okolicznościach zostalibyśmy przyjaciółmi. I musisz zrozumieć, że naprawdę bardzo, bardzo chcę, żeby mi z Leną wyszło. Mam wrażenie, że spotkaliśmy się w dobrym momencie, dokładnie we właściwej sekundzie, że pozbierałem się po rozwodzie i byłem gotów znów kochać. No i miło mieć kogo rznąć pod choinką, nie sądzisz? To wspaniała kobieta.

– Lubię Lenę – stwierdził Theo. – Ale ty jesteś psychopatą.

– Tak myślisz? – spytał Tuck. – Naprawdę starałem się być bardziej pomocny.

Rozdział 10

MIŁOŚĆ WYKOPANA NA BRUK

Co zrobiłeś? – spytała Lena, po czym dodała: – I zdejmij sobie z głowy tego nietoperza. Nie mogę znieść czapki, która patrzy na mnie w taki sposób.

– W jaki sposób?

– Nie zmieniaj tematu. Zaszantażowałaś Theo Crowe’a?

Chodziła w tę i z powrotem po kuchni. Tuck siedział przy blacie, ubrany w koszulę, która pasowała do nietoperza na głowie i podkreślała morską barwę jego oczu. Nietoperz nie miał przynajmniej okularów przeciwsłonecznych.

– Nie do końca. Niczego nie powiedziałem wprost. Domyślił się, że byłem w pickupie twojego byłego męża. Wiedział. A teraz po prostu zapomni.

– Niekoniecznie. Może ma w sobie trochę godności, w przeciwieństwie do niektórych.

– Hej, hej, hej. Nie wysuwajmy tu oskarżeń. Moja eks dobrze sobie żyje na Kajmanach z pieniędzy, które uczciwie ukradłem od tego swojego lekarza, przemytnika organów. A twój eks, muszę ci przypomnieć...

– Śmierć Dale’a to był wypadek. Wszystko, co dzieje się od tamtej pory, całe to szaleństwo, to twoja sprawka. Wkroczyłeś w moje życie w najgorszym możliwym momencie, jakbyś od początku miał plan, a potem sprawy coraz bardziej wymykały się spod kontroli. Teraz szantażujesz moich przyjaciół. Tucker, czy ty jesteś chory na umyśle?

– Jasne.

– Jasne? Tak po prostu? Jasne, jesteś chory na umyśle?

– Każdy jest. Jeśli myślisz, że ten czy tamten nie jest wariatem, to znaczy, że mało o nim wiesz. Najważniejsze, szczególnie w naszej sytuacji, jest znalezienie kogoś, kogo szaleństwo pasuje do twojego. Tak jak było z nami. – Posłał jej uśmiech, który w zamyśle miał być czarujący, co jednak było utrudnione, jednocześnie bowiem próbował wyplątać pazurek Roberta ze swoich włosów.

Lena odwróciła się od niego i oparła o blat przed zmywarką, chcąc wziąć się w garść przed tym, co musiała zrobić. Niestety, Tuck właśnie włączył urządzenie i para z

otworu wentylacyjnego przenikała przez jej cienką spódnicę, przez co czuła się zbyt wilgotna, by wyrazić święte oburzenie. Odwróciła się na pięcie z mocnym postanowieniem, jednocześnie pozwalając, by para ze zmywarki leciała jej na tyłek, gdy wygłaszała swoje oświadczenie.

– Słuchaj, Tucker, jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną... – Przerwała i wzięła głęboki wdech.

– Niemożliwe. Zrywasz ze mną?

– I lubię cię, pomimo zaistniałej sytuacji...

– O, jasne, nie chcesz mieć nic wspólnego z atrakcyjnym facetem, którego lubisz, Boże broń...

– Zamknij się, dobra?

Nietoperz szczechnął, słysząc jej ton.

– Ty też, futrzaku! Słuchaj, może w innym czasie i w innym miejscu. Ale ty za bardzo... ja za bardzo... po prostu zbyt łatwo akceptujesz różne rzeczy. Potrzebuję...

– Swoich lęków?

– Mógłbyś pozwolić mi skończyć?

– Jasne, śmiało. – Skinął głową.

Nietoperz, który teraz siedział mu na ramieniu, też skinął. Lena musiała odwrócić wzrok.

– I boję się tego twojego nietoperza.

– No wiesz, dobrze, że go nie znałaś, kiedy jeszcze umiał mówić.

– Won! Tucker! Musisz odejść z mojego życia. Nie radzę sobie z tym wszystkim. Nie radzę sobie z tobą.

– Ale seks był świetny, był...

– Zrozumiem, jeśli zechcesz zgłosić się do władz... może nawet sama do nich pójde... ale to po prostu nie jest w porządku.

Tucker Case zwiesił głowę. Nietoperz owocożerny Roberto zwiesił głowę. Tucker Case spojrzał na nietoperza, który z kolei spojrzał na Lenę, jakby chciał powiedzieć: „No, mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Złamałaś mu serce”.

– Wezmę swoje rzeczy – powiedział Tuck.

Lena płakała. Nie chciała płakać, ale płakała. Patrzyła, jak Tuck zbiera swoje rzeczy i pakuje do lotniczej torby. Zastanawiała się, jakim cudem narozrzucał ich tyle po

jej domu w zaledwie dwa dni. Mężczyźni. Zawsze zaznaczają terytorium. Zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał przez ramię.

– Nie zgłoszę się do władz. Nie i już.

Lena potarła czoło, jakby bolała ją głowa, ale tak naprawdę chciała ukryć łzy.

– Dobra.

– No to idę...

– Zegnaj, Tucker.

– Nie będziesz miała nikogo, z kim mogłabyś się kochać pod choinką...

Podniosła wzrok.

– Kurde, Tuck.

– Dobra, już idę. – I poszedł.

Lena Marquez weszła do sypialni, by zadzwonić do swojej przyjaciółki Molly. Może jeśli wypłacze się przyjaciółce przez słuchawkę, przywróci jej to poczucie normalności w życiu.

Kwaśne Świrki? Cynamonowe Wstręduchy? Czy Gumowe Gnomy? Mama Sama Appfebauma wybierała „dobry” cabernet w przystępnej cenie, a Sam mógł sobie wziąć coś z półki ze słodyczami w sklepie „Przynęty, Sprzęt Wędkarski i Dobre Wina u Brine’a”. Oczywiście Gnomy wystarczą na dłużej, miały jednak nudną jabłkową nutę, podczas gdy Świrki charakteryzowały się intensywnie owocowym bukietem i dość mocnym posmakiem. Cynamonowe Wstręduchy miały bogaty nos i dość ostry smak, ale ich kształt, przypominający maleńkich, dyplomowanych księgowych, zdradzał mieszczańskie pochodzenie.

Sam uczył się winiarskiego języka. Miał siedem lat i bardzo lubił denerwować dorosłych takim słownictwem. Chanuka właśnie dobiegła końca i przez ostatni tydzień w domu Sama odbyło się kilka kolacji, podczas których wiele rozmawiano o winach. Sam z radością wprowadził w osłupienie wszystkich krewnych przy stole, oznajmiając po błogosławieństwie, że porzeczkowy Manischewitz (jedyne wino, którego pozwolono mu skosztować) to „mocno taninowe czerwone szczyny, choć nie bez uroczej maślanej nuty pelargonii”. (Z tego powodu kolację kończył w swoim pokoju, ale wino naprawdę było mocno taninowe. Kołtuneria).

– Należysz do narodu wybranego? – rozległ się czyjś głos powyżej, po prawej stronie chłopca. – Zniszczyłem Kanaanitów, żeby twój lud miał gdzie mieszkać.

Podniósł wzrok i zobaczył ubranego w czarny płaszcz mężczyznę o długich jasnych włosach. Sama przeszedł dreszcz, zupełnie jakby polizał baterię. To był ten facet, który tak bardzo przestraszył jego przyjaciela Josha. Rozejrzał się i zobaczył, że mama stoi z tyłu sklepu z panem Mastersonem, właścicielem.

– Mogę je kupić za to? – spytał mężczyzna. W jednej dłoni miał trzy batoniki, a w drugiej małą srebrną monetę, mniej więcej wielkości dziesięciocentówki. Moneta wyglądała na bardzo starą.

– To zagraniczny pieniądz. Wątpię, czy go przyjmą.

Mężczyzna pokiwał z namysłem głową. Ta wieść najwyraźniej mocno go zmartwiła.

– Nestle Crunch to świetny wybór – dodał Sam, próbując zyskać na czasie i starając się zatrzymać faceta w pobliżu. – Trochę prostackie, ale nuta ambry i orzecha dodaje im charakteru.

Sam znowu rozejrzał się w poszukiwaniu mamy. Nadal rozmawiała o winach z panem Mastersonem, wręcz o nich flirtowała – ktoś mógłby jej syna poćwiartować i włożyć do toreb na mrożonki, a ona nic by nie zauważyła. Sam uznał, że może zdoła nakłonić faceta do wyjścia.

– Widzi pan? Nie patrzą. Niech pan je po prostu weźmie.

– Nie mogę – odparł blondyn.

– Dlaczego?

– Bo nikt mi nie kazał.

O, nie. Mężczyzna wyglądał jak dorosły, ale wewnątrz skrywał umysł małego, głupiego dziecka. Tak jak ten facet ze Sling Blade albo prezydent.

– To ja panu każę, dobra? – zaproponował Sam. – Śmiało. Niech pan bierze. Ale radzę już iść. Będzie padało. – Sam nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej rozmawiał z kimś dorosłym w taki sposób.

Blondyn popatrzył na batoniki, a potem na Sama.

– Dziękuję. Pokój ludziom dobrej woli. Wesółych świąt.

– Jestem żydem, zapomniał pan? My nie obchodzimy świąt. Obchodzimy Chanukę, cud świąteł.

– O, to nie był żaden cud.

– Pewnie, że był.

– Nie, pamiętam. Ktoś się podkradł i dolał oliwy do lampy. Ale jutro załatwię świąteczny cud. Muszę iść. – Z tymi słowami blondyn wycofał się, przyciskając batoniki do piersi. – Szalom, dziecko. I w tym momencie już go nie było.

– Świetnie – powiedział Sam. – Po prostu świetnie.

Przypominaj mi to na każdym kroku.

Kendra – Wojownicza Laska z Pustkowi, mistrzyni walk w oleju, pogromczyni potworów, postrach mutantów, zhora pustynnych piratów, zaprzysięgła obrończyni pasterzy stad przeżuwaczy z Lan, Siostra Krwi Ludu Termitów (wliczając kopce od siódmego do dwunastego) – lubiła ser. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego dwudziestego trzeciego grudnia, nad stygnącym w durszlaku makaronem, uniosła muskularne ramię ku niebu, chcąc ściągnąć gniew wszystkich furii na swoją wyższą moc, czyli Boga-Robaka Nigotha, za to, że pozwolił jej zostawić mozzarella przy kasie w Tanim Markecie. Ale bogowie nie zajmują się sprawami lazanii, niebo zatem nie eksplodowało ogniem zemsty (a przynajmniej przez kuchenne okno nie było tego widać), by obrócić w proch nędzne bóstwo, które ośmieliło się ją opuścić w godzinie największej serowej potrzeby. Tak naprawdę nie wydarzyło się zupełnie nic.

– Bądź przeklęty, Nigoth! Gdyby moja klinga nie była złamana, tropiłabym cię aż po kres Pustkowi, a potem obciąłabym wszystkie twoje tysiąc jeden czułek, by mieć pewność, że obciąłam też twój ulubiony. A potem nakarmiłabym nimi najbardziej ohydne...

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Halo? – powiedziała Molly słodkim głosem.

– Molly? – odezwała się Lena. – Jesteś strasznie zdyszana. Dobrze się czujesz?

– Szybko, wymyśl coś – powiedział Narrator. – Nie mów jej, co robiłaś.

Narrator był przy Molly niemal bez przerwy przez ostatnie dwa dni. Głównie ją irytował, chociaż pamiętał, ile oregano i tymianku należy dodać do sosu. Tak czy owak, wiedziała, co to oznacza: jak najszybciej musi znowu zacząć przyjmować leki.

– O, tak, czuję się świetnie. Po prostu robiłam sobie dobrze. Wiesz, szare popołudnie, nadciąga burza, Theo jest mutantem... Chciałam się jakoś pocieszyć.

Po drugiej stronie zapadła cisza i Molly zastanawiała się, czy zabrzmiało to przekonująco.

– Absolutnie przekonująco – zapewnił Narrator. – Gdyby mnie tu nie było,

mógłbym przysiąc, że nadal to robisz.

– Nie ma cię tu! – odparła Molly.

– Słucham? – powiedziała Lena. – Molly, zadzwonię później, jeśli to zły moment.

– O, nie, nie, nie. Wszystko gra. Robię lazanię.

– Jeszcze nie słyszałam tego określenia.

– Na przyjęcie.

– A, tak. Jak idzie?

– Zapomniałam mozzarelli. Zapłaciłam, a potem zostawiłam przy kasie. –

Popatrzyła na trzy pudełka ricotty na blacie, które wyraźnie z niej drwiły. Miękkie sery bywały bardzo zadowolone z siebie.

– Pojadę po nią i przywiozę.

– Nie! – Molly poczuła przyływ adrenaliny na myśl, że będzie musiała znieść długie przyjacielskie posiedzenie z Leną. Granica między Pine Cove a Pustkowiami stawała się bardzo mglista. – To znaczy, w porządku. Sama to zrobię. Lubię ser. Lubię kupować ser.

W słuchawce usłyszała pociągnięcie nosem.

– Mol, naprawdę muszę ci pomóc z tą cholerną lazanią, dobra? Serio.

– Wydaje się równie stuknięta jak ty – odezwał się Narrator.

Molly machnęła ręką w powietrzu, żeby się zamknął, a potem przytknęła palec do warg w nadziei, że ten gest go uciszy.

– Babka przeżywa kryzys, bez dwóch zdań.

– Muszę z kimś pogadać – powiedziała Lena, łkając. – Zerwałam z Tuckerem.

– Oj, bardzo mi przykro. A kto to jest Tucker?

– Pilot, z którym się spotykałam.

– Facet z nietoperzem? Dopiero go poznałaś, nie? Zrób sobie kąpiel. Zjedz trochę lodów. Znasz go od dwóch dni, prawda?

– Wiele razem przeżyliśmy.

– Weź się w garść, Leno. Zerznęłaś go i wykopałaś na bruk. To nie jest tak, że gość ukradł twój projekt reaktora do zimnej fuzji.

– Molly! Jest Boże Narodzenie. A ty podobno jesteś moją przyjaciółką.

Molly pokiwała głową do telefonu, po czym zdała sobie sprawę, że Lena tego nie

słyszy. Racja, nie zachowywała się jak dobra przyjaciółka. W końcu była zaprzysięgłą obrończynią pasterzy stad przeżuwaczy z Lan, a także członkinią Związku Aktorów Filmowych i miała obowiązek udawać, że obchodzą ją problemy przyjaciółki.

– Przywieź ser – powiedziała. – Będziemy czekać.

– My?

– Ja. Przywieź ser, Leno.

Theo Crowe pojawił się w sklepie „Przynęty, Sprzęt Wędkarski i Dobre Wina u Brine’a” w samą porę, by wszystko go ominęło. Robert Masterson, właściciel sklepu, zadzwonił do niego, gdy tylko zobaczył tajemniczego blondyna rozmawiającego z Samem Applebaumem, i Theo natychmiast pognął na miejsce, tylko po to, by się przekonać, że nie miał po co. Mężczyzna nie zrobił Samowi krzywdy ani mu nie groził, a chłopak czuł się dobrze, tyle że ciągle paplali o tym, że chce zmienić religię i zostać rastafarianinem, jak jego kuzyn Preston, który mieszka na Maui. W połowie przesłuchania Theo doszedł do wniosku, że nie jest właściwą osobą, by wymieniać powody, dla których nie należy poświęcać życia paleniu trawki i surfowaniu jak Preston, bo: (a) nigdy nie nauczył się surfować, (b) nie miał bladego pojęcia, na czym polega ruch rastafari i (c) musiałby w końcu użyć argumentu: „1 zobacz, jaki ze mnie ostatni niedojda – chyba nie chcesz tak skończyć, co, Sam?”. Wyszedł stamtąd, czując się jeszcze bardziej beznadziejnie niż po werbalnym laniu, które dostał od tego pilota w domu Leny Marquez.

W porze lanczu Theo zatrzymał się przy swoim podjeździe, w nadziei że może jakoś zdoła poukładać wszystko z Molly. Liczył na odrobinę współczucia i kanapkę, zobaczył jednak samochód Leny zaparkowany przed domem i od razu upadł na duchu. Zastanawiał się, czy nie iść na komercyjne poletko maryski i nie wypalić skręta przed wejściem do domu, ale to zachowanie za bardzo wyglądało na uzależnienie. A w końcu on wcale nie wpadł w ciąg, miał tylko chwilę słabości. Mimo to wszedł do środka nastawiony pokornie, niepewny jak rozmawiać z Leną – być może morderczynią – nie wspominając już o Molly.

– Zdrajca! – rzuciła Molly znad rondla z makaronem, sosem, mięsem i serem.

Ręce aż po łokcie miała umazane sosem i wyglądała, jakby przeprowadzała jakąś nadzwyczaj krwawą operację chirurgiczną. Tylne drzwi kuchni zamknęły się z trzaskiem, gdy wszedł do środka.

– Wyszła na zewnątrz. A co, boisz się, że zdradzi twoją tajemnicę?

Theo wzruszył ramionami i podszedł do żony, rozkładając ręce w geście oznaczającym „nie męcz mnie”. Dlaczego, kiedy była zła, jej zęby wydawały się bardzo ostre? W innych sytuacjach tego nie zauważał.

– Mol, robiłem to tylko po to, żeby kupić ci coś pod choinkę... nie chciałem...

– A, to mnie nie obchodzi. Przesłuchujesz Lenę. Moją przyjaciółkę. Poszedłeś do jej domu, jakby popełniła przestępstwo, czy coś. To przez promieniowanie, mam rację?

– Są dowody, Molly. I nie chodzi o to, że byłem na haju. Znalazłem sierść nietoperza owocożernego w samochodzie Dale’a, a chłopak Leny ma takiego nietoperza. Do tego mały Barker powiedział... – Z zewnątrz dobiegł dźwięk uruchamianego silnika. – Powinienem z nią porozmawiać.

– Lena nikomu nie zrobiłaby krzywdy. Przywiozła mi ser, na miłość boską. To pacyfistka.

– Wiem, Molly. Nie mówię, że zrobiła komuś krzywdę, ale muszę się dowiedzieć...

– Poza tym niektórzy skurwiele zasługują na śmierć!

– Czy powiedziała ci...?

– Myślę, że to trawka ujawnia twoje cechy mutanta.

Trzymała w ręce płat lazanii, którym machała w jego kierunku. Wyglądało to tak, jakby potrzasała żywym stworzeniem, chociaż trzeba pamiętać, że Theo wciąż był lekko usmażony.

– Molly, o czym ty mówisz? Moje „cechy mutanta”? Bierzesz leki?

– Jak śmiesz mi zarzucać, że zwariowałam? To jeszcze gorsze niż pytać, czy mam okres. Zresztą nie mam, skoro już o tym mowa. Nie do wiary, sugerujesz, że muszę się leczyć! Ty zmutowany łotrze! – Rzuciła w niego płatem ciasta, a on się uchylił.

– Naprawdę musisz się leczyć, stuknięta suko! – Theo niezbyt dobrze radził sobie z przemocą, nawet w postaci rozmiękłego ciasta, ale po pierwszym wybuchu natychmiast stracił zapał do walki. – Przepraszam, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może byśmy...

– Dobra! – odparła.

Wytarła ręce w ścierkę, którą następnie w niego rzuciła. Gdy się odsuwał, czuł się jak w zwolnionym tempie podczas strzelanin w Matriksie, lecz tak naprawdę był po prostu wysokim, lekko naspawanym facetem, a ścierka i tak by go nie trafiła. Molly przeszła przez domek do ich sypialni i opadła na podłogę po drugiej stronie łóżka.

– Molly, nic ci nie jest?

Wyłoniła się z paczką wielkości pudełka po butach, owiniętą w świąteczny papier, do którego przyczepiło się parę wałków kurzu. Podała mu paczkę.

– Proszę. Weź to i idź. Nie chce cię widzieć, zdrajco. Idź.

Theo był zdumiony. Chciała od niego odejść? Prosiła, by to on odszedł? W jaki sposób to wszystko zepsuło się aż tak szybko?

– Nie chcę iść. Mam bardzo zły dzień, Molly. Przyszedłem z nadzieją na odrobinę współczucia.

– Tak? Dobra. Proszę bardzo. Oj, biedny naćpany Theo, tak mi przykro, że musisz przesłuchiwać moją najlepszą przyjaciółkę na dzień przed Wigilią, chociaż mógłbyś w tym czasie bawić się na nielegalnym polu maryśki, które wygląda jak siedziba ludzigi-bonów. – Wyciągnęła prezent przed siebie, a on go wziął. O czym ona, do diabła, mówiła?

– Więc to ma coś wspólnego z ogródkiem szczęścia?

– Otwórz – powiedziała.

Nie powiedziała ani słowa więcej. Oparła dłoń na biodrze i posłała mu to swoje spojrzenie typu „skopię ci tyłek albo wydymam cię do ostatniej kropli krwi”, które podniecało go przerażało zarazem, nigdy bowiem nie był pewien, na którą opcję się zdecyduje – wiadomo było tylko, że w ten czy inny sposób uzyska zadowolenie, a jego następnego dnia wszystko będzie bolało. Było to spojrzenie Wojowniczej Laski i doskonale zdawał sobie sprawę, że to nawrót świra. Pewnie naprawdę nie brała leków. Należało to właściwie rozegrać.

Cofnął się o kilka kroków, po czym zdarł papier z paczki. W środku znajdowało się białe pudełko ze srebrną pieczęcią ekskluzywnego wytwórcy szkła artystycznego, a w nim, zawinięta w niebieską chusteczkę najpiękniejsza fajka, jaką w życiu widział. Przypominała przedmiot z czasów art nouveau, tyle że wykonany z nowocześniejszych materiałów. Dwubarwne, niebiesko-zielone szkło, z ozdobnymi srebrnymi gałązkami. Obracając fajkę w dłoni, doznał wrażenia, jakby szedł przez las. Cybuch idealnie pasujący do jego dłoni, najprawdopodobniej była wykonana ze srebra, na którym widniał ten sam roślinny motyw, który wyglądał, jakby się wyłaniał ze szkła. Twórca tego przedmiotu musiał wykonać go specjalnie dla Theo, biorąc pod uwagę jego gust. Poczuł, że zbiera mu się na płacz, i zamrugał, by odegnać łzy.

– Piękne.

– Mhm – odparła Molly. – Sam widzisz, że martwi mnie nie twój ogródek, tylko ty.

– Molly, chciałem tylko porozmawiać z Leną. Jej chłopak próbował mnie zaszantażować. A ja tylko uprawiałem...

– Weź to i idź – powiedziała Molly.

– Kochanie, powinnaś zadzwonić do doktor Val, dowiedzieć się, czy cię przyjmie...

– Wyjdź, do cholery. Nie będziesz mnie tu wysyłał do psychiatry. Wyjdź!

Nic nie mógł działać. A przynajmniej nie teraz. Jej głos wpadł w wysoki, szaleńczy toni Wojowniczej Laski – znał to z czasów, kiedy ją wozili do szpitala, zanim zostali kochankami. Kiedy była tylko miejscową wariatką. Jeśli będzie dalej naciskał, zupełnie straci panowanie nad sobą.

– Dobrze. Pójdę. Ale zadzwonię, co?

Posłała mu tylko to spojrzenie.

– Są święta...

Spojrzenie.

– Świetnie. Twój prezent leży na górnej półce w szafie. Wesołych świąt.

Z szafy wyjął trochę bielizny i skarpetki, zabrał parę koszul i ruszył do drzwi. Zatrzasnęła je za nim na tyle mocno, że jedna z szyb pękła. Odgłos szkła spadającego na chodnik brzmiał jak podsumowanie jego całego życia.

Rozdział 11

ŚLIMACZY ŚLUZ DOBREGO NASTROJU

Wydawał się zrobiony z polerowanego mahoni, tyle że poruszał się niczym ciecz. Sceniczne reflektory rozświetlały jego łysą głowę zielenią i czerwienią, gdy chwiał się na stołku i szarpał struny jasnego statocastera za pomocą szyjki od butelki po piwie. Nazywał się Catfish Jefferson, miał siedemdziesiąt, osiemdziesiąt albo sto lat i, podobnie jak nietoperz owocożerny Roberto, nosił w pomieszczeniach okulary przeciwsłoneczne. Catfish był bluesmanem i w przeddzień Wigilii śpiewał dwunastotaktową, smętną bluesową balladę w barze „Głowa Ślimaka”. Moją małą rznął Mikołaj Pod gałązką jemiioły (Panie, zmiłuj się). Moją małą rznął Mikołaj Pod gałązką jemiioły. Została gwiazdkową zdzią, Choć była moim aniołem.

– Słyszałem! – wydarł się Gabe Fenton. – Prawda, prawda. Święte słowa, brachu.

Theophilus Crowe popatrzył na przyjaciela, jednego z całej gromady niespokojnych, załamanych klientów baru. Kołysząc się prawie w rytm piosenki, pokręcił głową.

– Czy można być bardziej niewinnym? – spytał Theo.

– Czuję bluesa – stwierdził Gabe. – Zrobiła mi krzywdę, jeszcze jaką.

Gabe pił. Theo, choć nie był zupełnie trzeźwy, nie pił.

Wypalił cienkiego jak wykałaczką skręta z ziela z Big Sur, na spółkę z Catfishem Jeffersonem podczas przerwy w występie. Stanęli sobie na parkingu za „Głową Ślimaka” i próbowali przypalić skręta jednorazową zapalniczką przy wietrze o prędkości czterdziestu węzłów).

– Myślałem, że nie macie tu, kurwa, problemów z pogodą – zachrypiał Catfish, który tak mocno pociągnął skręta, że żar wyglądał niczym oko demona spoglądające z ciemnej jaskini ust i palców. (Zgrubienia na opuszkach jego palców były odporne na gorąco).

– El Nino – powiedział Theo, wypuszczając kłąb dymu.

– Że co?

– Ciepły prąd oceaniczny w Pacyfiku. Zbliża się do brzegu mniej więcej raz na dziesięć lat. Psuje połowy, przynosi ulewy i burze. Mówią, że w tym roku może przyjść El

Nino.

– A kiedy będą pewni? – Bluesman włożył swój skórzany kapelusz i mocno trzymał, by nie zdmuchnął go wiatr.

– Zwykle wiedzą, kiedy już wszystko zaleje, winne plony są zmarnowane, a mnóstwo nadbrzeżnych domów zsunie się do oceanu.

– Dlatego, że klimat jest za ciepły?

– Aha.

– Nic dziwnego, że cały kraj was nie cierpi – stwierdził Catfish. – Chodźmy do środka, zanim wywieje moją chudą dupę z powrotem do Clarksville.

– Nie jest rak źle – odparł Theo. – Myślę, że przejdzie bokiem.

Zimowa negacja: robił to Theo, robiła większość Kalifornijczyków. Zakładali, że ponieważ pogoda na ogół jest ładna, będzie ładna zawsze, zatem podczas burzy spotykało się na ulicach ludzi bez parasoli, a gdy wieczorem temperatura spadała do około zera, można było zobaczyć na stacji benzynowej kogoś w spodenkach surfingowych i koszulce bez rękawów. Dlatego, kiedy Instytut Meteorologiczny zalecał mieszkańcom środkowego wybrzeża pozamykać okna, bo zbliżał się sztorm dziesięciolecia, a wiatr dochodził do pięćdziesięciu węzłów na dzień przed spodziewanym jego nadejściem, mieszkańcy Pine Cove dalej normalnie szykowali się do świąt, jakby nie mogło im się przytrafić nic nadzwyczajnego. Zimowa negacja: to w niej tkwiła tajemnica Kalifornijskiej Schadenfreude – potajemnej radości, jaką odczuwała reszta kraju z powodu nieszczęść spadających na Kalifornię. Reszta kraju powiadała: „Patrzcie na nich, mają dobrą formę i opaleniznę, mają plaże i gwiazdy filmowe, Dolinę Krzemową i silikonowe biusty, pomarańczowy most i palmy. Boże, nie cierpię tych zadowolonych z siebie, opalonych sukinsynów!”. Bo jeśli tkwisz po pępek w śnieżnej zaspie w Ohio, nic tak nie rozgrzeje twojego serca, jak widok Kalifornii w ogniu. Jeśli łopata wygarniasz muł ze swojej piwnicy po powodzi w okolicach Fargo, nic nie wprawi cię w tak dobry nastrój, jak widok willi w Malibu walącej się z urwiska do morza. A jeśli wokół twojego miasteczka w Oklahomie tornado właśnie zasypało ziemię najróżniejszymi śmieciami z przyczepy kempingowej, w pewnym stopniu pocieszy cię fakt, że w dolinie San Fernando ziemia dosłownie się otworzyła i pochłonęła całą karawanę terenówek.

Nawet Mavis Sand w pewnym stopniu oddawała się Kalifornijskiej Schadenfreude, a była urodzoną Kalifornijką z krwi i kości. W duchu co roku cieszyła się

pożarami lasów i liczyła na nie. Nie dlatego, że lubiła patrzeć, jak jej stan się pali. Po prostu zdaniem Mavis nie było nic lepszego niż widok zwalistego mężczyzny w gumowanym kombinezonie, trzymającego grubą wąż, a podczas pożarów często pokazywano takich w wiadomościach.

– Ciasto owocowe? – spytała Mavis, podsuwając kawałek podejranej masy na deserowym półmisku Gabe’owi Fentonowi, który pijackim głosem próbował przekonać Theo Crowe’a, że ma genetyczne predyspozycje do bluesa. Używał imponująco długich słów, których nikt poza nim nie rozumiał, i co jakiś czas pytał, czy mogliby powiedzieć „amen” albo przybić mu piątkę. Jakoś nie mogli. Mógł liczyć co najwyżej na ciasto owocowe.

– Litości, litości, moja nieżyjąca mamusia robiła ciasto, które wyglądało dokładnie tak samo! – zawył Gabe. – Świeć, Panie, nad jej duszą.

Sięgnął do półmiska, który jednak przechwycił Theo i odsunął go poza zasięg biologa.

– Po pierwsze – powiedział – twoja matka była profesorem antropologii i nigdy w życiu niczego nie upiekła, po drugie, jeszcze nie umarła, a po trzecie, jesteś ateistą.

– Mogę prosić o „amen”?! – odparował Gabe.

Theo oskarżycielsko uniósł brwi i popatrzył na Mavis.

– Chyba umawialiśmy się, że w tym roku nie będzie ciasta owocowego.

W poprzednie Boże Narodzenie dwoje ludzi trafiło na detoks z powodu ciasta owocowego Mavis. Przysięgła, że to był ostatni raz. Mavis wzruszyła ramionami.

– To ciasto jest prawie nieskalane. Tylko litr rumu i garść kodeiny.

– Lepiej nie – powiedział Theo i oddał jej półmisek.

– Dobra – odparła Mavis. – Ale wyrwę twój koleżkę z tego bluesowego nastroju. Przynosi mi wstyd. A raz w pewnym nocnym klubie obciągałam osiołkowi i wcale się nie wstydziłam, więc o czymś to świadczy.

– Rany, Mavis – powiedział Theo, próbując odegnać ten obrazek ze swojego umysłu.

– No co? Nie miałam okularów. Myślałam, że to nadzwyczaj owłosiony i napalony agent ubezpieczeniowy.

– Lepiej odprowadzę go do domu – stwierdził Theo, szturchając Gabe’a, który skupił uwagę na młodej kobiecie po prawej. Była ubrana w mocno wydekoltowany

czerwony sweterek i przez cały wieczór chodziła od stołka do stołka, czekając na kogoś, kto z nią porozmawia.

– Cześć – powiedział Gabe do dekoltu kobiety. – Brak mi kontaktu z ludźmi i nie mam żadnych zalet jako mężczyzna.

– Ja też nie – oznajmił Tucker Case ze stołka po drugiej stronie kobiety w czerwonym sweterku. – Czy tobie też ciągle powtarzają, że jesteś psychopatką? Nie cierpię tego.

Tucker Case, pod kilkoma warstwami elokwencji i przebiegłości, tak naprawdę był dość załamany zakończeniem relacji z Leną Marquez. Rzecz nie w tym, że przez dwa dni stała się częścią jego życia, lecz w tym, że zaczęła symbolizować nadzieję. A jak powiedział Budda: „Nadzieja to jedynie inne oblicze pożądania. A pożądanie to skurwysyn”. Wyszedł w poszukiwaniu towarzystwa, które pomogłoby mu zapomnieć o rozczarowaniu. Innym razem poderwałby pierwszą kobietę, jaka by się napatoczyła, ale czasy skurwienia sprawiły, że był bardziej samotny niż kiedykolwiek i nie miał już zamiaru podążać tą lubieżną drogą.

– Czyli – odezwał się Tuck do Gabe’a. – właśnie dostałeś kosza?

– Podpuściła mnie – stwierdził Gabe. – Wypruła mi flaki. Słabości, tobie na imię kobieta!

– Nie rozmawiaj z nim – powiedział Theo, łapiąc Gabe’a za ramię i bez powodzenia próbując ściągnąć go ze stołka. – Ten facet to nic dobrego.

Młoda kobieta siedząca między Tuckiem a Gabem popatrzyła najpierw na jednego, potem na drugiego, później na Theo, na swoje piersi i w końcu na mężczyzn, jakby chciała powiedzieć: „Co wy, ślepi? Siedzę tu cały wieczór, z tymi tutaj, a wy mnie ignorujecie”.

Tucker Case faktycznie ją ignorował – tyle że spoglądał na jej drożdżówki pod swetrem, gdy rozmawiał z Gabem i Theo.

– Słuchaj, posterunkowy, może zaczęliśmy trochę nie tak...

– Trochę nie tak? – Głos Theo niemal się załamał. Choć wydawał się zdenerwowany, najwyraźniej rozmawiał z piersiami kobiety w czerwonym sweterku, a nie z Tuckerem, który znajdował się raptem pół metra dalej. – Groziłeś mi.

– Naprawdę? – wtrącił się Gabe, ustawiając się tak, by mieć lepszy widok na czerwony sweterek. – Ostro pograłeś, stary. Theo właśnie wyleciał z domu.

– Uwierzycie, chłopaki, że w naszym wieku można jeszcze przeżywać tak bolesne upadki? – powiedział Tuck do Theo podnosząc wzrok znad dekoltu dla potwierdzenia szczerości swoich słów. Z powodu szantażowania Theo dręczyło go sumienie, ale czasem trzeba zrobić jakąś nieprzyjemną rzecz – podobnie było, gdy pomagał Lenie ukryć zwłoki – a on, jako pilot i mężczyzna skory do działania, po prostu ją robił.

– O czym ty mówisz? – spytał Theo.

– No, Lena i ja rozstaliśmy się, posterunkowy. Wkrótce po naszej porannej rozmowie.

– Poważnie? – Teraz Theo podniósł wzrok znad intrygujących, wełnianych splotów.

– Poważnie – odparł Tuck. – I przykro mi, że to wszystko tak się potoczyło.

– Ale to w zasadzie nic nie zmienia, prawda?

– A czy to coś zmieni, jeśli powiem, że nic nie zrobiłem temu rzekomemu Dale’owi Pearsonowi? I Lena też nie?

– Nie sądzę, że był rzekomy – stwierdził Theo, znowu zerkając na piersi. – Jestem niemal pewien, że to był prawdziwy Dale Pearson.

– Wszystko jedno – odrzekł Tuck. – Czy to coś zmieni? Uwierzysz?

Theo nie odpowiedział od razu, jakby czekał na słowa dekoltowej wyroczeni. Kiedy znowu popatrzył na Tucka, oznajmił:

– Tak, wierzę ci.

Tuck niemal wciągnął do płuc piwo imbirowe, które popijał. Gdy już przestał parskać, powiedział:

– Hejku, jesteś do niczego jako policjant, Theo. Nie możesz po prostu wierzyć obcemu facetowi, który mówi ci coś w barze. – Tuck nie przywykł do sytuacji, w której ktokolwiek mu wierzył, więc kiedy ktoś ufał mu na piękne oczy...

– Hej, hej, hej – wtrącił Gabe. – To nie na miejscu...

– Dobra, pierdolcie się! – wykrzyknęła kobieta w czerwonym sweterku. Poderwała się ze stołka i porwała z baru swoje klucze. – Ja też jestem człowiekiem, wiecie? A to nie są mikrofony – oznajmiła, chwytając swoje piersi od spodu i potrząsając nimi w stronę winowajców. Przy tej czynności klucze zadzwoniły radośnie, całkowicie niwecząc efekt jej gniewu.

– O mój Boże – powiedział Gabe.

– Nie można tak kogoś ignorować! Poza tym wszyscy jesteście za starzy i beznadziejni i wolę spędzić święta sama, niż przebywać przez pięć minut z którymś z was, narwańcy! – Z tymi słowami rzuciła na bar trochę gotówki, odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z knajpy.

Ponieważ Theo, Tuck i Gabe byli mężczyznami, patrzyli na jej tyłek, gdy zmierzała do wyjścia.

– Za starzy? – odezwał się Tuck. – A ile ona ma lat, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem?

– Właśnie – powiedział Theo. – Pod trzydziestkę, może nawet po. Nie uważam, że ją ignorowaliśmy.

Mavis Sand wzięła pieniądze z baru i pokręciła głową. „Wszyscy zwracaliście na nią uwagę, jak należy. Kobiety miewają problemy, kiedy są zazdrosne o części swojego ciała”.

– Myślałem o górach lodowych – odezwał się Gabe. – O tym, że tylko dziesięć procent widać nad powierzchnią, a to, co naprawdę niebezpieczne, znajduje się pod spodem. O, nie, znowu poczułem bluesa. – Jego głowa uderzyła o kontuar i się odbiła.

Tuck zerknął na Theo.

– Pomóc ci odprowadzić go do samochodu?

– To bardzo mądry facet – oznajmił Theo. – Ma parę doktoratów.

– Dobra. Pomóc ci odprowadzić pana doktora do samochodu?

Theo próbował wsunąć ramię pod rękę Gabe’a, ale jako że był o niemal trzydzieści centymetrów wyższy od kumpla, nie bardzo mu to wychodziło.

– Theo – warknęła Mavis. – Nie bądź takim cholernym palantem. Pozwól mu, żeby ci pomógł.

Po trzech nieudanych próbach podniesienia worka z piaskiem w osobie Gabe’a Fentona Theo skinął Tuckowi głową. Każdy złapał biologa za rękę i razem poprowadzili/pociągnęli go do drzwi.

– Jeśli puści pawia, skieruję go na ciebie – oznajmił Theo.

– Lena uwielbiała te buty – powiedział Tuck. – Ale rób, co uważasz za stosowne.

– „Jestem seksualnym zerem, ram-pa-pa-pam” – zaśpiewał Gabe Fenton, dostosowując się do świątecznego nastroju. – „I towarzyskim frajerem, ram-pa-pa-pam”.

– Czy to się naprawdę rymowało? – spytał Tuck.

– To inteligentny facet – odparł Theo.

Mavis wyskoczyła przed nich i przytrzymała drzwi.

– To co, żalosni frajerzy, spotkamy się na świątecznym przyjęciu dla samotnych, tak?

Zatrzymali się, popatrzyli po sobie, poczuli się zjednoczeni w swoim frajerstwie i z ociąganiem pokiwali głowami.

– „Mój obiad idzie w górę, ram-pa-pa-pam” – śpiewał Gabe.

Tymczasem dziewczyny biegały po Kaplicy Świętej Róży, rozwieszając dekoracje i szykując nakrycia na przyjęcie dla samotnych. Lena Marquez robiła już trzecią rundę wokół pomieszczenia, z drabiną, taśmą maskującą oraz zwojami zielonej i czerwonej krepiny o rozmiarach opon ciężarówki. (Dyskont w San Junipero sprzedawał tylko takie, najwyraźniej po to, żeby każdy mógł udekorować cały swój transatlantyk bez potrzeby powrotu do sklepu). Dzięki przystrajaniu kaplicy Lena zapomniała o swoich kłopotach, teraz jednak pomieszczenie zaczęło przypominać gniazdo ćwoka-daltonisty. Gdyby ktoś nie interweniował, gościom groziłoby uduszenie w zdobnym lochu świątecznego sado-maso. Na szczęście, gdy Lena z drabiną w rękach szykowała się do czwartego okrążenia, Molly Michon wsunęła do kaplicy stopę i otworzyła podwójne drzwi na oścież. Wicher, który nadciągnął z narastającym sztormem, wdarł się do środka i zdarł papier ze ścian.

– O, kurwa! – odezwała się Lena.

Krepina zawirowała na środku pomieszczenia, po czym opadła w wielki zwój pod jednym ze stołów, które Molly ustawiła pod ścianą.

– Mówiłam, że pistolet na zszywki będzie lepszy od taśmy maskującej – powiedziała Molly.

Trzymała trzy stalowe rondle pełne lazanii, a mimo to zdołała zamknąć dębowe podwójne drzwi przy użyciu nóg. Pod tym względem okazała się nadzwyczaj sprawna.

– To zabytek, Molly. Nie można sobie ot, tak wstrzeliwać zszywek w ściany.

– Pewnie, jakby po Armagedonie miało to jakieś znaczenie. Weź to na dół, do lodówki – powiedziała Molly, podając rondle Lenie. – Przyniosę ci ten pistolet z samochodu.

– Co to ma znaczyć? – spytała Lena. – Chodzi ci o nasze związki?

Ale Molly już wyszła z powrotem przez podwójne drzwi wprost na wicher. Ostatnio coraz częściej rzucała takie zagadkowe uwagi. Jakby rozmawiała z kimś jeszcze

oprócz Leny. Dziwna sprawa. Lena wzruszyła ramionami i ruszyła z powrotem do małego pomieszczenia za ołtarzem i schodów, które wiodły w dół. Lena nie lubiła schodzić do tej piwnicy. Właściwie nie była to piwnica, raczej loch: pachnące wilgotną ziemią ściany z piaskowca, betonowa podłoga, którą wylano pięćdziesiąt lat po wykopaniu piwnicy. Przesączała się przez nią wilgoć, z której zimną tworzyła się warstewka mułu. Nigdy nie było tu ciepło, nawet kiedy palono w piecu i włączano grzejnik elektryczny. Poza tym przechowywane tu stare ławy rzucały na ściany cienie, przez które czuła się tak, jakby ją obserwowano.

– Mmmm, lazanie – odezwał się Marty o Poranku, wasz martwy prezenter z radia w samochodzie. – Faceci i facetki, ta mała przeszła tym razem sama siebie. Czujecie ten zapach? Cmentarz aż huczał od stęchłego, niecierpliwego oczekiwania na przyjęcie świąteczne dla samotnych.

– To nadzwyczaj niestosowne, ot co – stwierdziła Esther. – Chociaż chyba lepsze, niż gdyby ta okropna Mavis Sand miała znowu robić grilla. Jak to w ogóle możliwe, że ona jeszcze żyje?

Jest tak stara jak ja.

– Stara szmata, znaczy się? – spytał Jimmy Antalvo. Jego twarz wciąż była odcisnięta na słupie telefonicznym przy Autostradzie Pacyficznej, w który uderzył w wieku dziewiętnastu lat.

– Proszę, dziecko, jeśli już musisz być chamski, przynajmniej bądź przy tym oryginalny – powiedział Malcolm Cowley. – Nie pogłębiaj nudy banałami.

– Moja żona kładła warstwę ostrej włoskiej kiełbasy między każdą warstwę sera i makaronu – oznajmił Arthur Tannbeau. – To dopiero było dobre żarcie.

– W pewnym sensie tłumaczy też atak serca, prawda? – wtrąciła Bess Leander. Została otruta i w jej ustach pozostał gorzki smak, który nie zanikł nawet siedem lat po śmierci.

– Chyba się umówiliśmy, żeby nie rozmawiać o winnych w kwestii PŚ – powiedział Arthur. – Nie umawialiśmy się?

PS był to stosowany przez zmarłych skrót oznaczający Przyczynę Śmierci.

– Owszem, umówiliśmy się – przyznał Marty o Poranku.

– Mam nadzieję, że zaśpiewają Dokąd tak spieszą Królowie – powiedziała Esther.

– Zamknij się, kurwa, z tym Dokąd tak spieszą Królowie, dobra? Nikt nie zna słów

Dokąd tak spieszą Królowie i nikt nigdy nie znał.

– Ojej, ten nowy jest strasznie nawiedzony – odezwał się Warren Talbot, który kiedyś malował pejzaże, ale po chorobie wątroby w wieku siedemdziesięciu lat sam użył pejzaż.

– Fajnie będzie posłuchać tego przyjęcia – stwierdził Marty o Poranku. – Słyszeliście, jak żona posterunkowego mówiła o Armagedonie? Bez dwóch zdań, jedzie prościutką drogą do Wielkiego Świra.

– Wcale nie! – krzyknęła Molly, która zeszła do piwnicy, by pomóc Lenie zrobić w dwóch lodówkach miejsce na sałatki i desery, które trzeba jeszcze było rozładować.

– Do kogo mówisz? – spytała Lena, nieco przestraszona tym wybuchem.

– No i chyba sprawa jest jasna – powiedział Marty o Poranku.

Rozdział 12

BOŻONARODZENIOWY CUD NAJGŁUPSZEGO ANIOŁA

Zachód słońca, Wigilia. Lał taki deszcz, że na pozór nie było przerw między kroplami – tylko ściana wody, poruszająca się niemal poziomo na wietrze, który dochodził do stu dziesięciu kilometrów na godzinę. W lesie za Kaplicą Świętej Róży anioł żuł snickersa i gładził dłonią ślady opon na swoich plecach, myśląc: naprawdę powinienem dostać bardziej precyzyjne wskazówki.

Kusiło go, by znowu poszukać dziecka i spytać, gdzie dokładnie jest pochowany Święty Mikołaj. Zdał sobie teraz sprawę, że „gdzieś w lesie za kościołem” mówi mu niewiele. Ale powrót po wskazówki w pewnym stopniu zmniejszyłby całą cudowność cudu.

Był to pierwszy bożonarodzeniowy cud Razjela. Przez dwa tysiące lat pomijano go przy rozdzielaniu zadań, ale w końcu nadeszła jego kolej. No, właściwie nadeszła kolej archanioła Michała, a Razjel ostatecznie dostał tę robotę, bo przegrał w karty. Michał postawił planetę Wenus przeciwko swojemu zadaniu dokonania cudu w rym roku. Wenus! Razjel, choć nie do końca był pewien, co zrobi z Wenus, jeśli ją wygra, wiedział, że potrzebuje drugiej planety od Słońca, choćby dlatego, że była duża i jasna.

Nie podobała mu się cała ta abstrakcyjność cudownej misji. „Udaj się na Ziemię, znajdź dziecko, które wyraziło świąteczne życzenie, możliwe do spełnienia tylko dzięki boskiej interwencji, a wtedy otrzymasz moc, niezbędną, by tego dokonać”. Zadanie miało trzy części. Czy nie należało go przydzielić trzem aniołom? Czy ktoś nie powinien tego nadzorować? Razjel żałował, że nie może zamienić tego na zniszczenie jakiegoś miasta. To było takie proste. Znajdowałeś miasto, zabijałeś wszystkich ludzi, równałeś z ziemią budynki, a nawet jeśli zupełnie nawaliłeś, mogłeś wytropić ocalałych w górach i pozabijać ich mieczem, co, prawdę mówiąc, Razjel całkiem lubił. Chyba że, ma się rozumieć, zniszczyłeś nie to miasto, co trzeba, lecz jemu przytrafiło się to raptem... ile? Dwa razy? Zresztą w tamtych czasach miasta nie były znów takie duże. Ludzi wystarczyłoby do wypełnienia paru sporych Tanich Marketów, co najwyżej. To by była misja, pomyślał anioł. „Razjel! Zejdź na Ziemię i zasiej zniszczenie w dwóch sporych Tanich Marketach, zabijaj, aż posoka zaleje wszystkie promocje, a z budynków zostaną tylko gruzy, i weź

sobie parę snickersów”. Drzewo kołyszące się w pobliżu na wietrze pękło z hukiem jak z armaty i anioł przestał fantazjować. Musiał dokonać tego cudu i się zmywać. Przez deszcz widział, że do kościółka zaczynają schodzić się ludzie, zmagając się z wiatrem i ulewą. W oknach zamigotały światła, przyjęcie już się zaczynało. Nie ma odwrotu, pomyślał anioł. Trzeba się z tym było uwinąć jak na skrzydłach (jako anioł powinien być w tym dobry).

Uniósł ręce i czarny płaszcz załopotał za nim na wietrze, odsłaniając końcówki skrzydeł pod spodem. Najbardziej dostojnym głosem, na jaki było go stać, wypowiedział zaklęcie.

– Niech ten, kto tu martwy spoczywa, powstanie! – Wykonał ruch ręką, z grubsza wskazując okolice, – Niech ten, kto nie żyje, ożyje znowu. Powstań ze swego grobu w to Boże Narodzenie i żyj! – Razjel popatrzył na nadjedzonego snickersa, którego trzymał, i pomyślał, że może powinien bardziej konkretnie określić, co ma się wydarzyć. – Wyjdź z grobu! Świętuj! I ucztuj!

Nic. Nie nastąpiło zupełnie nic. Dobra, powiedział sobie anioł w duchu. Wsadził do ust pozostałą część batonika i wytarł ręce o płaszcz. Deszcz trochę zelżał i Razjel widział las. Nic się nie działo.

– Mówię poważnie! – powiedział swoim głośnym, budzącym grozę, anielskim głosem.

Nic, cholera. Mokre sosnowe igły, trochę wiatru, drzewa, kołyszące się w tę i nazad, deszcz. Zero cudu.

– Patrz! – wykrzyknął anioł. – Albowiem nie żartuję.

W tym momencie poryw wichru sprawił, że kolejna sosna w pobliżu trzasnęła i upadła, mijając anioła ledwie o dwa metry.

– W porządku. To musi trochę potrwać.

Wyszedł z lasu i przez Worchester Street podążył do miasteczka.

– Ojej, nagle zrobiłem się głodny – odezwał się Marty o Poranku, cały czas zupełnie martwy.

– Wiem – powiedziała Bess Leander, otruta, ale całkiem żwawa. – Bardzo dziwnie się czuję. Głodna... i coś jeszcze. Nigdy wcześniej tego nie czułam.

– Oj, moja droga – przemówiła nauczycielka Esther – Nagle jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to mózgi.

– A ty, miody? – spytał Marty o Poranku. – Myślisz o mózgach?

– Aha – odparł Jimmy Antalvo. – Coś bym zjadł.

Na szczęście nie ma rozdziału 13 TYLKO TEN ŚWIĄTECZNY ALBUM FOTOGRAFICZNY

Czasami, kiedy uważnie popatrzyś na rodzinne fotki, w twarzach dzieci możesz ujrzeć zapowiedź tego, jakimi staną się dorośli. U dorosłych widać czasami drugą twarz pod tą pierwszą. Nie zawsze, ale czasami...

TUCKERCASE

Na tym zdjęciu widzimy zamożną kalifornijską rodzinę, pozującą przed domem nad brzegiem jeziora w Elisnore w stanie Kalifornia. (Kolor na błyszczącym papierze, osiem na dziesięć, ze znakiem firmowym profesjonalnego studia fotograficznego).

Wszyscy są opaleni i mają zdrowy wygląd. Tucker Case ma jakieś dziesięć lat, jest ubrany w sportową bluzę z emblematem żeglarskim na kieszeni, a na nogach ma lekko postrzępione mokasyny. Stoi przed swoją matką, która ma takie same jasne włosy i niebieskie oczy, taki sam uśmiech, który wygląda nie tak, jakby chwaliła się uzębieniem, lecz tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć głośnym śmiechem. Trzy pokolenia Case'ów – bracia, siostry, wujowie, ciotki i kuzyni. Są doskonale uczesani, wyprasowani, umyjni i lśniący. Wszyscy się uśmiechają, z wyjątkiem dziewczynki z przodu, na której twarzy maluje się wyraz skrajnego przerażenia.

Po bliższym przyjrzeniu się odkrywamy, że tył jej czerwonej świątecznej sukienki jest uniesiony, i wsuwa się pod nią ręka małego Tucka, który właśnie pozwolił sobie na kazirodzkie klepięcie jedenastoletniego tyłka kuzynki Jenny.

W tej fotografii znaczące jest nie ukradkowe wyciągnięcie ręki, ale motyw, widzimy bowiem Tuckera Case'a w wieku, gdy bardziej od seksu interesuje go wysadzanie różnych rzeczy w powietrze, doskonale zdaje sobie jednak sprawę, jak bardzo jego postępek wystraszy kuzynkę. To jest dla niego sens życia. Warto zauważyć, że Janey Case-Robins zostanie w przyszłości wziętą prawniczką i obrończynią praw kobiet, a Tucker Case wiecznie rozczarowanym napaleńcem z nietoperzem owocożernym.

LENA MARQUEZ

Zdjęcie zrobiono w czyimś ogródku w słoneczny dzień. Wszędzie widać dzieci i nie ma wątpliwości, że odbywa się wielkie przyjęcie.

Ona ma sześć lat, nosi szeroką, różową sukienkę i lakierki. Wygląda nad wyraz uroczo, długie czarne włosy ma spięte w kucyki z czerwonymi kokardkami, które ciągną się za nią niczym jedwabne ogony komety. Ma zawiązane oczy i szeroko otwarte usta, z których dobywa się dziewczęcy śmiech. Właśnie uderzyła w coś kijem i jest pewna, że rozbiła piniatę, uwalniając słodczyce, zabawki i kapiszony dla wszystkich dzieci. W rzeczywistości potężnie przyłożyła swojemu wujowi Octavio w cojones. Wuj Octavio został uchwycony w magicznym momencie przemiany, na jego twarzy malują się jednocześnie kolejne fazy – od wesołości, przez zaskoczenie, po ból. Lena wciąż jest urocza i słodka, nieświadoma nieszczęścia. Feliz Navidad!

MOLLY MICHON

Jest Boże Narodzenie, poranek, wkrótce po szaleństwie otwierania prezentów. Na podłodze wala się bibuła i wstążki, a z boku widać stolik, na którym stoi pełna petów popielniczka wielkości samochodowego kołpaka, a także pusta butelka po Jimie Beamie. Z przodu, pośrodku, znajduje się sześciolatka Molly Achevsky (zmieni nazwisko na Michon w wieku dziewiętnastu lat, idąc za radą swojego agenta, bo „brzmi to zajebiście po francusku, ludzie to uwielbiają”). Molly ma na sobie czerwony strój baletnicy, wyszywany cekinami, czerwone kalosze sięgające mniej więcej do połowy łydek, a na jej twarzy widnieje szeroki, bezczelny uśmiech z dziurą pośrodku, w miejscu gdzie niegdyś znajdowały się przednie zęby. Jedną nogę opiera o dużą, zabawkową śmieciarkę firmy Tonka, jakby właśnie zdobyła ją w walce na złośliwości. Jej młodszy brat, czteroletni Mikę, próbuje wyciągnąć zabawkę spod jej nogi. Po jego policzkach płyną łzy. Starszy z braci, pięcioletni Tony, patrzy na siostrę tak, jakby była księżniczką wszystkiego co dobre. Tego ranka dała mu już mleko z płatkami Lucky Charms, którymi co rano karmi obu braci.

W tle widzimy kobietę w szlafroku, leżącą na kanapie. Jej ręka zwiesza się ku podłodze i trzyma papierosa, który wypalił się parę godzin wcześniej. Srebrzysty popiół zostawił smugę na dywanie.

Nikt nie ma zielonego pojęcia, kto zrobił zdjęcie.

DALE PEARSON

Zdjęcie zrobiono zaledwie kilka lat temu, gdy Dale był jeszcze żonaty z Leną. To przyjęcie bożonarodzeniowe w Łoży Caribou, a Dale znowu jest przebrany za Mikołaja i siedzi na prowizorycznym tronie. Otaczają go pijani biesiadnicy – wszyscy się śmieją i

trzymają dowcipne prezenty, które wcześniej dostali od Dale'a. Dale dzierży własny prezent, trzydziestopięciocentymetrowego gumowego penisa o obwodzie dorównującym puszcze z zupą. Macha nim do Leny z lubieżnym uśmiechem, a ona, ubrana w czarną koktajlową sukienkę i sznur pereł, wydaje się przerażona jego słowami, których można się łatwo domyślić: „Dziś w nocy zrobimy dobry użytek z tego łobuza, co, mała?”.

Ironia sytuacji polega na rym, że w nocy przywdzieje jeden ze swoich esesmańskich mundurów – z wyjątkiem bryczesów – i poprosi Lenę, by zrobiła z jego prezentem dokładnie to, co sama mu kazała z nim zrobić podczas przyjęcia. Kobieta nigdy się nie dowie, czy to ona poddała mu ten pomysł, będzie to jednak kamień milowy w jej dążeniach do sprawy rozwodowej.

THEOPHILUS CROWE

W wieku trzynastu lat Theo Crowe ma już sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i waży około pięćdziesięciu kilogramów. Jest to klasyczna scena z Trzema Królami podążającymi za gwiazdą. Orkiestra z siódmej klasy odgrywa melodię z opery Amahl i goście nocy. Theo, który początkowo grał jednego z Trzech Króli, jest teraz przebrany za wielbłąda. Uszy to jedyna część jego ciała, która ma odpowiednie proporcje, a Theo wygląda jak wielbłąd, którego Salvador Dali wykonał z drutu. Szansę na występ w roli Baltazara, króla etiopskiego, pogrzebał, gdy obwieścił, że władcy przynieśli mirrę, złoto i straszydło. Później, wraz z dwoma innymi wielbłądami i owcą, zostanie zawieszony za palenie mirry. (Nigdy by ich nie przyłapano, gdyby nie owca, która zaproponowała szybką zabawę w „Zabij faceta szczebelkiem ze żłóbka” na tyłach teatru. Najwyraźniej mirra nieźle dawała w dekiel).

GABE FENTON

Fotografię zrobiono w ubiegłym roku, przy latarni morskiej, gdzie Gabe ma swój domek. W tle widać latarnię i morskie bałwany. Widać, że to wietrzny dzień, bo Gabe ma na głowie czapkę Mikołaja, która powiewa, i przytrzymuje rogi renifera na łbie Skinnera. Obok nich przykucnęła doktor Valerie Riordan w sukience za tysiąc dolarów, czerwonej i skrojonej na modłę napoleońskiego mundurku, z mosiężnymi guzikami i złotymi galonami. Kasztanowe włosy ma uczesane tak, że zawijają się za uszami i kontrastują z brylantowymi kolczykami. Nałożyła lalkowaty makijaż w stylu prezenterki wiadomości i wygląda, jakby zespół speców od efektów specjalnych zeszkrobał jej twarz, a potem namalował nową – jaśniejszą, lepszą i bardziej wyrazistą od prawdziwej ludzkiej twarzy.

Stara się, naprawdę się stara, uśmiechnąć do obiektywu. Jedną dłonią trzyma włosy, a drugą pozornie głaszcze Skinnera, lecz po bliższych oględzinach widać, że go przytrzymuje. Smuga na kolanie jej rajstop zdradza, że Skinner próbował wcześniej świątecznego zbliżenia z nogą samicy Faceta od Żarcia.

Gabe wygląda niechlujnie w bojówkach i traperach. Jedne i drugie pokrywa warstwa piasku, tego ranka siadał bowiem okrakiem na słońcach morskich, przyklejając im do grzbietów urządzenia do namierzania z satelity. Na jego twarzy maluje się szeroki, pełen nadziei uśmiech, i nie da się wskazać elementów niepasujących do obrazka.

ROBERTO T. NIETOPERZ OWOCOŻERNY

To zdjęcie zrobiono na wyspie Guam, gdzie Roberto przyszedł na świat. W tle widnieją palmy. Od razu widać, że to młody osobnik, nie dorobił się bowiem jeszcze pary Ray-Banów ani pana, który przynosiłby mu na zawołanie owoce mango. Zwinął się w świątecznym wieńcu, wykonanym z palmowych liści i ozdobionym małymi papajami oraz czerwonymi orzechami palmowymi. Zlizuje miąższ papai ze swojego psiego pyszczka. Dzieci, które znalazły go w wieńcu w ten świąteczny poranek, pozują do zdjęcia po obu stronach drzwi, na których wieniec wisi. Są to dziewczynki. Mają długie, kręcone ciemne włosy po matce, pochodzącej z ludu Chamorro, i zielone oczy po pochodzącym z Irlandii katolickim ojcu, amerykańskim lotniku. Ojciec robi zdjęcie. Dziewczynki mają na sobie jasne sukienki w kwiatki z bufiastymi rękawami.

Po mszy spróbują zwabić Roberto do pudełka, by później go ugotować i podać z makaronem sojowym. Nietoperz wprawdzie ucieknie, ale przeżycie okaże się na tyle traumatyczne, że na wiele lat przestanie mówić.

Rozdział 14

TOWARZYSTWO NA PRZYJĘCIU DLA SAMOTNYCH

Na przyjęcie świąteczne dla samotnych Theo włożył swoją policyjną bluzę. Nie dlatego, że nie miał się w co ubrać, bo w volvo zostały mu jeszcze dwie czyste koszule flanelowe i bluza zespołu Phish, które zabrał z domu, ale dlatego, że gdy w Pine Cove szalała burza, czuł, że powinien wykonywać policyjne obowiązki. Bluza miała na ramionach pagony (które służą do, ee, zapobiegania padaczce – nie – do wkładania pod nie czapki – nie – do stawiania na nich papugi – nie) które wyglądały tajemnie i wojskowo, a także mały otwór w kieszeni, do którego mógł przypiąć odznakę, oraz drugi otwór, w który mógł wetknąć długopis, co stanowiło dużą wygodę podczas burzy, gdyby człowiek chciał zrobić jakieś notatki, na przykład: „19.00. Ciągłe wieje jak skurwysyn”.

– Ha, naprawdę wieje jak skurwysyn – powiedział Theo.

Była 19.00.

Theo stał w kącie głównego pomieszczenia Kaplicy Świętej Róży obok Gabe’a Fentona, który włożył jedną ze swoich koszul naukowca – praktyczną płócienną koszulę w kolorze khaki, z licznymi kieszeniami, otworami, guzikami, przegródkami, pagonami, suwakami, rzepami, zatrzaskami i rozcięciami, więc można w niej było zgubić cały dobytek i dosłownie zedrzeć sobie sutki, poklepując się po kieszeniach i mówiąc: „Na pewno mam to gdzieś tutaj”.

– Tak – powiedział Gabe. – Wiatr dochodził do stu dwudziestu, kiedy wychodziłem z latarni.

– Żartujesz! Sto dwadzieścia mil na godzinę? Wszyscy zginiemy – powiedział Theo i nagle poczuł się lepiej.

– Kilometrów na godzinę – wyjaśnił Gabe. – Stań przede mną. Ona patrzy.

Złapał Theo za pagon (aha!) i pociągnął, by zasłonić się przed spojrzeniem z drugiego krańca pomieszczenia. Tam właśnie Valerie Riordan, w grafitowym kostiumie od Armaniego i czerwonych butach od Ferragamo, popijała z plastikowego kubka likier żurawinowy z napojem gazowanym.

– Dlaczego przyszła? – szepnął Gabe. – Nie miała lepszych propozycji od jakichś ekskluzywnych klubów, biznesmenów czy coś?

Słowo „biznesmenów” Gabe wypowiedział tak, jakby musiał wypluć jakiś obrzydliwy posmak, zanim zrobi mu się niedobrze, i dokładnie o to mu chodziło. Gabe nie żył wprawdzie w wieży z kości słoniowej, ale mieszkał obok niej, przez co miał wypaczone spojrzenie na handel.

– Strasznie drga ci oko, Gabe. Dobrze się czujesz?

– To pewnie uwarunkowanie po tych elektrodach. Ona wygląda świetnie, nie sądzisz?

Theo spojrział na byłą dziewczynę Gabe’a, kontemplując wysokie obcasy, pończochy, makijaż, włosy, krój kostiumu, nos, biodra, i poczuł się, jakby oglądał sportowy wóz, na który go nie stać, którego nie umiałby prowadzić i który oczyma wyobraźni widział rozbity na słupie ze sobą w środku.

– Szminka pasuje do butów – stwierdził Theo, tak naprawdę nie odpowiadając na pytanie przyjaciela. Takie rzeczy w Pine Cove się nie zdarzały. No, Molly miała wprawdzie czarną szminkę, pasującą do pary czarnych butów, które nosiła bez żadnych dodatków, ale nie chciał o tym myśleć. Właściwie ta chwila miałyby sens tylko wtedy, gdyby mógł ją dzielić z Molly, a zdał sobie sprawę, że nic z tego, i przez sekundę pozazdrościł Gabe’owi jego tiku.

Podwójne drzwi do kaplicy otworzyły się i wiatr omiół pomieszczenie, trzęsąc kilkoma taśmami z krepiny, które jeszcze ostały się na ścianach, i strącając parę ozdób z olbrzymiej choinki. Do środka wszedł Tucker Case w ociekającej wodą, lotniczej kurtce. Znad jej suwaka wystawał pokryty sierścią pyszczek.

– Żadnych psów – powiedziała Mavis Sand, zmagając się z drzwiami i usiłując je zamknąć. – Od paru lat zaczęliśmy wpuszczać dzieci i wcale mi się to nie podoba.

Tuck chwycił drugie skrzydło drzwi i zatrzasnął, po czym złapał to, z którym walczyła Mavis.

– To nie pies.

Mavis odwróciła się i spojrzała prosto w pysk Roberto, który cicho szczechnął.

– To jest pies. Może niezbyt wielki, przyznaję, ale pies. I ma okulary przeciwsłoneczne.

– Co z tego?

– Jest ciemno, głupku. Wyrzuć psa.

– To nie pies – powtórzył Tuck i aby dowieść swoich racji, rozpiął kurtkę, złapał

Roberta za nóżki i podrzucił w górę. Nietoperz zawył, rozpostarł skórzaste skrzydła i poleciał na wierzchołek choinki. Tam chwycił gwiazdę, wykonał pół obrotu i zawisł głową w dół. Pomimo wesołego usposobienia i różowych oprawek okularów wyglądał nieco upiornie.

Wszyscy w kaplicy, około trzydziestu osób, przerwali wykonywane czynności i spojrzeli na zwierzę. Lena Marquez, która stała przy stole i kroїła lazanię na kwadratowe kawalki, podniosła wzrok, nawiązała krótki kontakt wzrokowy z Tuckiem, po czym się odwróciła. Nie licząc radiomagnetofonu odtwarzającego kolędy w stylu reggae, a także szalejącego na zewnątrz wichru i deszczu, nie rozległ się żaden dźwięk.

– Co? – powiedział Tuck, zwracając się do wszystkich i do nikogo konkretnego. – Zachowujecie się, jakbyście w życiu nie widzieli nietoperza.

– Wyglądał jak pies – odezwała się Mavis za jego plecami.

– Więc nie ma zakazu wstępu dla nietoperzy? – spytał Tuck, nie odwracając się.

– Nie sądzę. Masz wspaniały tyłek, pilociku, wiesz?

– Tak, to moje przekleństwo – odparł Tuck.

Wzrokiem poszukał na sklepieniu jakiejś jemioly, pod którą któraś mogłaby go zdybać, zauważył Theo i Gabe'a, po czym ruszył prościutko w kąt, w którym się ukrywali.

– O, Boże – powiedział, podchodząc bliżej. – Widzieliście Lenę, chłopaki? Ekstra z niej babka. Nie uważacie, że jest ekstra? Tęsknię za nią.

– Boże, ty też? Tylko nie to – jęknął Theo.

– Ta czapka Mikołaja jakoś na mnie działa.

– To *Pteropus tokudaei* – spytał Gabe, wyglądając zza pleców Theo i ruchem głowy wskazując choinkę z nietoperzem.

– Nie, to Roberto. Dlaczego chowasz się za posterunkowym?

– Jest tu moja była. Tuck obejrzał się.

– Ta ruda w kostiumie?

Gabe skinął głową, Tuck popatrzył na niego, potem znów na Val Riordan, która teraz gawędziła z Leną Marquez, i w końcu jeszcze raz na Gabe'a.

– Ho, ho, wygrzebałeś się ze swojej puli genowej, co? Przybij piątkę. – Wyciągnął rękę do biologa.

– Nie lubimy cię, wiesz? – powiedział Theo.

– Naprawdę? – Tuck cofnął dłoń. Ponad ramieniem posterunkowego spojrział na

Gabe'a. – Naprawdę?

– Jesteś w porządku – odparł Gabe. – On jest po prostu drażliwy.

– Nie jestem drażliwy – zaprotestował Theo.

Tak naprawdę był trochę drażliwy. Trochę smutny. Trochę naspawany. Trochę zbity z tropu, że burza nie przeszła bokiem, jak się spodziewał, i trochę podekscytowany, że może naprawdę skończyć się katastrofą. W głębi duszy Theophilus Crowe uwielbiał katastrofy.

– To zrozumiałe – stwierdził Tuck, ściskając ramię Theo. – Twoja żona była szprotką.

– Jest szprotką – poprawił Theo, po czym dodał: – Hej!

– Nie, w porządku – powiedział Tuck. – Masz szczęście.

Gabe Fenton wyciągnął rękę i ścisnął drugie ramię Theo.

– To prawda – stwierdził. – Kiedy Molly nie świruje do reszty, jest szprotką.

Właściwie to nawet kiedy...

– Moglibyście przestać nazywać moją żonę szprotką? Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Tak się mówi u nas na wyspach – wyjaśnił Tuck. – Chciałem powiedzieć, że nie masz się czego wstydzić. Dobrze wam się układało. Nie możesz myśleć, że na zawsze straciła zdrowy rozsądek. Wiesz, Theo, raz na jakiś czas Eraserhead spiknie się z Dzwoneczkiem albo Carl ze Sling Blade ożeni się z Lara Croft. Takie rzeczy budzą nadzieję, ale nie można na to liczyć. Nie można na to stawiać. No, faceci tacy jak my zawsze żyliby samotnie, gdyby niektóre kobiety nie miały głęboko zakorzenionych skłonności autodestrukcyjnych, mam rację, profesorze?

– Prawda – powiedział Gabe.

Wykonał przy tym gest w stylu „przysięgam na Biblię”. Theo zgromił go wzrokiem.

– W końcu każda kobieta zmądrzeje – ciągnął Tuck.

– Po prostu przestała zażywać leki.

– Wszystko jedno – odparł pilot. – Chcę tylko powiedzieć, że mamy Boże Narodzenie i powinieneś być wdzięczny, że w ogóle udało ci się kogoś podpuścić, by cię pokochał.

– Zadzwoń do niej – powiedział Theo.

Wyciągnął komórkę z kieszeni mundurowej bluzy i wybrał swój domowy numer.

– Czy Val ma perłowe kolczyki? – spytał Gabe. – Dostała je ode mnie.
– Brylantowe – odparł Tuck, oglądając się przez ramię.
– Cholera.
– Popatrz na Lenę w tej czapce Mikołaja. Ta kobieta ma talent do błyskotek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Nie mam pojęcia – odparł Gabe.
– Ja też nie. Po prostu brzmi to perwersyjnie – powiedział Tuck.

Theo zamknął telefon.

– Nienawidzę was obu.
– Nie mów tak – powiedział Tuck.
– Nie ma zasięgu? – spytał Gabe.
– Pójdę sprawdzić, czy radio policyjne w moim samochodzie działa.

-

Na parkingu za kaplicą lał deszcz, gdy zmarli wyciągali się nawzajem z blocka.

– W filmach wydawało się to łatwiejsze – stwierdził Jimmy Antalvo, który tkwił po pas w kałuży. Marty o Poranku i ten nowy facet w czerwonym stroju próbowali go wyciągnąć. Jego słowa brzmiały trochę niewyraźnie i chrapliwie, po pierwsze, z powodu błota, a po drugie, struktury twarzy, która składała się głównie z używanego w zakładach pogrzebowych wosku i drutu. – Myślałem, że nigdy nie wydostanę się z tej trumny.

– Chłopcze, i tak masz lepiej niż paru innych, których wyciągnęliśmy – powiedział Marty o Poranku. Wskazał głową w stronę wątlej sterty poruszającego się mięsa w stanie rozkładu, która kiedyś była elektrykiem. Brejowaty obiekt wydał z siebie jęklivy odgłos.

– Kto to jest? – spytał Jimmy. Ulewa zmyła mu błoto z oczu.

– Alvin – wyjaśnił Marty. – Tylko tyle dało się zrozumieć.

– Kiedyś gadałem z nim cały czas – stwierdził Jimmy.

– Teraz jest inaczej – wtrącił facet w czerwonym stroju. – Teraz naprawdę mówisz, a nie tylko myślisz. A okres gwarancji na jego aparat mowy już dawno minął.

Marty, który za życia był korpulentny, ale po śmierci wyraźnie schudł, pochylił się i mocno złapał Jimmy'ego za ramię, zaginając jego łokieć na swoim, i dzięki temu tworząc rewelacyjny dźwig. Rozległ się głośny trzask i Marty przewrócił się na plecy w błoto. Jimmy Antalvo wymachiwał pustym rękawem skórzanej kurtki i wrzeszczał:

– Moja ręka! Moja ręka!

– Kurde, mogli ją lepiej przyszyć – powiedział Marty, trzymając rękę w górze, choć ta wyglądała, jakby wykonywała nadzwyczaj szarpaną wersję defiladowego pozdrowienia.

– Te korowody z powstawaniem z martwych są obrzydliwe – powiedziała Esther, nauczycielka, stojąc z boku z paroma innymi, których już odkopano. Woda spływała ze strzępów jej najlepszej sukienki, którą nosiła do kościoła, a z której zostały tylko skrawki perkalu. – Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Czyli nie jesteś głodna? – spytał nowy facet, które mu z brody Mikołaja spływały strużki brudnej od błota deszczówki. Wyszedł jako pierwszy, nie musiał bowiem wydostawać się z trumny. – Świetnie, kiedy już wyciągniemy dzieciaka, wepchniemy cię z powrotem do twojego dołu.

– Tego nie powiedziałam – odparła Esther. – Chętnie bym coś przekąsiła. Coś lekkiego. Może Mavis Sand. Mózg tej kobiety nie wystarczyłby pewnie nawet do posmarowania krakersa.

– No to się zamknij i pomóż nam wszystkich wyciągnąć.

W pobliżu Malcolm Cowley patrzył z dezaprobatą na jednego z mniej wygadanych żywych trupów, któremu spomiędzy mięsa wystawały nagie kości. Martwy antykwariusz wyżywał swoją tweedową marynarkę i kręcił głową na każdą uwagę.

– Nagle wszyscy staliśmy się żarłokami, co? Zawsze cenilem nowoczesne meble za ich funkcjonalność i elegancję, więc kiedy skonsumujemy już mózgi tych z przyjęcia, czuję się zmuszony odszukać jeden ze sklepów meblowych, o których tyle mówią młode pary w kaplicy. Najpierw uczta, potem IKEA.

– IKEA! – zaczęli skandować zmarli. – Najpierw uczta, potem IKEA! Najpierw uczta, potem IKEA!

– Mogę zjeść mózg żony posterunkowego? – spytał Arthur Tannbeau. – Po głosie wydaje mi się pikantna...

– Wyciągnijmy wszystkich z ziemi, a potem będziemy jeść – powiedział nowy. Najwyraźniej był przyzwyczajony do wydawania poleceń innym.

– A kto umarł i zrobił cię szefem? – spytała Bess Leander.

– Wy wszyscy – odparł Dale Pearson.

– Coś w tym jest – przyznał Marty o Poranku.

– Chłopcy, może zanim skończycie, przejdę się po parkingu. Masz ci los,

chodzenie nie idzie mi najlepiej – powiedziała Esther, ciągnąc jedną stopę za sobą i zostawiając w błocie wyraźną bruzdę. – Ale IKEA wygląda mi na rozkoszną przygodę po kolacji.

Nikt nie wie dlaczego, ale na drugim miejscu po jedzeniu mózgów żywe trupy stawiają niedrogie, prefabrykowane meble. Po drugiej stronie parkingu wodę w uszach Theophilusa Crowe'a zastępowała psia ślina. – Siad, Skinner.

Theo odepchnął psisko i przypiął mikrofon do policyjnego radia. Próbował je wyregulować, słyszał jednak tylko odległe, bezcielesne głosy, jakieś słowo tu i tam pośród szumu. Ulewa łomotała w samochód tak głośno, że Theo przyłożył głowę do deski rozdzielczej, by lepiej słyszeć mały głośnik, a Skinner, ma się rozumieć, potraktował to jako zaproszenie do dalszego wylizywania deszczu z jego uszu.

– Uch! Skinner. – Theo złapał psa za pysk i powiódł go między siedzenia.

Przeszkadzała mu nie wilgoć, a nawet nie psi oddech, który dawał się we znaki, tylko hałas. To lizanie było po prostu zbyt głośne. Theo pogrzebał w konsoli między siedzeniami i znalazł zawiniętą w papier połówkę Slim Jima. Skinner pochłonął psi przysmak i napawał się nim, oblizując wargi tuż przy uchu Theo.

Theo wyłączył radio. Jednym z problemów życia w Pine Cove wśród wszechobecnych sosen kalifornijskich był fakt, że te choinki po kilku latach nie wyglądały już jak choinki, lecz przypominały wielkie, odwrócone mopy z olbrzymim żaglem igliwia! szyszek na wierzchołku długiego, wąskiego pnia, wspartego na płaskim systemie korzeni – te drzewa były szczególnie podatne na przewracanie się przy silnym wietrze. Gdy zatem El Nino zbliżał się do wybrzeża i zaczynały się takie burze, jak ta, najpierw zasilanie traciły przekaźniki telewizji i telefonii komórkowej, potem całe miasto, a w końcu wysiadały linie telefoniczne, skutecznie odcinając wszelką łączność. Theo widywał już to zjawisko i nie podobało mu się to, co ono zwiastowało. Cypress Street znajdzie się pod wodą jeszcze przed świtem, a do południa ludzie zaczną pływać kajakami między biurami nieruchomości i galeriami sztuki.

Coś uderzyło w samochód. Theo włączył reflektory, ale deszcz lał tak mocno, a okna były tak zaparowane od psiego oddechu, że nic nie mógł zobaczyć. Założył, że to niewielka gałąź z drzewa. Skinner zaszczekał, co w zamkniętej przestrzeni zabrzmiało ogłuszająco.

Mógłby ruszyć na patrol do centrum, ale ponieważ Mavis zamknęła „Głowę

Ślimaka” na Wigilię, nie umiał sobie wyobrazić, po co ktokolwiek miałby tam przebywać. Wrócić do domu? Sprawdzić, co u Molly? Na szczęście jej honda z napędem na cztery koła była lepiej przystosowana do jazdy w tym bałaganie, a Molly miała dość rozumu, by nie ruszać się z domu. Starał się nie traktować osobiście faktu, że nie pojawiła się na przyjęciu. Próbował nie brać sobie do serca słów pilota, którego zdaniem nie był wart takiej kobiety.

Spojrzał w dół, na spoczywającą na konsoli zawiniętą w materiał szklaną fajkę. Theo podniósł ją, obejrzał, a potem z kieszeni bluzy mundurowej wyjął pudełko po kliszy wypełnione lepkimi, zielonymi pączkami i zaczął wpychać je do fajki.

Na chwilę oślepił go blask jednorazowej zapalniczki, a w tej samej chwili coś zaczęło skrobać o samochód. Skinner wskoczył na przedni fotel i zaszczekał w kierunku okna, raz po raz waląc Theo w twarz grubym ogonem.

– Leżeć, piesku. Leżeć – powiedział Theo, ale psisko próbowało się teraz przekopać przez winylowy panel na drzwiach.

Theo wiedział, że będzie miał potem do czynienia z bardzo mokrym psem, czuł jednak, że musi zajarać w spokoju, więc wyciągnął rękę i otworzył na oścież drzwi po stronie pasażera. Skinner wyskoczył. Wiatr zatrzęsął drzwi.

Na zewnątrz rozpętało się jakieś zamieszanie, ale Theo nic nie widział i doszedł do wniosku, że pies po prostu tarza się w błocie. Posterunkowy zapalił fajkę i zatracił się w kłębach słodkiego, niosącego pociechę dymu.

Jakieś trzy metry od samochodu Skinner radośnie odrywał głowę powstałej z martwych nauczycielce. Machała rękami i nogami, a także poruszała ustami, ale labrador przegryzł już większą część jej przegniłej krtani i, mocno zaciskając szczęki, targał jej głowę w przód i w tył. Ktoś wprawny w czytaniu z ruchu warg mógłby wam wyjaśnić, co mówiła Esther:

– Chciałam tylko zjeść kawałek jego mózgu. Nie ma powodu, żeby tak się zachowywać, młodzieńcze.

Ale mi za to nawymyślają od niedobrych psów, pomyślał Skinner.

Theo wysiadł z samochodu prosto w błoto po kostki. Pomimo chłodu, wiatru, deszczu i blocka, które przelało się przez krawędź jego butów, Theo westchnął, był bowiem mocno, melancholijnie naspawany i wkraczał w tę miłą fazę, w której wszystko, włącznie z ulewą, było jego winą i musiał po prostu jakoś z tym żyć. Nie było to rzewne

uzalanie się nad sobą, jakie mogłaby wywołać irlandzka whiskey, ani gniewne obwinianie samego siebie po tequili, ani roztrzęsiona paranoja po amfie – po prostu lekko smętna niechęć do siebie i świadomość, jaki z niego ostatni niedojda. – Skinner. Chodź tutaj. No już, piesku, z powrotem do wozu.

Theo ledwie widział Skinnera. Pies leżał na grzbiecie i tarzał się w czymś, co wyglądało jak sterta mokrego, zabłoconego prania. Wił się jak wąż z otwartym pyskiem, wymachując różowym językiem w ekstazie psorgazmu.

Pewnie martwy szop, pomyślał Theo, mrugając, by usunąć z oczu deszczówkę. Ja nigdy nie byłem taki szczęśliwy. I nigdy nie będę.

Zostawił psa z jego radością i powlókł się z powrotem na przyjęcie dla samotnych. Miał wrażenie, że poczuł na szyi czyjąś rękę, zmagając się z podwójnymi drzwiami, a potem rozległ się głośny jęk, gdy drzwi się zatrzasnęły, ale to był pewnie tylko wiatr. Nie wyglądało to na wiatr. To musiał być wiatr.

Rozdział 15

KRÓTKOTRWAŁY PRZEBŁYSK MOLLY

Na fioletowy róg Nigotha, nakazuję ci wrzeć! – wydarła się Wojownicza Laska. W końcu, po co jej wyższa moc, jeśli nie mogła nawet pomóc ugotować garnka makaronu? Molly stała nad paleniskiem nago, jeśli nie liczyć szerokiej szarfy, z której pośrodku pleców zwieszała się pochwa jej miecza, co wywoływało wrażenie, jakby kobieta właśnie zdobyła tytuł Miss Nagości na Pokazie Różnorodnych Aktów Przemocy. Skórę miała śliską od potu, nie dlatego że trenowała, tylko dlatego że porąbała stół swoim złamanym mieczem, a następnie spaliła go, wraz z dwoma krzesłami z jadalni. W domku panował skwar. Prąd jeszcze nie wysiadł, ale musiał wsiąść już wkrótce i Wojownicza Laska z Pustkowi szybciej niż większość ludzi weszła w fazę przetrwania w trudnych warunkach. Pasowało to do jej profilu zawodowego.

– Jest Wigilia – powiedział Narrator. – Nie powinniśmy zjeść czegoś bardziej świątecznego? Co powiesz na ciasteczka w kształcie Nigotha? Masz fioletowe wiórki?

– Dostaniesz byle co i masz być zachwycony! Jesteś tylko bezdusznym duchem, który mnie drażni i kręci się po moim mózgu jak pająki. Kiedy piątego dostanę czek, na zawsze zostaniesz strącony w otchłań.

– Ale słowo daje, pociąć stół? Krzyczeć na zupę? Myślę, że mogłabyś wykorzystać swoją energię w bardziej pozytywny sposób. Chodzi mi o coś w duchu Bożego Narodzenia.

W krótkotrwałym przeblysku Molly, Wojownicza Laska zdała sobie sprawę, że powinna postępować inaczej, gdy Narrator staje się prawdziwym głosem rozsądku, a nie męczącym gadułą, który próbuje ją podpuszczać. Przykręciła palnik do połowy i poszła do sypialni.

Przysunęła do szafy stół i stanęła na nim, by sięgnąć do najwyższej półki. Wadą małżeństwa z dwumetrowym facetem jest fakt, że często trzeba się wspinać, by dostać się do rzeczy, które on położył gdzieś dla wygody. A w dodatku człowiek powinien mieć samobieżne żelazko, by wyprasować mu koszulę. Co prawda, nie robiła tego zbyt często, ale każdy, kto raz spróbuje poradzić sobie z zagnieciem na stucentymetrowym rękawie, prawdopodobnie porzuci prasowanie na zawsze. I tak była wariatką, więc

frustrujące zajęcia nie były jej potrzebne.

Pomacała półkę, przesunęła dłonią po zapasowej kaburze od glocka Tlieo i natrafiła na owinięty w aksamit przedmiot. Zeszła ze stołka i położyła pakunek na kanapie, po czym usiadła i zaczęła powoli rozwijać materiał. Pochwę wykonano z drewna. W jakiś sposób nałożono na nią warstwę czarnego jedwabiu, wyglądała więc, jakby spijała światło z pomieszczenia. Rękojeść owinięto czarnym jedwabnym sznurem, był też jelec z kutego brązu z wizerunkiem smoka. Wykonana z kości słoniowej smocza głowa wystawała poza rękojeść. Kiedy Molly wyciągnęła broń z pochwy, zaparło jej dech w piersiach. Natychmiast poznała, że to prawdziwy, stary miecz, który musiał kosztować majątek. Miał najwspanialszą klingę, jaką kiedykolwiek widziała, i był to tashi, a nie katana. Theo wiedział, że do treningów wolałaby dłuższy, cięższy miecz. Że będzie spędzała długie godziny z tą bronią w rękach i nie zamknie jej na pokaz w gablocie.

Łzy napłynęły jej do oczu i klinga wydała jej się teraz srebrną mgiełką. Zaryzykował swoją wolność i dumę, by jej to kupić, by wyrazić podziw dla tej części jej osobowości, której wszyscy pozostali najwyraźniej chcieli się pozbyć.

– Twoja zupa kipi – oznajmił Narrator – ty sentymentalna babo.

Rzeczywiście. Słyszała syk wody spływającej na palnik. Zerwała się na nogi i rozejrzała w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby odłożyć miecz. Stolik spłonął już w kominku na popiół. Popatrzyła na półkę z książkami pod oknem i w tym momencie rozległ się ogłuszający huk pękającego pnia dużej sosny, a potem cichsze trzaski, gdy padając, sosna łamała gałęzie i mniejsze drzewa. Iskry rozświetliły noc na zewnątrz, a światła zgasły w momencie, gdy cały dom zatrzęsł się od uderzenia pnia o ziemię. Molly widziała zerwane kable energetyczne przy drodze, strzelające w mroku pomarańczowymi i błękitnymi pasmami. W oknie widniała sylwetka wysokiej, ciemnej postaci, która stała tam i po prostu na nią patrzyła.

Chociaż na świąteczne przyjęcie dla samotnych przychodziło wielu singli, nigdy nie miało ono być miejscem podrywów, przedłużeniem świątecznej gry w krzeselka w „Głowie Ślimaka”. Czasami ludzie się tam poznawali i zostawali kochankami czy partnerami, ale nie to stanowiło cel. Początkowo chodziło po prostu o spotkanie osób niemających w okolicy krewnych ani przyjaciół, z którymi mogłyby spędzić święta, a nie chciały spędzać ich samotnie albo w alkoholowej śpiączce, albo jedno i drugie. Przez lata przyjęcie stało się wyczekiwany wydarzeniem, które wiele osób wybierało zamiast

bardziej tradycyjnych spotkań z rodziną i przyjaciółmi.

– Trudno mi sobie wyobrazić straszniejszy horror niż święta z moją rodziną – powiedział Tucker Case, gdy Theo ponownie dołączył do grupy. – A tobie, Theo?

Obok Tucka i Gabe'a stał jeszcze jeden facet, łysiejący blondyn, wyglądający jak sponowiec, który się roztył. Nosił koszulkę z logiem Star Fleet Command i spodnie od dresu. Theo rozpoznał w nim ojczyzna/chłopaka mamy/kogoś tam Joshui Barkera, czyli Briana Hendersona.

– Brian – odezwał się Theo, w ostatniej chwili przypominając sobie imię faceta i wyciągając do niego rękę. – Jak się masz? Emily i Josh też przyszli?

– Ee, tak, ale nie ze mną – odparł Brian. – Coś nam się rozpadło.

Do rozmowy włączył się Tucker Case.

– Powiedział chłopakowi, że nie ma Świętego Mikołaja, a Boże Narodzenie to tylko genialny spisek handlowców, żeby więcej sprzedać. A co, może nie? A, tak, ten Święty Mikołaj zyskał sławę, bo ożywił jakieś dzieci, które były poćwiartowane i powpychane do słoików. Matka chłopca wyrzuciła go za drzwi.

– Oj, przykro mi – powiedział Theo.

Brian skinął głową.

– Nie układało nam się najlepiej.

– Facet do nas pasuje – stwierdził Gabe. – Zobacz, jaka fajna koszulka.

Brian wzruszył ramionami, nieco zawstydzony.

– Jest czerwona. Pomyślałem, że pasuje do świąt. A teraz czuję się...

– Ha! – przerwał mu Gabe. – Nie przejmuj się. Faceci w czerwonych koszulkach nigdy nie dożywają drugiej przerwy na reklamy. – Lekko szturchnął Briana w ramię w geście solidarności między odmieńcami.

– Dobra, skoczę do samochodu i wezmę inną koszulę – powiedział Brian. – Czuję się głupio. W aucie są wszystkie moje ubrania. Właściwie w ogóle wszystko, co mam.

Gdy Brian ruszył do drzwi, Theo nagle coś sobie przypomniał.

– A, Gabe, zapomniałem. Skinner wyskoczył z samochodu. Tarza się w czymś obrzydliwym. Może lepiej idź z Brianem i spróbuj zapakować go z powrotem do wozu.

– Ta rasa lubi wodę. Nic mu nie będzie. Może zostać na zewnątrz do końca przyjęcia. Może skoczy z zabłoconymi łapami na Val? Oby, oby...

– Co za złośliwość – stwierdził Tuck.

– To dlatego, że jestem małym, zawziętym facetem – odparł Gabe. – To znaczy, w wolnym czasie. Nie zawsze. Dość dużo pracuję.

Brian oddalił się w swojej koszulce ze Star Treka. Gdy otworzył jedno skrzydło podwójnych drzwi, zadął w nie wiatr i drzwi walnęły o zewnętrzną ścianę kościoła z hukiem wystrzału. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, mężczyzna wzruszył ramionami, a Skinner, zablokowany i zupełnie przemoknięty, wbiegł truchtem do środka, trzymając coś w zębach.

– Rany, ale robi bałagan – odezwał się Tuck. – Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z zalet posiadania latającego ssaka.

– Co on trzyma w pysku? – spytał Theo.

– Pewnie szyszkę – odparł Gabe, nawet nie zerkając na psa. – Albo i nie.

Rozległ się przeciągły krzyk, który zaczął się od Valerie Riordan, po czym jakby przeniósł się na wszystkie kobiety stojące przy bufecie. Skinner sprezentował swoją zdobycz Val. Upuścił ją na stopę kobiety, myśląc, że skoro stoi ona obok jedzenia i wciąż jest samicą Faceta od Żarcia (bo któż mógł myśleć o jedzeniu, nie myśląc przy tym o Facecie od Żarcia?), to doceni ten gest i być może go nagrodzi. Nie nagrodziła.

– Złap go! – wrzasnęła Gabe do Val.

Popatrzyła na niego tak wymownie, jak nikt nigdy dotąd. Być może to dyplom doktor medycyny przydał temu spojrzeniu elokwencji, tak czy owak niemy przekaz wyraźnie brzmiał: „Chyba cię pojebało”.

– Albo i nie – dodał Gabe.

Theo przemaszerował przez pomieszczenie i sięgnął do obroży Skinnera, ale w ostatniej chwili labrador złapał rękę, odsunął głowę i umknął poza zasięg posterunkowego. Trzej mężczyźni próbowali go gonić i pies biegał w tę i z powrotem po sosnowej podłodze z głową dumnie uniesioną jak u rasowego ogiera. Co jakiś czas przystawał, by obryzgać przerażonych gapiów błotem.

– Powiedźcie mi, że się nie rusza! – wykrzyknął Tuck, próbując odciąć Skinnerowi drogę do bufetu. – Ta ręka się nie rusza.

– To tylko energia kinetyczna psa na nią oddziałuje – stwierdził Gabe, który przyjął coś w rodzaju zapaśniczej postawy. Przywykł do tapania dzikich zwierząt i wiedział, że człowiek musi być zwinny, utrzymywać nisko środek ciężkości ciała i często przeklinać. – Cholera, Skinner, chodź tutaj. Niedobry pies! Niedobry!

No i proszę, zaczęło się. Tragedia. Tysiąc wypraw do weterynarza, mdłości po jedzeniu trawy, pchła, której za nic nie da się dosięgnąć. „Niedobry pies”. Na miłość psioską! Był niedobrym psem. Skinner upuścił zdobycz, podkulił ogon i przybrał postawę całkowitej pokory, wstydu, poczucia winy i przytłaczającego smutku. Zaskamlał i odważył się spojrzeć na Faceta od Żarcia, zerknąć z ukosa, zboląły, lecz gotowy na ewentualne kolejne wyzwiska na litery NP. Ale Facet od Żarcia nawet na niego nie patrzył. Nikt na niego nie patrzył. Wszystko było w porządku. Był dobry. Czy przy stole czuł zapach kiełbasy? Kielbasa jest dobra.

– To coś się rusza – stwierdził Tuck.

– Wcale nie. O, faktycznie – powiedział Gabe.

Nastąpiła kolejna seria wrzasków, tym razem wśród wrzasków kobiecych i dziecięcych rozległy się także męskie. Dłoń próbowała odpełznąć, ciągnąc przedramię za sobą.

– Jak świeża musi być, żeby robić takie rzeczy? – spytał Tuck.

– Nie jest świeża – odezwał się Joshua Barker, jeden z nielicznych dzieciaków w pomieszczeniu.

– Cześć, Josh – powitał go Theo Crowe. – Nie zauważyłem, jak wchodziłeś.

– Jarał pan trawkę w samochodzie, kiedy przyszedliśmy – powiedział radośnie chłopiec. – Wesołych świąt, panie posterunkowy.

– Dobra – powiedział Theo. Myśląc szybko, a przynajmniej zdawało mu się, że szybko, wyjął swój policyjny płaszcz z goretexu i narzucił go na poruszającą się rękę. – Słuchajcie, wszystko w porządku. Muszę wam coś wyznać. Powinienem powiedzieć o tym wcześniej, ale sam nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. Pora na szczerość. – Theo zyskał niemałą wprawę w mówieniu wstydliwych rzeczy o sobie samym podczas spotkań Anonimowych Narkomanów, a teraz wyznanie przychodziło mu jeszcze łatwiej, jako że był lekko naspawany. – Kilka dni temu wpadłem na pewnego człowieka, a raczej myślałem, że to człowiek, ale tak naprawdę był to jakiś niezniszczalny cybernetyczny robot. Walnąłem w niego, jadąc mniej więcej osiemdziesiątką, a on nawet tego nie zauważył.

– Terminator? – spytała Mavis Sand. – Chciałabym się z nim pieprzyć.

– Nie pytajcie, skąd się tu wziął, ani czym właściwie jest. Przez lata chyba wszyscy nauczyliśmy się, że im szybciej przyjmiemy proste wytłumaczenie niewytłumaczalnego,

tym większa szansa na przetrwanie sytuacji kryzysowej. W każdym razie myślę, że ta ręka może być częścią tej maszyny.

– Gównno prawda! – dobiegł krzyk zza drzwi wejściowych.

I w tej chwili drzwi się otworzyły, a do środka wdarł się wiatr, niosąc ze sobą potworny smród. W obramowaniu portalu stał Święty Mikołaj i trzymał za gardło Briana Hendersona w czerwonej koszulce ze Star Treka. Za nimi poruszała się grupa ciemnych postaci, jęczących coś o IKEI. Mikołaj przystawił rewolwer kaliber 38 do skroni Briana i pociągnął za spust. Krew bryznęła na ścianę i Mikołaj rzucił ciało Marty'emu o Poranku, który zaczął wysysać mózg martwego Briana przez ranę wylotową.

– Wesółch świąt, przekłete skurwysyny! – powiedział Mikołaj.

Rozdział 16

ZATEM...

Zatem było do dupy.

Rozdział 17

ON WIE, CZY BYŁEŚ GRZECZNY...

Lena Marquez, choć była przerażona wydarzeniami w wejściu do kaplicy, strzałem z rewolweru, wysysaniem mózgu i sytuacją zagrożenia, nie mogła powstrzymać się od myśli: ojej, co za niezręczna sytuacja – są tu obydwaj moi byli. Dale stał w drzwiach w stroju Mikołaja, rycząc z gniewu i ociekając błotem oraz krwią, a Tucker pognał do tyłu i zanurkował pod jeden ze składanych stołów. Wokół rozbrzmiewały krzyki i trwała bieganina, w większości jednak ludzie stali w miejscu, sparaliżowani strachem. A Tucker Case, ma się rozumieć, zachował się jak ostatni tchórz. Było jej bardzo wstyd.

– Ty suko! – krzyknął martwy Dale Pearson, celując w nią lufą trzydziestki ósemki. – Zrobisz z ciebie przekąskę! – Ruszył po sosnowej podłodze.

– Lena, uważaj! – rozległ się krzyk za nią.

Odwróciła się w samą porę, by się odsunąć, gdy stół uniósł się, zrzucając na podłogę rondle pełne lazanii. Kuchenki spirytusowe, na których stały rondle, rozlały na blat błękitny płomień. Tucker Case wstał i, trzymając stół przed sobą, wydał okrzyk wojenny. Theo Crowe zobaczył, co się dzieje, i ramieniem odsunął na bok grupkę ludzi, gdy Tuck, trzymając blat przed sobą, przesuwiał się w stronę żywych trupów. Dale Pearson otworzył ogień do zbliżającego się stołu i oddał trzy strzały, zanim Tuck w niego uderzył.

– Crowe, drzwi, drzwi! – zawołał Tuck, wypychając Dale'a i resztę umarłaków z powrotem na deszcz. Błękitny spirytusowy płomień objął białą brodę Dale'a, a także spływał na nogi Tucka. Theo pognał przez kaplicę i wyciągnął ręce, by złapać krawędź drzwi. Jednoręki trup w czarnej kurtce ominął skraj stołu Tucka i chciał złapać Theo, ten jednak oparł stopę o jego pierś i popchnął go z powrotem w dół schodów. Theo zatrzasnął jedno skrzydło drzwi, po czym odwrócił się i chwycił drugie. Zawahał się.

– Zamknij te cholerne drzwi! – wrzasnął Tuck, któremu zaczęły drżeć nogi, gdy stracił impet, dotarłszy do podnóża schodów. Theo widział zgniłe ręce wyciągające się do Tucka ponad krawędzią stołu. Jakiś mężczyzna, którego dolna szczęka wisiała na skrawku skóry, krzyczał na pilota i próbował wbić mu w dłoń górne zęby. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Theo przed zamknięciem drzwi, były nogi Tuckera Case'a, płonące

błękitnym ogniem i parujące na deszczu.

– Przynieście tu jeden ze stołów! – krzyknął Theo. – Zabarykadujcie te drzwi. Zablokujcie stół pod klamkami.

Nastąpiła chwila spokoju. Było słyszeć tylko wiatr i deszcz, a także łkanie Emily Barker, która przed chwilą widziała, jak zastrzelono jej byłego chłopaka i wysmano mu mózg.

– Kto to był?! – wykrzyknął Ignacio Nuñez, pulchny Latynos i właściciel miejscowego przedszkola. – Kto to, do diabła, był?!

Pod wpływem instynktu Lena Marquez podeszła do Emily Barker i uklękła, obejmując zrozpaczoną kobietę. Popatrzyła na Theo.

– Tucker jest na zewnątrz. On tam jest.

Theo Crowe zdał sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą. Z trudem łapał oddech, a w uszach słyszał łomot własnego serca. Bardzo chciał, by ktoś inny udzielił odpowiedzi, gdy jednak powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, ujrzał około czterdziestu przerażonych twarzy i zrozumiał, że cała odpowiedzialność spada na niego.

– O, kurwa – powiedział, opuściwszy rękę na biodro, gdzie zwykle nosił przypiętą kaburę.

– Jest u mnie w domu na stole – powiedział Gabe. Gabe trzymał stół, ustawiony w poprzek pod podwójnymi ryglami na drzwiach kościoła.

– Zabierz stół – nakazał Theo, myśląc: nawet faceta nie lubię. Pomógł Gabe'owi przesunąć mebel na bok i przycisnął się niczym sprinter w pozycji startowej, gotowy do akcji, gdy Gabe złapał za klamki.

– Zamknij je za mną. Kiedy usłyszysz, że krzyczę „wpuście mnie”, to... no...

W tym momencie rozległ się za nimi brzęk i coś wpadło do środka przez jedno z wysokich, witrażowych okien, rozsypując odłamki szkła. Tucker Case, mokry, osmalony i zakrwawiony, podniósł się z podłogi, na którą spadł, i powiedział:

– Nie wiem, kto zaparkował pod tym oknem, ale lepiej zabrać stąd wóz, bo jeśli te stwory wleżą na dach, zaczną tu wchodzić przez to okno za mną.

Theo popatrzył na rzędy witrażowych okien po bokach kaplicy – po osiem z każdej strony. Okna znajdowały się jakieś dwa i pół metra nad ziemią i miały ponad pół metra szerokości. Kiedy zbudowano kaplicę, witraże były drogie, a miejscowa społeczność biedna, i stąd wąskie, wysokie okna, które mogły pomóc w obronie tego miejsca. W

całym budynku było tylko jedno duże okno – za miejscem, w którym znajdował się ołtarz, a teraz stała tam dziesięciometrowa choinka Molly. Witraż w katedralnym stylu, o rozmiarach dwa na trzy i pół metra, przedstawiający Świętą Różę, patronkę dekoratorów wnętrz, ofiarującą poduszkę Najświętszej Paniencie.

– Nacho – warknął Theo do Ignacia Nuńeza. – Poszukaj w piwnicy czegoś do zabarykadowania tego okna.

Jak na sygnał, dwie ubłocone, rozkładające się twarze pokazały się w otworze, przez który przed chwilą wpadł Tuck. Pojękiwały i próbowały kościstymi rękami złapać parapet, żeby wgramolić się do środka.

– Zastrzel ich! – wrzasnął Tuck z podłogi. – Zastrzel te pieprzone stwory, Theo!

Theo wzruszył ramionami i pokręcił głową. Nie miał broni. Obok Theo coś błysnęło. Obrócił się i zobaczył Gabe'a Fentona, który pędził jak szalony w stronę okna, trzymając przed sobą długi, stalowy rondel z lazanią. Najwyraźniej chciał rzucić się przez okno w makaroniarskim geście samopoświęcenia. Theo złapał biologa za kołnierz, zatrzymując go niczym biegnącego psa za koniec smyczy. Ręce i nogi Gabe'a znalazły się w powietrzu. Zdołał utrzymać rondel, ale niemal cztery kilogramy parującego, serowego przysmaku poleciały w stronę okna, parząc napastników i plamiąc ścianę wokół okna czerwonym sosem.

– Tak jest, rzucaj w nie jedzeniem, to je spowolni – krzyknął Tuck. – Teraz pora na salwę pieczywa czosnkowego!

Gabe odzyskał równowagę, zerwał się na nogi i stanął twarzą w twarz z Theo, a raczej stanąłby, gdyby był o jakieś trzydzieści centymetrów wyższy.

– Próbowałem nas ratować – powiedział surowo do mostka Theo.

Zanim Theo zdołał odpowiedzieć, Ignacio Nuñez i Ben Miller, wysoki, były gwiazdor bieżni tuż po trzydziestce, zawołali do nich, by usunęli się z drogi. Obaj mężczyźni zbliżali się do wybitego okna z kolejnym stołem. Gabe i Theo pomogli Benowi opierać stół o ścianę, podczas gdy Nacho przybijał go gwoździami.

– Znalazłem w piwnicy trochę narzędzi – powiedział Nacho między uderzeniami młotka.

W tym czasie paznokcie zombi skrobały o blat.

– Nie cierpię sera! – wydarł się trup, który miał jeszcze dosyć ciała, by się drzeć. – Źle się po nim czuję. Reszta tłumu zwłok zaczęła walić w ściany wokół nich.

– Muszę pomyśleć – powiedział Theo. – Potrzebuję chwili, żeby pomyśleć.

Lena opatrywała rany Tuckera Case'a za pomocą gazy i maści z antybiotykiem ze znajdującej się w kaplicy apteczki. Oparzenia na nogach i torsie były powierzchowne, bo deszcz zgasił większość spirytusowych płomieni, zanim te przeniknęły przez ubranie. Ale choć lotnicza kurtka ochroniła go przed skutkami skoku przez okno, jedno głębokie skaleczenie widniało na jego czole, a drugie na udzie. Jeden z pocisków, którymi Dale strzelał przez stół, otarł się o żebra Tucka, pozostawiając ranę o długości dziesięciu centymetrów i szerokości centymetra.

– To był najodważniejszy czyn, jaki w życiu widziałam – powiedziała Lena.

– Wiesz, jestem pilotem – powiedział Tuck, jakby robił coś takiego codziennie. – Nie mogłem pozwolić, żeby cię skrzywdzono.

– Naprawdę? – spytała i na chwilę zamilkła, by popatrzeć mą w oczy. – Przepraszam, że ja... że ty...

– Właściwie pewnie nawet byś nie zgadła, ale ten numer ze stołem to tylko kiepsko przeprowadzona próba ucieczki.

Tuck skrzywił się, gdy przymocowała bandaż do jego żeber kawałkiem plastra.

– Trzeba będzie szyć – stwierdziła Lena. – Coś ominęłam?

Wyciągnął prawą dłoń – na jej wierzchu widniały nabiegłe krwią ślady zębów.

– O, mój Boże! – wykrzyknęła Lena.

– Będzie pani musiała odciąć mu głowę – powiedział Joshua Barker, który stał obok i patrzył.

– Komu? – spytał Tuck. – Facetowi w stroju Mikołaja, tak?

– Nie, chodziło mi o pańską głowę – odparł Josh. – Będą musieli odciąć panu głowę albo stanie się pan jednym z tamtych.

Niemal wszyscy obecni przerwali wykonywane czynności i zgromadzili się wokół Tucka i Leny, najwyraźniej wdzięczni, że mają się na czym skupić. Walenie w ściany ustało i z wyjątkiem sporadycznego szarpania za klamki było słyhać jedynie wiatr i deszcz. Goście świątecznego przyjęcia dla samotnych byli wstrząśnięci.

– Odejdź, mały – powiedział Tuck. – To nieodpowiedni moment, żeby być dzieckiem.

– Czego użyjemy? – spytała Mavis Sand. – Może być to, chłopcze? – Podniosła ząbkowany nóż, którym kroili pieczywo czosnkowe.

– To się w głowie nie mieści – zaprotestował Tuck.

– Jeśli nie odetniecie mu głowy – odezwał się Joshua – zmieni się w jednego z tamtych i wpuści ich do środka.

– Ale ten dzieciak ma wyobraźnię – powiedział Tuck, posyłając uśmiech w kierunku kolejnych twarzy, szukając sprzymierzeńca. – Jest Boże Narodzenie! Ach, Boże Narodzenie, cudowny czas, kiedy ludzie dobrej woli nie dekapitują się nawzajem.

Theo Crowe wyłonił się z pomieszczenia z tyłu, gdzie szukał czegoś, czego można by użyć jako broni.

– Linie telefoniczne nie działają. Lada chwila stracimy prąd. Czy komuś działa komórka? – zapytał.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy patrzyli na Tucka i Lenę.

– Odetniemy mu głowę, Theo – oznajmiła Mavis Sand, wyciągając przed siebie nóż do chleba, rączką naprzód. – Ty powinieneś to zrobić, jako stróż prawa.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie – powtarzał Tuck. – I jeszcze raz nie.

– Nie – odezwała się Lena, wspierając swojego mężczyznę. – Może chcieliście mi coś powiedzieć? – spytał Theo. Wziął nóż od Mavis i wetknął go sobie za pas.

– Myślę, że z tym zabójczym robotem to był dobry trop – powiedział Tuck.

Lena podniosła się i stanęła pomiędzy Theo a Tuckiem.

– To był wypadek, Theo. Wykopywałam choinki, jak co roku. Przyjechał Dale, był pijany i zły. Nie mam pewności, jak to się stało. Chciał mnie zastrzelić, a po chwili z szyi sterczała mu łopata. Tucker nie miał z tym nic wspólnego. Po prostu znalazł się w pobliżu i chciał pomóc. Theo spojrzał na Tucka.

– Więc pochowałeś go z rewolwerem?

Tuck z trudem dźwignął się na nogi i stanął za Leną.

– Miałem to przewidzieć? Powinienem się spodziewać, że facet może wstać z grobu, wściekły i żądny mózgow? Powinienem zabrać mu broń? To twoje miasto, posterunkowy, ty to wyjaśnij. Zwykle kiedy chowasz trupa, ten nie wraca następnego dnia, żeby zeżreć ci mózg.

– Mózg! Mózg! Mózg! – skandowały żywe trupy przed kaplicą. I znowu zaczęło się walenie w ściany.

– Zamknąć się! – krzyknął Tucker Case, a tamci, ku zaskoczeniu wszystkich, zamknęli się. Tuck uśmiechnął się do Theo. – No to spieszyłem sprawę.

– Jak myślisz? – spytał Theo. – Ilu?

– Powinniście odciąć mu głowę nad zlewem – podsunął Joshua Barker. – Wtedy nie narobicie za dużo bałaganu.

Theo bez słowa schylił się i podniósł chłopca, trzymając go za biceps, po czym odprowadził go do matki, która wyglądała tak, jakby właśnie przechodziła pierwszą fazę szoku. Theo dotknął ust Jostia palcem, nakazując mu milczenie. Theo wyglądał poważniej, bardziej przerażająco i władczo niż kiedykolwiek. Chłopiec ukrył twarz w piersiach matki. Theo odwrócił się do Tucka.

– Ilu? – powtórzył. – Widziałem może trzydziestu, czterdziestu?

– Mniej więcej – odparł Tuck. – W różnym stopniu rozkładu. Niektórzy to prawie same kości, inni wyglądają na stosunkowo świeżych i nieźle zachowanych. Żaden nie wydaje się szczególnie silny ani szybki. Może Dale i niektórzy z tych świeższych. Wyglądają tak, jakby od nowa uczyli się chodzić. Na zewnątrz rozległ się głośny trzask i wszyscy podskoczyli – jedna z kobiet z krzykiem dosłownie skoczyła mężczyźnie w ramiona. Wszyscy przycupnęli przy ziemi, nasłuchując, jak drzewo wali się przez gałęzie i spodziewając się, że w każdej chwili może wpaść do środka przez belki podpierające sklepienie. Światła zgasły i cały kościół zatrzęsł się od uderzenia wielkiej sosny o leśne poszycie. Theo bez chwili wahania zapalił latarkę, którą zwykle nosił w tylnej kieszeni. Niewielkie lampki awaryjne zapłonęły nad drzwiami wejściowymi, oblewając wszystko słabym, kierunkowym blaskiem, rzucającym długie cienie.

– Powinny wytrzymać jakaś godzinę – powiedział Theo. – W piwnicy powinno też być parę latarek. Dalej. Co jeszcze widziałeś, Tuck?

– No, są wkurzeni i głodni. Musiałem się postarać, żeby nie zżarli mi mózgu. Najwyraźniej bardzo im zależy na tych mózgach. Zdaje się, że potem wybierają się do IKEI.

– To śmieszne – powiedziała Val Riordan, wyelegantowana pani psychiatra, odzywając się pierwszy raz od chwili, gdy to wszystko się zaczęło. – Nie ma czegoś takiego jak zombi. Nie wiem, co tam się dzieje, ale to na pewno nie jest tłum mózgożernych zombi.

– Muszę się zgodzić z Val – oznajmił Gabe Fenton, stając przy niej. – Nie ma żadnych naukowych podstaw dla zombizmu, nie licząc kilku eksperymentów na Karaibach z użyciem toksyn ryb kolcobrzuchowatych, po których ludzie wpadali w stan

bliski śmierci, z niemal niewyczuwalnym oddechem i pulsem, ale nie ma czegoś takiego, jak, wiecie, wstawanie z martwych.

– Tak? – spytał Theo, posyłając im elokwentne, śmiertelnie poważne spojrzenie. – Mózg! – krzyknął.

– Mózg! Mózg! Mózg! – rozległo się w odpowiedzi skandowanie na zewnątrz. Znowu zaczęło się walenie w ściany.

– Zamknąć się! – wrzasnął Tuck.

Trupy się zamknęły, a Gabe powiedział:

– Dobra. Może mamy za mało danych.

– Nie, to nie może się dziać naprawdę – zaproponowała Valerie Riordan. – To niemożliwe.

– Doktor Val – powiedział Theo. – Wiemy, co tu się dzieje. Nie wiemy dlaczego i nie wiemy jak, ale nie spędziliśmy całego życia w próżni, prawda? W tym wypadku negacja to nie tylko puste słowo, negacja was zabije. W tej właśnie chwili przez jedno z witrażowych okien wpadła z brzękiem cegła i wylądowała z łoskotem pośrodku podłogi w kaplicy. Przypominające szpony palce chwyciły parapet i w oknie pojawiła się poobijana twarz mężczyzny. Zombi podciągnął się na tyle, by oprzeć jeden łokieć o framugę, po czym krzyknął:

– Val Riordan puściła się z przyszczatym dzieciakiem, który pakuje zakupy w Tanim Markecie!

Sekundę później Ben Miller podniósł cegłę z podłogi i cisnął nią z powrotem w okno, z obrzydliwym plaśnięciem trafiając w twarz zombi. Gdy Ben i Theo podnieśli ostatni ze stołów, by przybić go do ściany, blokując okno, Gabe Fenton odsunął się od Val Riordan i popatrzył na nią tak, jakby była umazana śliną radioaktywnego ślimaka.

– Mówiłaś, że masz alergię!

– No, wtedy prawie ze sobą zerwaliśmy – odparła Val.

– Prawie! Prawie! Przez ciebie mam na mosznie oparzenia elektryczne trzeciego stopnia!

Po drugiej stronie pomieszczenia Tucker Case szeptał do ucha Leny Marquez:

– Teraz nie mam takich wyrzutów sumienia z powodu ukrycia tego ciała, a ty?

Odwróciła się i pocałowała go na tyle mocno, by na sekundę zapomniał, że przed chwilą został postrzelony, podpalony, pobity i ugryziony. Umarli przez lata słuchali i

umarli widzieli. Wiedzieli, kto kogo zdradza i z kim, kto co kradnie, gdzie spoczywają ukryte ciała. Pomijając osoby biernie podsłuchiwane – te, które wymykały się na papierosa, rozmawiały na boku podczas pogrzebów, spacerowały po lesie, uprawiały seks albo oddawały się na cmentarzu różnym czynnościom, by wzbudzić w sobie strach – byli wśród żywych także tacy, którzy traktowali nagrobek jako coś w rodzaju konfesjonału i dzielili się największymi tajemnicami z kimś, kto w ich mniemaniu nigdy nie przemówi i nie powie tego, czego powiedzieć nie wolno.

Niejeden sądził, że pewnych rzeczy nie wie o nim nikt, ani żywi, ani umarli. A jednak wiedzieli.

– Gabe Fenton ogląda pornosy z wiewiórkami! – wydarła się Bess Leander, przyciskając martwy policzek do mokrych desek, pokrywających zewnętrzną ścianę kaplicy.

– To nie pornosy, to moja praca – wyjaśnił Gabe pozostałym uczestnikom przyjęcia. – Nie ma wtedy na sobie spodni! Ogląda wiewiórki, które to robią, w zwolnionym tempie. Bez spodni!

– Tylko ten jeden raz. Poza tym trzeba to oglądać w zwolnionym tempie – powiedział Gabe. – Wkońcu to wiewiórki. Wszyscy zwrócili promienie swoich latarek na coś innego, tak jakby wcale nie patrzyli na Gabe'a.

– Ignacio Nuñez głosował na Cartera! – dobiegło wołanie z zewnątrz.

Właściciel przedszkola, zagorzały republikanin, wyglądał jak schwytyany w światło teflektorów jeleń, gdy wszyscy na niego popatrzyli.

– Byłem w tym kraju dopiero od roku. Ledwo zostałem obywatelem. Nawet nie mówiłem zbyt dobrze po angielsku. A on powiedział, że chce pomagać biednym. Byłem biedny.

Theo Crowe wyciągnął rękę i poklepał Nacho po ramieniu.

– W szkole średniej Ben Miller używał sterydów. Jego gonady mają wielkość orzeszków!

– To nieprawda – oburzył się gwiazdor bieżni. – Moje jądra mają zupełnie normalne rozmiary.

– Tak, jak na kogoś, kto ma dwadzieścia centymetrów wzrostu – powiedział Marty o Poranku, cały czas zupełnie martwy.

Ben odwrócił się do Theo.

– Musimy coś z tym zrobić.

Pozostali obecni spoglądali po sobie, a na ich twarzach malowało się przerażenie znacznie większe niż wtedy, gdy stali tylko w obliczu perspektywy, że tłum żywych trupów zje ich mózgi. Te zombiaki znały różne tajemnice.

– Żona Theo Crowe’a myśli, że jest jakąś zmutowaną zabójczynią! – krzyknęła kobieta w stanie posuniętego rozkładu, która kiedyś była pielęgniarką na oddziale psychiatrycznym miejscowego szpitala. Ludzie w kaplicy pokiwali głowami, po czym wzruszyli ramionami i westchnęli z ulgą.

– Wiedzieliśmy o tym! – zawołała Mavis. – Wszyscy wiedzą. To nie nowina.

– Oj, przepraszam – powiedziała martwa pielęgniarka.

Nastąpiła chwila przerwy, a po chwili dodała: – No, dobia. Wally Beerbinder jest uzależniony od środków przeciwbólowych.

– Wally’ego tu nie ma – odparła Mavis. – Spędza święta z córką w Los Angeles.

– Nic więcej nie mam – stwierdziła pielęgniarka. – Niech ktoś inny mówi.

– Tucker Case uważa, że jego nietoperz umie mówić! – krzyknął Arthur Tannbeau, nieżyjący plantator cytrusów.

– Kto chce pośpiewać kolędy? – spytał Tuck. – Ja zacznę. „Cicha noc...”.

A zatem śpiewali, na tyle głośno, by zagłuszyć sekrety żywych trupów. Śpiewali z iście świątecznym zaangażowaniem, głośno, fałszując, aż w pewnej chwili w drzwi wejściowe uderzył taran.

Rozdział 18

TWOJA NĘDZNA BROŃ BOGA-ROBAKA ZDA SIĘ NA NIC PRZY MOIM ZNAKOMITYM ŚWIĄTECZNYM KUNG-FU

Molly wymknęła się przez tylne drzwi domu i okrążyła go wzdłuż zewnętrznej ściany, aż zobaczyła wysoką postać stojącą przed oknem. Zerwane druty przy ulicy przestały sypać iskrami, a blask gwiazd i księżyca ledwo przebijał się przez mrok. O dziwo, mężczyznę przy oknie widziała doskonale, otaczała go bowiem słaba poświata. Radioaktywny, pomyślała Molly. Nosił długi czarny płaszcz, ulubiony ubiór pustynnych piratów. Co jednak robił bandzior z pustyni na dworze podczas ulewy? Przybrała postawę hosso no kamae, prostując plecy i trzymając miecz w górze, z ostrzem ukośnie nad prawym ramieniem, jelcem na wysokości ust i lewą stopą wysuniętą do przodu. Od zadania intruzowi śmiertelnego ciosu dzieliły ją trzy kroki. Trzymała doskonale wyważony miecz, tak doskonale, że zdawał się zupełnie nic nie ważyć. W boscie stopy kłuło ją mokre igliwie i żałowała, że przed wyjściem nie włożyła butów. Kiedy poczuła na skórze zimny deszcz, pomyślała, że sweter też byłby całkiem niezłym pomysłem. Świecący mężczyzna patrzył w przeciwległy kąt domu. Molly zrobiła trzy bezszelestne kroki i już stała za nim. Ostrze miecza znalazło się z boku jego szyi. Szybkie pociągnięcie i rozetnie go aż po kręgi.

– Rusz się, a zginiesz.

– Nie – odparł świecący.

Końcówka miecza Molly wystawała na trzydzieści centymetrów przed twarz nieznajomego. Spojrzał na klingę.

– Podoba mi się twój miecz. Chcesz zobaczyć mój?

– Rusz się, a zginiesz – powiedziała Molly, myśląc przy tym, że takich słów nie powinno się powtarzać. – Coś za jeden?

– Jestem Razjel – odparł Razjel. – To nie jest miecz Pana ani nic. Nie służy do burzenia miast, tylko do walki z jednym, dwoma przeciwnikami naraz albo do krojenia wędliny. Lubisz salami?

Molly nie bardzo wiedziała, co mogłaby na to powiedzieć. Ten świecący pustynny

pirat najwyraźniej wcale się nie bał i nie przejmował ostrą jak brzytwa klingą przy swojej aorcie.

– Dlaczego zaglądasz mi w okno w środku nocy?

– Bo przez tę drewnianą część nic nie widzę.

Molly odchyliła nadgarstek i plasnęła Razjela w bok głowy płazem miecza. – Au.

– Kim jesteś i po co tu przyszedłeś? – spytała Molly.

Odsunęła ostrze, grożąc kolejnym uderzeniem, a w tym momencie Razjel odsunął się, obrócił i wyciągnął miecz, który miał na plecach. Molly zawahała się, tylko na sekundę, a potem ruszyła i machnęła klingą, tym razem w prawdziwym ataku, mierząc w jego ramię. Razjel sparował uderzenie i wyprowadził kontratak. Molly odbiła jego klingę w bok i sama wyprowadziła cięcie na lewe ramię. Razjel zakręcił mieczem w samą porę, by skierować jej broń w dół. Ostry tashi odciął skrawek materiału z jego płaszcza, a także kawałek mięsa z przedramienia.

– Hej – powiedział, patrząc na swój rozdarty rękaw.

Nie było krwi. Tylko ciemne pasmo w miejscu, gdzie stracił fragment ciała. Zaczął ciąć raz za razem, a jego miecz kreślił w powietrzu symbol nieskończoności, gdy spychał Molly w tył przez sosnowy las ku drodze. Cofała się szybko, parując niektóre uderzenia, uchylając się przed innymi, okrążając drzewa. Jej stopy rozrzucały sosnowe igły. Widziała tylko świecącego napastnika. Teraz świecił także jego miecz, a wokół niej panowała całkowita ciemność, więc poruszała się tylko na pamięć, niemal instynktownie. Gdy sparowała jeden z ciosów, natrafiła piętą na korzeń i straciła równowagę. Lecąc w tył, obróciła się, by nie runąć na ziemię. Siła impetu popchnęła Razjela naprzód, a jego miecz wymierzył cios w cel, który sekundę wcześniej był o pół metra wyższy, i Razjel wpadł prosto na miecz Molly. Stała do niego tyłem, pochylona, i trzymała za sobą klingę, która przeszła przez jego klatkę piersiową i sterczała na pół metra z pleców. Tkwili tak przez chwilę nieruchomo, połączeni jej mieczem – niczym dwa psy, na które należy wylać wiadro wody.

Molly wyciągnęła klingę, pozostając w przysiadzie, a następnie obróciła się, gotowa zadać ostateczny cios, który rozetnie przeciwnika od obojczyka do bioder.

– Au – jęknął Razjel, patrząc na dziurę w swoim splocie słonecznym. Rzucił miecz na ziemię i dotknął rany palcami. – Au – powtórzył, podnosząc wzrok na Molly. – Takim mieczem nie zadaje się pchnięć. Nie powinnaś tego robić. To nie fair.

- A ty powinieneś teraz umrzeć.
- Nie-e – odparł Razjel.
- Nie można powiedzieć „nie-e” śmierci. To puste gadanie.
- Dźgnęłaś mnie swoim mieczem i rozděłaś mi płaszcz. – Uniósł zranioną rękę.
- A ty przyszedłeś tu w środku nocy, zagłądałeś mi w okna i wyciągnąłeś na mnie miecz.
- Chciałem ci go tylko pokazać. Na następną misję chcę wziąć miotacz sieci.
- Misję? Jaką misję? Przysłał cię Nigoth? Nie jest już moją wyższą mocą, tak przy okazji. Nie takiego wsparcia mi potrzeba.
- Nie lękaj się – powiedział Razjel – albowiem jestem posłańcem Pana i przybyłem, by sprawić cud na Boże Narodzenie.
- Że jak?
- Nie lękaj się!
- Nie boję się, matolku, przed chwilą skopałam ci dupę. Chcesz mi powiedzieć, że jesteś aniołem?
- Przynoszę dziecku radość na święta.
- Jesteś świątecznym aniołem?
- Oto zwiastuję ci radość wielką, która będzie udziałem całego narodu. No, niezupełnie. Tym razem tylko jednego chłopca, ale nauczyłem się tej gadki na pamięć, więc lubię jej używać.
- Molly rozluźniła się i czubek jej miecza celował teraz w ziemię.
- A to święcące coś na tobie?
- Gloria Pana – odparł anioł.
- O kurde – powiedziała Molly. Pacnęła się w czoło. – A ja cię zabiłam.
- Nie-e.
- Nie zaczynaj znowu z tym „nie-e”. Mam wezwać karetkę, księdza czy coś?
- Już się goi.
- Uniósł przedramię i Molly zobaczyła, jak lekko świecąca skóra zachodzi na ranę i ją zasklepia.
- Co tu, do diabła, robisz?
- Mam misję.
- Nie tu, na Ziemi, tylko tu, w moim domu.

– Wariaci nas przyciągają.

W pierwszym odruchu Molly chciała obciąć mu głowę, ale po namyśle stwierdziła, że stoi pośrodku sosnowego lasu, na lodowatym deszczu i silnym wietrze, naga, z mieczem w dłoni, i rozmawia z aniołem, więc nie do końca jest to zwiastowanie. Ona jest wariatką.

– Chcesz wejść do środka? – spytała.

– Masz gorącą czekoladę?

– Z minipiankami – odparła Wojownicza Laska.

– Błogosławione niech będą minipianki – powiedział anioł lekko omdlewającym głosem.

– No to chodź – zaprosiła go Molly i ruszyła przed siebie, mrucząc: – Nie do wiary, że zabiłam świątecznego anioła.

– Tak, narobiłaś niezłego bigosu – powiedział Narrator.

– Nie-e – powiedział anioł.

– Zastawcie tym pianinem drzwi! – krzyknął Theo.

Rygle odpadły od drzwi wejściowych, a stół z płyty pilśniowej wyginał się pod uderzeniami tego, czego żywe trupy używały jako tarana. Przy każdym uderzeniu cały kościół drżał w posadach.

Robert i Jenny Mastersonowie, właściciele sklepu „Przynęty, Sprzęt Wędkarski i Dobre Wina u Brine’a”, zaczęli przetaczać pianino, które stało pod choinką. Oboje przeżyli już parę wstrząsających chwil w historii Pine Cove i umieli zachować zimną krew w wyjątkowych sytuacjach.

– Wie ktoś, jak zablokować te kółka?! – zawołał Robert.

– I tak trzeba będzie je podeprzeć – stwierdził Theo. Odwrócił się do Bena Millera i Nacho Nuñeza, którzy wydawali się gotowi do walki. – Chłopaki, poszukajcie czegoś cięższego do zastawienia drzwi.

– Skąd wzięli taran? – spytał Tucker Case. Oglądał duże, gumowe kółka pianina, próbując się zorientować, jak się je blokuje.

– Tej nocy wiatr zwałił pół lasu – powiedziała Lena. – Sosny kalifornijskie nie mają długich korzeni. Pewnie znaleźli taką, którą zdołali unieść.

– Przewróćcie je na plecy – poradził Theo. – I zaprzyjcie o stół.

Taran walnął w drzwi, a te otworzyły się na piętnaście centymetrów. Stół,

zaczepiony o ciężkie, mosiężne klamki, wyginał się i zaczynał pękać. Przez szczelinę wsunęły się do środka trzy ręce i pół twarzy z okiem wypływającym z gnijącego oczodołu.

– Pchać! – krzyknął Tuck.

Popchnęli pianino na stół, zatrzasnąwszy drzwi na sterczących kończynach. Tatan znowu uderzył, otwierając drzwi. Mężczyźni cofnęli się pod naporem, aż zadzwoniły im zęby. Żywe trupy wsunęły ręce przez szczelinę. Tuck i Robert pchnęli pianino i znowu zatrzasnęli drzwi. Jenny Masterson oparła się o instrument plecami i popatrzyła na pozostałych, mniej więcej dwadzieścia osób, które ani drgnęły, zdjęte przerażeniem albo szokiem.

– Nie stójcie tak, beużyteczne dupki! Pomóżcie zablokować te drzwi. Jeśli wejdą do środka, zjedzą też wasze mózgi! – zawołał.

Pięciu ludzi skierowało latarki na siebie nawzajem, jakby pytali: „Ja? Ty? My?”, a potem wzruszyli ramionami i rzucili się naprzód, by pomóc pchać pianino.

– Niezła gadka – powiedział Tuck. Gdy pchał, podeszwy jego trampek piszczały na sosnowej podłodze.

– Dzięki, umiem rozmawiać z ludźmi – stwierdziła Jenny. – Od dwudziestu lat jestem kelnerką.

– A, tak, obsługiwałaś nas w „H.P.”. Lena, to nasza kelnerka z poprzedniego wieczoru.

– Miło cię znowu widzieć, Jennny – powiedziała Lena w chwili, gdy taran znowu walnął w drzwi, przewracając ją na podłogę. – Nie spotkałyśmy się na zajęciach z jogi...?

– Z drogi, z drogi, z drogi! – zawołał Theo.

Wraz z Nacho Nuñezem wyłonił się z zaplecza, niosąc dwuipółmetrową dębową ławę. Za nimi szedł Ben Miller, który sam włókł drugą ławę po podłodze. Kilku spośród podtrzymujących barykadę mężczyzn wyłamało się z szeregu, by mu pomóc.

– Oprzyjcie je o pianino i przybijcie do podłogi – powiedział Theo.

Ciężkie ławy wsparły ukośnie o plecy instrumentu, a Nacho Nuñez przybił je do podłogi gwoździami. Ławy uginały się lekko pod każdym uderzeniem tarana, ale trzymały się mocno. Po kilku chwilach walenie ustało. Znowu było słychać tylko wiatr i deszcz. Wszyscy omiatali pomieszczenie światłem latarek, czekając na to, co się teraz wydarzy. Potem z boku kaplicy dobiegł głos Dale'a Pearsona.

– Tutaj. Przynieście go tutaj.

– Tylne drzwi! – krzyknął ktoś. – Niosą go do tylnych drzwi.

– Więcej ław! – wydarł się Theo. – Przybijcie je z tyłu. Pospieście się, te drzwi nie są zbyt mocne, nie wytrzymają dwóch takich uderzeń.

– A nie mogą po prostu przebić się przez którąś ścianę? – spytała Val Riordan, która starała się pomóc w przytrzymywaniu barykady, choć przeszkadzały jej w tym buty za pięćset dolarów.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie im to do głowy – odparł Theo.

Nadzorowanie żywych trupów było gorsze niż kierowanie brygadą budowlaną, pełną pijaków i ćpunów. Lywi robotnicy mieli przynajmniej wszystkie kończyny, a także – w większości – prawidłową koordynację. A ta banda była dość niezdarna. Około dwudziestu trupów dźwigało złamany pień sosny o grubości trzydziestu centymetrów i długości samochodu.

– Ruszcie się z tym cholernym drzewem – warknął Dale. – Za co wam płacę?

– To on nam płaci? – zdziwił się Marcy o Poranku, który trzymał kikut odłamanej gałęzi mniej więcej w połowie pnia. – Dostajemy pieniądze?

– Nie do wiary, że zjadłeś cały mózg – powiedział Warren Talbot, zmarły malarz. – Miał być dla wszystkich.

– Zamknijcie się, kurwa, i przenieście drzewo pod tylne drzwi! – wrzasnął Dale, wymachując rewolwerem. – Proch nadał mu przyjemny, pieprzny smak – oznajmił Marty.

– Nie przeginaj – powiedziała Bess Leander. – Jestem taka głodna.

– Wystarczy dla wszystkich, kiedy wejdziemy do środka – stwierdził Arthur Tannbeau, plantator cytrusów.

Dale domyślał się, że to się nie uda. Byli zbyt słabi, nie mogli nadać uderzeniom tarana wystarczającej siły. Żywi już pewnie barykadowali drzwi. Odsunął od drzewa część trupów w stanie największego rozkładu, a w ich miejsce wepchnął zmarłych, którzy na oko zachowali znaczną część sił. Tak czy owak, próbowali wbiec po wąskich schodach z półtonowym pniem. Nawet ekipa zdrowych, żywych ludzi wiele by nie osiągnęła w tym bloku. Pień uderzył w drzwi z anemicznym odgłosem. Drzwi uchyliły się tylko na tyle, by ukazać, że żywi je zabarykadowali.

– Nic z tego. Nic z tego – powtarzał Dale. – Ale są inne sposoby, żeby się do nich dostać. Rozejdźcie się po parkingu i poszukajcie kluczyków w stacyjkach.

– Bar samochodowy? – spytał Marty o Poranku. – To mi się podoba.

– Coś w tym rodzaju – odparł Dale. – Młody, ty, z woskową twarzą. Jesteś fanem motoryzacji, umiesz odpalić samochód bez kluczyka?

– Nie jedną ręką – wymamrotał Jimmy Antalvo. – Drugą zabrał mi ten pies.

– Przestało – powiedziała Lena.

Oglądała rany Tucka. Krew przesączała się przez bandażę na żebrach.

Theo odwrócił wzrok od pilota i rozejrzał się po pomieszczeniu. Awaryjne oświetlenie zaczęło już przygasać, a światło jego latarki przesuwano się po obecnych, jakby szukał podejrzanych.

– Nikt nie zostawił kluczyków w samochodzie, prawda?

Rozległy się pomruki, kręcono głowami. Val Riordan popatrzyła na niego, unosząc perfekcyjnie umalowane brwi. W jego słowach kryło się pytanie, nawet jeśli nie wyraził go wprost.

– Bo ja bym tak właśnie zrobił – wyjaśnił Theo. – Rozpędziłbym się samochodem i wjechał prosto w ścianę.

– Byłoby kiepsko – powiedział Gabe.

– Widziałem na tym parkingu warstwę wody i błota – stwierdził Tucker Case. – Nie każdy samochód da się rozpędzić w takich warunkach.

– Słuchajcie, musimy sprowadzić jakąś pomoc – powiedział Theo. – Ktoś musi iść po pomoc.

– Nie ujdzie nawet trzech metrów – odparł Tuck. – Kiedy tylko otworzysz drzwi albo wybijesz okno, oni będą tam czekali.

– A co z dachem? – spytał Josh Barker.

– Zamknij się, mały – powiedział Tuck. – Tu nie ma wyjścia na dach.

– Odetniemy mu teraz głowę? – spytał Josh. – Trzeba mu złamać kręgosłup.

– Patrzcie – powiedział Theo, kierując snop światła z latarki na środek sklepienia. Była tam kłapa – zamalowana i zaryglowana, ale bez dwóch zdań była.

– Prowadzi na starą dzwonnice – odezwał się Gabe Fenton. – Nie ma tam dzwonu, ale faktycznie można się przedostać na dach.

Theo skinął głową.

– Z dachu ktoś mógłby zobaczyć, gdzie oni wszyscy są, zanim by wykonał ruch.

– Do tej kłapy jest dziesięć metrów. Nie można się do niej dostać.

Nagle z góry rozległo się piskliwe szczeknięcie nietoperza. Światło pół tuzina latarek padło na Roberta, który zwieszał się głową w dół z gwiazdy na wierzchołku choinki.

– Choinka Molly – powiedziała Lena.

– Na oko jest wystarczająco mocna – stwierdził Gabe Fenton.

– Ja pójdę – zaoferował się Ben Miller. – Nadal jestem w całkiem niezłej formie. Jeśli będzie trzeba szybko biec, to dam radę.

– I proszę, oto dowód – powiedział na stronie Tuck do Leny. – Żaden facet z maleńkimi jajami nie zgłosiłby się na ochotnika. Widzisz, jak ci zmarli kłamią?

– Mam starą toyotę tercel – oznajmił Ben. – Chyba nie chcecie, żebym jechał po pomoc czymś takim.

– Przydałby się hummer – stwierdził Gabe.

– Tak, albo nawet milusie brandzłowanie – dorzucił Tuck. – Ale to później. Na razie potrzebny nam wóz z napędem na cztery koła.

– Naprawdę chcesz spróbować? – zapytał Bena Theo.

Sportowiec skinął głową.

– Mam największe szansę, że się wydostanę. Tych, którym nie zdołam uciec, po prostu staranuję.

– No dobra – powiedział Theo. – Przesuńmy tę choinkę na środek.

– Nie tak prędko – odezwał się Tuck, poklepując swoje bandaż. – Nieważne, jak szybki jest ten gość z mikroajkami. Mikołaj ma w rewolwerze jeszcze dwa naboje.

Rozdział 19

MIKOŁAJ NA DACHU

I o to chodziło, pomyślał Ben Miller, wspinając się na maleńką dzwonnice na szczycie kaplicy. Przepiłowanie zamalowanych farbą krawędzi wjazdu za pomocą noża do chleba zajęło mu dziesięć minut, ale w końcu mu się udało. Odrzucił klapę i wgramolił się z czubka choinki do dzwonnicy. Ledwo wystarczyło mu miejsca, by stanąć, ze stopami wspartymi o dwie wąskie półki po obu stronach klapy. Na szczęście już dawno zabrano stąd dzwon. Dzwonnice otaczały otwory wentylacyjne osłonięte żaluzjami, ale wiatr wdierał się przez nie ze świstem, jakby ich w ogóle nie było. Był przekonany, że kopniakiem zdoła wywalić żaluzje, zrobione, było nie było, ze stuletniego drewna, a potem przejść po stromym dachu i zeskoczyć w miejscu, które okaże się bezpieczne, by dostać się na parking, do czerwonego explorera, do którego kluczyki ścisnął w garści. Potem jazda pięćdziesiąt kilometrów na południe, na posterunek policji drogowej, i do kaplicy ruszy pomoc. „Wszystkie lata po szkole średniej i college’u, gdy nie zarzucił treningów, wszystkie godziny biegania po drogach, podnoszenia ciężarów i pływania, wszystkie diety wysokobiałkowe prowadziły do tej chwili. Przez lata utrzymywał formę, choć najwyraźniej wszyscy mieli to gdzieś, i w końcu się opłaciło. Wszystko, czemu nie zdoła uciec, jest w stanie unieszkodliwić opuszczonym barkiem. (Oprócz kariery w uniwersyteckiej drużynie lekkoatletycznej, grał też przez jeden sezon w futbol na pozycji halfbacka).

– Wszystko w porządku, Ben?! – krzyknął z dołu Theo.

– Tak. Jestem gotowy.

Wziął głęboki wdech, zaparł się plecami o jedną stronę dzwonnicy, po czym kopnął w żaluzję po drugiej stronie. Ta złamała się za pierwszym razem i omal nie wyleciał na zewnątrz nogami naprzód. Starał się odzyskać równowagę – przekręcił się na brzuch i wyślizgnął tyłem przez otwór na dach. Z twarzą w dół, widział pod sobą choinkę i tuzin pełnych nadziei twarzy poniżej.

– Trzymajcie się. Niedługo wrócę z pomocą – obiecał.

Odepchnął się w tył i znalazł na czworakach na szczycie dachu. Wszędzie, gdzie dotknął, czuł zimną wodę.

– Pięknie, fiucie – rozległ się głos tuż przy uchu Bena.

Odskoczył w bok i zaczął ześlizgiwać się w dół. Coś złapało go za sweter i pociągnęło z powrotem, a po chwili coś twardego i zimnego dotknęło jego skroni. Ostatnim, co usłyszał, były słowa Mikołaja:

– Zajebista, kurwa, sztuczka, jak na biegacza.

Zgromadzeni poniżej, w kaplicy, usłyszeli strzał. Dale Pearson trzymał martwego gwiazdora bieźni za kołnierz, rozmyślając: zjeść teraz czy zostawić sobie na deser po masakrze? Pod nim, na ziemi, pozostałe żywe trupy błagały o smakołyki. Warren Talbot, malarz pejzażysta, wdrapał się do połowy na drzewo, które wykorzystał Dale, by wspiąć się na dach.

– Proszę, proszę, proszę – błagał Warren. – Jestem taki głodny.

Dale wzruszył ramionami. Puścił kołnierz Bena Millera i popchnął ciało nogą. Zsunęło się po dachu i spadło za krawędź, na pastwę głodnego tłumu. Warren spojrzał w dół, tam gdzie spadły zwłoki, po czym znów podniósł wzrok na Dale'a.

– Ty sukinsynu. Teraz nie dostanę ani krztyny. Z dohi dobiegły obrzydliwe, mlaszczące odgłosy.

– No wiesz, szybcy i martwi, Warren. Szybcy i martwi.

Martwy malarz zsunął się z mokrego drzewa i zniknął z pola widzenia. Dale chciał dokonać zemsty. Wsunął głowę do dzwonnicy i popatrzył na przerażone twarze poniżej. Mały, żylasty biolog wspinał się po choince w stronę otwartej klapy.

– No dalej, na górę! – krzyknął Dale. – Danie główne jeszcze przed nami.

Dale zauważył swoją byłą żonę, Lenę. Patrzyła w górę, a obejmował ją blondyn, który wcześniej szarżował na nich ze stołem.

– Giń, dziwko!

Dale puścił krawędź dzwonnicy i wycelował trzydziestkę ósemkę w Lenę. Zobaczył, że jej oczy otwierają się szeroko z przerażenia, a potem coś uderzyło go w twarz. Coś pokrytego sierścią i ostrego. Pazury wbiły mu się w policzki i podrapały oczy. Zamachnął się, by złapać napastnika, stracił równowagę i runął w tył. Ześlizgnął się z dachu i spadł prosto między ucztujących sługusów.

– Roberto! – krzyknął Tuck. – Wracaj!

– Poleciał – stwierdził Theo. – Jest na zewnątrz.

Tuck zaczął się wspinać na choinkę za Gabem.

– Sprowadzę go. Wejdę na górę i go zawołam.

Theo złapał pilota za pas i ściągnął w dół.

– Zamknij i zarygluj klapę, Gabe.

– Nie – zaproponował Tuck.

Gabe Fenton zerknął na chwilę w dół, po czym jego oczy stały się szersze, zobaczył bowiem, jak wysoko jest nad ziemią. Szybko zamknął klapę, a następnie ją zaryglował.

– Nic mu nie będzie – powiedziała Lena. – Na pewno uciekł.

Gabe Fenton zaczął schodzić z choinki. Kiedy dotarł do niższych gałęzi, poczuł czyjeś dłonie na swoich biodrach, podtrzymujące go przy ostatnich kilku krokach. Znalazłszy się na podłodze, obejrzał się i wpadł w ramiona Yalerie Riordan. Odsunął się, by nie rozmazać jej makijażu. Odciągnęła go od gałęzi choinki.

– Gabe – powiedziała. – Pamiętasz, jak powiedziałam, że nie angażujesz się w rzeczywisty świat?

– Aha.

– Przepraszam.

– Dobra.

– Chciałam tylko, żebyś wiedział. Na wypadek gdyby zombi zjadły nam mózgi, a ja nie miałabym okazji tego powiedzieć.

– To dla mnie wiele znaczy, Val. Mogę cię pocałować?

– Nie, skarbie. Zostawiłam torebkę w samochodzie, więc nie mam szminki, żeby coś potem poprawić. Ale możemy skoczyć do piwnicy na ostatni szybki numerek na stojaka, zanim zginiemy. Jeśli masz ochotę. – Uśmiechnęła się.

– A co z tym dzieciakiem z Taniego Marketu?

– Pornosy z wiewiórkami? – Uniosła brwi.

Wziął ją za rękę.

– Tak, chyba bym chciał – powiedział, prowadząc ją w stronę zaplecza i schodów.

– Co to za zapach? – spytał Theo Crowe, wyraźnie zadowolony, że może odwrócić uwagę od Gabe'a i Val. – Ktoś to czuje? Powiedzcie mi, że to nie...

Skinner niuchał w powietrzu i skamlał.

– Co to jest? – Nacho Nuñez podążył za zapachem w stronę jednego z zabarykadowanych okien. – Dochodzi stąd.

– Benzyna – stwierdziła Lena.

Rozdział 20

ODLOT

Anioł otworzył sześć torebek z czekoladą w proszku i wybrał z nich wszystkie minipianki. – Zamykają je w tych małych więzieniach z brązowym proszkiem. Trzeba je uwolnić i włożyć do kubka – wyjaśnił anioł, rozrywając kolejną paczuszkę, wysypując zawartość do miseczki, wybierając maleńkie kawałki słodkiej pianki i wrzucając je do swojego kubka.

– Zabij go, kiedy liczy cukierki – powiedział Narrator. – To mutant. Żaden anioł nie byłby taki głupi. Zabij go, stuknięta suko, to wróg.

– Nie-e – powiedział Razjel do swoich rozpuszczonych pianek.

Molly popatrzyła na niego znad krawędzi kubka. W blasku płonących w kuchni świeczek wyglądał bez wątpienia porażająco – te ostre rysy, ta twarz bez zmarszczek, włosy, a teraz czekoladowe wąsy. Nie wspominając o nieregularnym świeceniu w ciemności, które okazało się bardzo pomocne, gdy szukała zapalek, by zapalić świeczki.

– Słyszysz głos w mojej głowie? – spytała.

– Tak. I w swojej głowie.

– Nie jestem zbyt religijna – powiedziała Molly.

Pod stołem trzymała wolną ręką tasbi. Klinga spoczywała na jej nagich udach.

– O, ja też nie.

– Znaczy, nie jestem religijna, więc dlaczego się tu zjawiłeś?

– Wariaci. Przyciągają nas. To ma coś wspólnego z mechaniką wiary. Tak naprawdę wcale tego nie rozumiem.

– Masz jeszcze trochę? – Pokazał pustą torebkę po czekoladzie. Rozpuszczone pianki wypełniały jego kubek po brzegi.

– Nie, poszło już całe pudełko. Czyli przyciągam cię, bo jestem stuknięta i uwierzę we wszystko?

– Tak mi się zdaje. I nikt nie uwierzy tobie. Nie ma więc mowy o naruszeniu wiary.

– Fakt.

– Ale jesteś też pociągająca pod innymi względami – dodał szybko anioł, jakby

nagle ktoś przywalił mu w głowę workiem pełnym umiejętności społecznych. – Podoba mi się twój miecz i te, o.

– Moje piersi? – Nie pierwszy raz słyszała podobne słowa, ale pierwszy raz z ust Bożego posłańca.

– Tak. Zoe takie ma. Ona jest archaniołem, tak jak ja. No, niezupełnie tak jak ja. Ona ma te, o.

– Mhm. Czyli są też anioły kobiety?

– O, tak. Nie zawsze tak było. Wszystko się zmieniło, kiedy wy się napatoczyliście.

– My?

– Ludzie. Ludzkość. Kobiety. Wy. Wcześniej wszyscy byliśmy tacy sami. Ale kiedy wy się napatoczyliście, zostaliśmy podzieleni i przydzielono nam role. Jedni dostali te, o, inni dostali inne rzeczy. Nie wiem dlaczego.

– Czyli ty masz pewne części ciała?

– Chcesz zobaczyć?

– Skrzydła? – spytała Molly. Właściwie nie miałyby nic przeciwko obejrzeniu jego skrzydeł, o ile takie posiadał.

– Nie, skrzydła mamy wszyscy. Chodziło mi o szczególne części. Chcesz zobaczyć?

Wstał i sięgnął do spodni. Nie pierwszy raz słyszała taką propozycję, ale pierwszy raz z ust Bożego posłańca.

– Nie, nie trzeba. – Złapała go za rękę i posadziła z powrotem.

– No dobra. Powinienem iść. Sprawdzę, jak tam cud, i wracam do domu.

– Cud?

– Świąteczny cud. Po to tu przybyłem. O, spójrz, na jednej z nich masz bliznę.

– Podzielność uwagi godna kolibra – zauważył Narrator. – Skończ jego cierpienia.

Anioł wskazywał postrzępioną, kilkunastocentymetrową bliznę nad prawą pierśią Molly, pamiątkę po nieudanym numerze kaskaderskim na planie filmu Zmechanizowana śmierć: Wojownicza Laska VII. Ta kontuzja doprowadziła do jej zwolnienia. Blizna, która zakończyła jej karierę heroiny filmów akcji klasy B.

– Boli? – spytał anioł.

– Już nie – odparła.

– Mogę dotknąć?

Nie pierwszy raz słyszała to pytanie, ale... no, wiecie...

– Dobra – powiedziała.

Palce miał smukłe i delikatne, a paznokcie trochę za długie jak na faceta, ale jego dotyk był ciepły i promieniował z piersi na całe ciało. Kiedy odsunęła jego dłoń, spytał:

– Lepiej?

Dotknęła się w tym samym miejscu, w którym on jej dotknął. Skóra była gładka. Zupełnie gładka. Blizna zniknęła. Obraz anioła rozmył jej się przed oczami, do których napłynęły łzy.

– Ty sentymentalna, cukierkowa krowo – odezwał się Narrator.

– Dziękuję – powiedziała Molly, lekko pociągając nosem. – Nie wiedziałam, że możesz...

– Jestem dobry w zjawiskach pogodowych – stwierdził anioł.

– Idiota. – powiedział Narrator.

– Muszę już iść – oznajmił Razjel, wstając z krzesła. – Muszę iść do kościoła i sprawdzić, czy cud się udał.

Molly przeprowadziła go przez salon do wyjścia. Przytrzymała mu drzwi. Mimo to wiatr załopotał połami jego płaszcza i dostrzegła pod nim białe końcówki skrzydeł. Śmiała się i płakała jednocześnie.

– Pa – powiedział anioł. Wyszedł między drzewa.

Tuż przed tym, jak Molly zamknęła drzwi, wleciało przez nie coś ciemnego. Świecek w salonie zgasły od podmuchu, widziała więc tylko cień, frunący przez dom i znikający w kuchni.

Zatrzasnęła drzwi i poszła do kuchni, trzymając miecz w pogotowiu. W blasku płonących świeczek widziała cień nad kuchennym oknem i dwoje pomarańczowych, lśniących w mroku oczu.

Wzięła świeczkę ze stołu i podeszła bliżej, aż cień zaczął rzucać własne cienie.

To było jakieś zwierzę. Wisiało na okiennicy nad zlewem i przypominało czarny ręcznik z małym, psim pyszczkiem. Nie wyglądało niebezpiecznie, tylko, cóż, trochę głupkowato.

– Dobra, dosyć tego. Jutro wracam do leków, nawet gdybym musiała pożyczyć pieniądze od Leny.

– Nie tak prędko – poprosił Narrator. – Będę tu taki samotny, kiedy już mnie nie będzie. A ty znowu zaczniesz nosić normalne ciuchy. Dżinsy i swetry, na pewno tego nie

chcesz.

Ignorując Narratora, Molly podeszła do stworzenia na okiennicy, aż stanęła zaledwie o pół metra od niego i popatrzyła mu w oczy.

– Anioły to jedno, ale nie mam pojęcia, czym ty, do cholery, jesteś, mały.

– Nietoperzem owocożernym – powiedział Roberto.

– Może to Hiszpan – wtrącił Narrator. – Słyszałaś ten akcent?

– Wychodzę – oznajmił Theo, podciągając się na choinkę.

– Ma jeszcze jeden nabój – przypomniał Tucker Case.

– Zaraz to wszystko spalą. Muszę się stąd wydostać.

– I co zrobisz? Zabierzesz im zapalki?

Lena złapała Theo za ramię.

– Theo, nigdy nie rozpalą ognia przy takim deszczu i wietrze. Nie wychodź tam.

Ben nie zrobił nawet dwóch kroków.

– Gdybym zdołał się dostać do jakiejś terenówki, mógłbym zacząć po nich jeździć – powiedział Theo. – Val dała mi kluczyki do swojego rangę rovera.

– To się nie uda – stwierdził Tuck. – Jest ich masa. Może załatwisz paru najsłabszych, ale reszta po prostu ucieknie do lasu, a tam ich nie dosięgniesz.

– W porządku. Jakież propozycje? Ta kaplica spłonie jak hubka, deszcz czy nie deszcz. Jeśli czegoś nie zrobię, upieczemy się tutaj.

Lena popatrzyła na Tucka.

– Może Theo ma rację. Jeśli zdołamy przegonić ich do lasu, reszta z nas zdoła się wyrwać na parking. Wszystkich nie dorwą.

– Dobra – powiedział Theo. – Podzielcie ludzi na grupy po pięć, sześć osób. Najsilniejszemu w każdej grupie dajcie kluczyki do terenówek. Upewnijcie się, czy każdy wie, dokąd ma iść. Kiedy usłyszycie klakson rangę rovera, odgrywający Shave and a Haircut, to będzie znaczyło, że zro biłem, co mogłem. I wszyscy biegiem na parking.

– Ho, ho, wymyśliłeś to na haju – powiedział Tuck. – Jestem pod wrażeniem.

– Przygotuj wszystkich. Nie wyjdę na ten dach, dopóki nie będę pewien, że nikt na mnie nie czeka.

– A jeśli usłyszemy wystrzał? Jeśli złapią cię, zanim dostaniesz się do wozu?

Theo wyciągnął kluczyk z kieszeni i podał go Tuckowi.

– Wtedy przyjdzie kolej na ciebie, nie? Val miała przy sobie zapasowy kluczyk.

– Chwileczkę. Ja tam nie wybiegnę. Ty masz wymówkę, jesteś naspawany, jesteś gliniarzem, żona cię wywalila, a twoje życie legło w gruzach. A mnie się całkiem nieźle układa.

– Czy kiedy posterunkowy Crowe wyjdzie, będziemy mogli odciąć mu głowę? – spytał Joshua Barker.

– Dobra, może i nie – powiedział Tuck.

– Idę – oznajmił Theo. – Zbierz wszystkich pod drzwiami.

Patykowaty policjant zaczął się wdrapywać na choinkę. Tuck patrzył, jak wspina się na dach, a potem odwrócił się do pozostałych.

– Dobra, słyszeliście, co powiedział. Podzielmy się na grupy po pięć, sześć osób i stańmy przy drzwiach. Nacho, weź młotek, trzeba będzie wyciągnąć gwoździe z tych umocnień. Kto chce prowadzić terenówkę?

Wszyscy, z wyjątkiem dzieci, podnieśli ręce.

– Nie zapali, jest mokra – oznajmił Marty o Poranku.

Próbował uzyskać płomień z przemoczonej jednorazowej zapalniczki. Żywe trupy stały wokół niego, patrząc na oblaną benzyną stertę, którą usypali pod ścianą kaplicy.

– Uwielbiam grilla – powiedział Arthur Tannbeau. – Na ranczo w każdą niedzielę...

– Tylko w Kalifornii ktoś może nazwać plantację cytrusów „ranczem” – przerwał mu Malcolm Cowley. – Tak jakbyś jeździł z wieśniakami konno, żeby zapędzić mandarynki do zagrody.

– Czy nikt nie znalazł w którymś samochodzie suchej zapalniczki albo zapalek? – spytał Dale Pearson.

– Dzisiaj nikt już nie pali – odparła Bess Leander. – Zresztą to obrzydliwy, brudny nałóg.

– Powiedziała ta, która po gościu w swetrze ma jeszcze na podbródku tkankę mózgową – wtrącił Malcolm.

Bess uśmiechnęła się, zawstydzona. Przez jej przegniłe wargi było widać większą część dziąseł.

– Ten mózg był taki pyszny. Zupełnie jakby nigdy go nie używał.

Przed kaplicą rozległo się piknięcie i wszyscy zwrócili wzrok w tamtą stronę. Reflektory jednego z samochodów rozbłysły żółtym światłem.

– Ktoś próbuje uciec! – krzyknął Dale. – Chyba kazałem wam obserwować dach!

– Ja obserwowałem – oznajmił jednoręki Jimmy Antalvo. – Jest ciemno i gównie widać.

Gdy ruszyli wzdłuż bocznej ściany kaplicy w stronę frontu, ujrzeli ciemny cień ześlizgujący się z dachu na ziemię.

Rozdział 21

ANIOŁ ZEMSTY

Cholera, cholera, cholera, cholera! – pomyślał Theo. Spadając na ziemię, skręcił kostkę. Ból rozlał się po jego nodze niczym płynny ogień. Przewrócił się i przeturlał na plecy w błocie. Za wczes'nie nacisnął guzik uruchamiający centralny zamek rangę rovera. Samochód piknął i mrugnął światłami, alarmując żywe trupy. Theo skoczył na oślep i popełnił błąd. Tamci szli do niego. Wstał i zaczął skakać w stronę wozu, trzymając kluczyk w pogotowiu. Latarkę zgubił w błocie za sobą.

– Łapcie go, zgniłe fiuty! – wydarł się Dale Pearson. Theo runął w przód, poślizgnąwszy się na zdrowej nodze, ale przeturlał się i znowu wstał, czując w goleni ukłucie ostrego bólu. Dotarł do tylnej kłapy i złapał się wycieraczki, by zachować równowagę. Zaryzykował rzut oka w tył, na prześladowców, i usłyszał przy swojej głowie donośny łoskot, a potem ogłuszający chrobot. Odwrócił się w samą porę, by ujrzeć przypominającą szkielet kobietę, ślizgającą się po dachu terenówki, zębami naprzód. Uchylił się, poczuł jednak na szyi jej paznokcie i zęby. Obaliła go na ziemię i poczuł ból w głowie, gdy zombi próbowała przegryźć mu czaszkę. Leżał z twarzą wepchniętą w błoto. Jego nozdrza i usta wypełniła woda i w oślepiającym błysku przerażenia pomyślał: tak mi przykro, Molly.

– Błę! Obrzydlistwo! – wykrzyknęła Bess Leander, wypluwając kilka zębów na głowę Theo.

Marty o Poranku złapał Theo za głowę i polizał ślady zębów, które zostawiła Bess.

– To straszne. Jest naspawany. Nie będę jadł mózgu na hajju.

Żywe trupy wydały z siebie jęk zawodu.

– Podnieście go – nakazał Dale.

Z pierwszym oddechem Theo zassał sporo błota i dostał ataku kaszlu, gdy trupy podniosły go i oparły o tylną klapę rangę rovera. Ktoś star! mu błoto z oczu. Do jego nozdrzy wdarł się taki smród, że aż się zakrztusił. Zobaczył martwą, lecz poruszającą się twarz Dale'a Pearsona zaledwie o centymetry od własnej. Paskudny oddech zwłok dosłownie go obezwładniał. Próbował się odwrócić od złego Mikołaja, ale gnijące ręce mocno trzymały go za głowę.

– Ej, hipisie – powiedział Dale.

Trzymał latarkę Theo przy swojej mikołajowej brodzie, by oświecać sobie twarz od spodu. Po obu stronach brody ściekały strużki krwawej śliny.

– Chyba nie myślisz, że palenie trawki cię uratuje, co? Nie myśl. – Wyciągnął z kieszeni czerwonego płaszcza rewolwer i podetknął go pod brodę Theo. – Będziemy mieli mnóstwo jedzenia. Możemy sobie pozwolić na taką stratę.

Dale rozerwał rzepy kurtki Theo i zaczął poklepywać jego biodra.

– Nie masz broni? Do dupy z ciebie policjant, hipisie. – Przeszukał kieszenie jego policyjnej bluzy. – Ale to! Jedyne, na co można u ciebie liczyć.

Dale podniósł zapalniczkę Theo, po czym wyciągnął rękę, oderwał całą kieszeń od bluzy i owinął zapalniczkę suchą tkaniną.

– Marty, spróbuj tej. Tylko nie pozwól, żeby zmokła.

Podał zapalniczkę gnijącemu facetowi z mokrymi, czerwonymi włosami w stylu Ziggyego Stardusta, który poczłapał z nią do stosu usypanego pod ścianą kaplicy.

Theo patrzył, jak Marty o Poranku pochyla się nad stertą składającą się z kawałków drewna, sosnowych gałęzi, połamanych pni, kartonu i rozdartego na strzępy ciała Bena Millera. Wiatr ciągle dął i choć deszcz stał się mniej dokuczliwy, to padające krople i tak kłuły Theo w policzki.

„Nie zapal się, nie zapal się, nie zapal się”, powtarzał Theo w duchu, ale potem opuściła go cała nadzieja, ujrzał bowiem, że na stosie zatańczył pomarańczowy płomień, a Marty o poranku odskoczył z płonącym rękawem.

Dale Pearson odsunął się na bok, by Theo widział ogień pełznący po ścianie budynku, a potem przystawił mu do skroni trzydziestkę ósemkę.

– Przypatrz się dobrze naszemu grillowi, hipisie. To ostatnia rzecz, jaką zobaczysz. Zjemy mózg twojej stukniętej żony z rusztu.

Theo uśmiechnął się, szczęśliwy, że Molly nie ma w środku i że nie padnie ofiarą masakry.

– Nie słyszałem Shave and a Haircut – stwierdził Ignacio Nuñez. – A wy słyszeliście Shave and a Haircut?

Tuck omiół latarką tuzin załamanych twarzy, a potem cała ściana kaplicy stała się pomarańczowa od płonącego za oknami ognia. Jedna z kobiet krzyknęła, a inni patrzyli z przerażeniem na dym, który zaczął się wiać w okiennych ramach.

– Zmiana planów – powiedział Tuck. – Wychodzimy teraz. Ci, którzy stoją na czele grup... oddajcie kluczyki tym, którzy są za wami.

– Będą na nas czekać – stwierdziła Val Riordan.

– Świetnie, to zostań i się spal – odparł Tuck. – Chłopaki, przewracajcie wszystko, co stanie wam na drodze. Pozostali po prostu biegną do samochodów.

Sprzed drzwi kaplicy usunięto wszystkie przeszkody. Tuck zaparł się ramieniem o jedno skrzydło, przy drugim stał Gabe Fenton.

– Gotowy... Raz, dwa, trzy!

Walnęli ramionami w drzwi i odbili się z powrotem do pozostałych. Drzwi uchyliły się zaledwie na kilka centymetrów. Ktoś zaświecił przez szczelinę latarką i w jej świetle ujrzeli wielki pień sosny, oparty o jedno ze skrzydeł.

– Nowy plan! – wykrzyknął Tuck.

Theo próbował patrzeć na ogień, ale nie widział nic poza trupimi oczami Dale'a Pearsona. Opuściły go wszelkie myśli. Został tylko strach, gniew i nacisk lufy rewolweru na skroń.

Usłyszał szum i łomot przy uchu i wtedy lufa zniknęła. Dale Pearson odsuwał się od niego, z ciemnym kikutem w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą miał rewolwer. Dale otworzył usta do krzyku, ale w tym momencie na poziomie jego nosa pojawiła się cienka Unia i po chwili połowa jego głowy zsunęła się na ziemię. Beładnie osunął się do stóp Theo. Dłonie, które trzymały policjanta, puściły.

– Mózg! – wrzasnął jeden z żywych trupów. – Mózg wariatki!

Theo upadł na powtórnie zabite ciało Dale'a, po czym obrócił się, by sprawdzić, co się dzieje.

– Cześć, kochanie – powiedziała Molly.

Stała uśmiechnięta na dachu rangę rovera, ubrana w skórzaną kurtkę, legginsy i trampki Converse Ali Stars, trzymając przed sobą stary japoński miecz w pozie hosso no kamae. Klinga połyskiwała pomarańczowo w blasku płonącego kościoła. Na ostrzu widniała ciemna smuga po rozplątanej czaszce nieumarłego Mikołaja. Theo nigdy nie zaliczał się do ludzi szczególnie wierzących, ale w tym momencie pomyślał, że pewnie tak właśnie czuje się człowiek patrzący w twarz anioła zemsty.

Zombi trzymający Theo wyciągnęły ręce ku nogom Molly, która płynnym ruchem postąpiła w tył i zatoczyła mieczem niski łuk, posyłając w blocko deszcz odciętych dłoni.

Żywe trupy zawyły wokół niej i za pomocą kikutów usiłowały wspiąć się na terenówkę. Bess Leander spróbowała powtórzyć chwyt zastosowany na Theo, więc wlała na maskę za nim i chciała wykonać skok przez dach rangę rovera. Molly obróciła się i zrobiła krok w bok, robiąc mieczem niski zamach, który wydawałby się całkiem na miejscu na polu golfowym. Głowa Bess sturlała się z terenówki na kolana Theo. Odepchnął ją i zerwał się na nogi.

– Kochanie, może byś poszedł i wypuścił wszystkich z kaplicy, zanim spłoną – powiedziała Molly. – Nie jestem pewna, czy chcesz na to patrzeć.

– Wporzo – powiedział Theo.

Żywe trupy porzuciły swoje stanowiska z przodu i z tyłu kaplicy, gdzie czaiły się, by urządzić zasadzkę na uciekających uczestników przyjęcia, i ruszyły do ataku na Molly. Trzy padły bez głów, gdy Molly stała na rangę roverze, ale gdy ją otoczyły, rozpędziła się i przeskoczyła nad głowami tłumu, lądując za nimi. Theo puścił się biegiem do głównego wejścia do kaplicy. Wzrok miał zamglony od deszczu i krwi spływającej mu do oczu z ugryzień na głowie. Obejrzał się na chwilę i ujrzał Molly, płynącą w powietrzu ponad głowami napastników.

Niemal wpadł na dwie wielkie sosnowe kłody, którymi podparto drzwi kaplicy. Zerknął przez ramię i zobaczył, jak Molly kosi kolejnych dwóch zombi, w tym jednego rozcina na pół od czubka głowy po mostek, po czym odwrócił się i spróbował wsunąć ramię pod jedną z kłód.

– Theo, to ty? – Gabe Fenton przyciskał twarz do kilkucentymetrowej szpary między skrzydłami drzwi.

– Tak. Zablokowali drzwi kłodami – wyjaśnił Theo. – Próbuje je usunąć.

Zrobił trzy głębokie oddechy i dźwignął pień ze wszystkich sił, mając wrażenie, że lada chwila eksplodują mu żyły w skroniach. Rana w jego głowie pulsowała z każdym uderzeniem serca.

Ale pień drgnął o parę centymetrów. Da radę.

– Jak ci idzie?! – zawołał Gabe.

– Dobrze, dobrze – odparł Theo. – Dajcie mi chwilę.

– Kaplica wypełnia się dymem, Theo.

– Dobra. – Theo znowu się naprężył i kłoda znów przesunęła się o kilka centymetrów w prawo. Jeszcze trzydzieści centymetrów i zdołają otworzyć drzwi.

– Pospiesz się, Theo – powiedziała Jenny Masterson. – Tutaj... – Dostała ataku kaszlu i nie mogła dokończyć zdania.

Trico słyszał, że w środku wszyscy kaszlą. Z boku kaplicy, gdzie Molly toczyła swoją walkę, dochodziły jęki bólu i wściekłości. Najwyraźniej nic jej się nie stało, bo żywe trupy wciąż wrzeszczały coś o zjedzeniu jej mózgu.

Kolejny wysiłek i kolejne parę centymetrów. Ze szczeliny między skrzydłami drzwi wydobywał się szary dym. „Theo opadł z wysiłku na kolana i omal nie zemdleł. Otrząsnął się, wracając do zmysłów. Szykując się do kolejnej próby i licząc, że nie będzie ostatnią, zauważył, że wrzaski z boku kaplicy umilkły. Deszcz, wiatr, kaszel uwięzionych i trzask płomieni. Nic więcej nie słyszał.

– O, mój Boże. Molly! – krzyknął.

Dłoń na jego policzku, głos w jego uchu.

– Ej, marynarzu, potrzebujesz pomocnej dłoni przy otwieraniu tych drzwi, jeśli wiesz, co mam na myśli?

W oddali – rozległ się dźwięk syren. Ktoś dostrzegł pośród burzy płonąca kaplicę i zdołał się jakoś skontaktować z ochotniczą strażą pożarną. Ocalałych uczestników świątecznego przyjęcia dla samotnych zgromadzono pośrodku parkingu i oświetlono reflektorami. Z powodu żaru przesunęli się o niemal siedemdziesiąt pięć metrów w stronę ulicy.

Nawet z takiej odległości Theo czuł gorąco na policzku, gdy Lena Marquez bandażowała mu głowę. Pozostali siedzieli w otwartych bagażnikach terenówek i próbowali złapać oddech po duszącym dymie, pili wodę z butelek albo po prostu leżeli w stanie oszołomienia.

Sosnowy las wokół płonącej kaplicy parował i ku niebu wznosił się wielki, biały opar. Po lewej stronie kościoła znajdowało się pobożowisko – miejsce ponownego zabijania żywych trupów. Molly bezlitośnie pochłastała zmartwychwstałe zwłoki. Po tym, jak wraz z Theo uwolniła uczestników przyjęcia z kaplicy, dogoniła ostatnią garstkę trupów, która skryła się w lesie, i ścięła im głowy.

Molly siedziała obok Theo pod otwartą klapą czyjegoś forda expedition.

– Skąd wiedziałaś? – spytał. – Skąd mogłaś wiedzieć?

– Nietoperz mi powiedział – odparła Molly.

– Chcesz powiedzieć, że pojawił się u ciebie, a ty spytałaś: „Co się stało? Timmy

wpadł do studni?”, a wtedy on zaszczekał, jak Lassie? Tak to było?

– Nie – odparła Molly. – Powiedział: „Twój mąż i inni ludzie zabarykadowali się w kaplicy w obronie przed hordą pożerających mózgi zombiaków, musisz tam iść i ich ratować”. Coś w tym rodzaju. Ma wyraźny akcent. Mówi jak Hiszpan.

– Ja się na przykład cieszę, że odstawiłaś leki – powiedział Tucker Case, stojący obok Leny, która bandażowała głowę Theo. – Parę halucynacji to niewielka cena, moim zdaniem.

Molly uciszyła go gestem uniesionej ręki. Wstała i odciągnęła pilota na bok, oglądając się na płonący kościół. Wysoka ciemna postać w długim płaszczu szła ku nim przez pobożowisko.

– O, nie – jęknął Theo. – Wszyscy do samochodów i zamknąć się od środka.

– Nie – powiedziała Molly, odwołując polecenia Theo niedbałym machnięciem ręki. – Wszystko w porządku.

Stała przed aniołem pośrodku parkingu.

– Wesółych świąt – odezwał się anioł.

– Taa, tobie też – odrzekła Molly.

– Widziałaś dziecko? Joshuę? – spytał Razjel.

– Jakiś dzieciak stoi tam z innymi – powiedziała Molly. – To pewnie on.

– Zaprowadź mnie do niego.

– To on – powiedział Theo. – To ten robot.

– Ciii – syknęła Molly.

Razjel podszedł do Emily Barker, która trzymała syna w ramionach na tylnym siedzeniu hondy Molly.

– Mamo – załkał Joshua. Ukrył twarz w piersiach matki.

Ale Emily wciąż była zbyt wstrząśnięta po śmierci swojego partnera i niemal nie zareagowała, jedynie mocniej chwyciła chłopca. Razjel położył mu dłoń na głowie.

– Nie lękaj się – powiedział. – Oto zwiastuję ci radość wielką. Twoje świąteczne życzenie zostało spełnione. – Anioł machnął w kierunku ognia, miejsca rzezi oraz wyczerpanych i przerażonych ludzi, jakby był hostessą z teleturnieju prezentującą pralkosuszarkę. – Może ja bym takiego życzenia nie wyraził – dodał – ale jestem tylko skromnym posłańcem. Josh obrócił się w objęciach mamy i popatrzył na anioła.

– Nie prosiłem o to. Nie tego sobie życzyłem.

– Pewnie, że tego – odparł Razjel. – Chciałeś, żeby Mikołaj, którego śmierć widziałeś, znowu żył.

– Wcale nie.

– Tak powiedziałaś. Powiedziałaś, że chcesz, by przywrócono mu życie.

– Nie to miałem na myśli – stwierdził Joshua. – Jestem dzieckiem. Nie zawsze mówię do rzeczy.

– Mogę za to ręczyć – wtrącił Tucker Case, stając za aniołem. – Naprawdę jest dzieckiem i przez większość czasu gada bzdury.

– Nadal powinniśmy odciąć panu głowę – powiedział Josh.

– Właśnie – odparł Tuck. – Same bzdury.

– Jeśli nie chciałeś, żeby ożył, to co miałeś na myśli? – spytał Razjel.

– Nie chciałem, żeby Mikołaj zmienił się w zombi, zabił dużego, głupiego Briana i w ogóle. Chciałem, żeby wszyst ko było w porządku. Jakby nic się nie stało. Żeby to były dobre święta.

– Nie to powiedziałaś – zauważył Razjel.

– Ale tego chciałem – odparł Joshua.

– A – powiedział anioł. – Przepraszam.

– Więc on jest aniołem? – zwrócił się Trio do Molly. – Znaczy, takim prawdziwym?

Molly pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– A nie morderczym robotem?

Molly pokręciła głową.

– Przybył, by spełnić świąteczne, bożonarodzeniowe życzenie jednego dziecka.

– Jakby nic się nie stało? – spytał chłopca anioł.

– Tak! – potwierdził Josh.

– Ups – powiedział anioł.

Molly podeszła bliżej i położyła rękę na ramieniu anioła.

– Razjel, spieprzyłeś sprawę. Naprawisz to?

Anioł popatrzył na nią i wyszczerzył się w usmiechu. Miał idealne zęby, choć trochę ostre.

– Niech tak będzie – powiedział. – Chwała na wysokości Bogu, a na Ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Rozdział 22

DOSKONAŁE ŚWIĘTA DLA SAMOTNYCH

Archanioł Razjel unosił się przed wielkim witrażem Kaplicy Świętej Róży, patrząc przez kawałek różowego szkła, będący policzkiem świętej Róży. Uśmiechnął się na widok swojego dzieła, a potem załopotał skrzydłami i odleciał, by poszukać jakiejś czekolady na drogę powrotną.

Życie to syf. Każdy kawałek mógłby pasować do układanki, każde słowo mogłoby być miłe, a każde wydarzenie radosne, tyle że tak nie jest. Życie to syf. Ludzie, ogólnie biorąc, są do dupy. W tym jednak roku na świątecznym przyjęciu dla samotnych w Pine Cove panowały radość, zaraźliwa dobra wola i pogoda ducha, które były z gości wypucowanym blaskiem – to nie był syf.

– Theo? – zapytała Molly. – Możesz wziąć pozostałe rondle z lazanią?

Sama niosła dwa podłużne stalowe rondle. Ostrożnie ugięła kolana, stawiając je na stole, by tył jej krótkiej koktajlowej sukienki pozostał w sferze przyzwoitości. Była to mocno wydekoltowana MCS (mała czarna sukienka), którą pożyczyła od Leny tylko na przyjęcie – pierwszy mocno wydekoltowany ciuch, jaki nosiła od lat.

– Właściwie to można było zrobić grilla – stwierdził Thieo.

– Powiedziałam wam, dupki, że burza skręci na południe – warknęła Mavis Sand, odcinając nożem koniuszek bagietki, jakby dokonywała obrzezania olbrzyma. (Z niektórych dobra wola była inaczej niż z innych). Molly odstawiła lazanię i odwróciła się, by wpaść w ramiona przypominającego modliszkę męża.

– Ej, marynarzu, Wojownicza Laska ma robotę.

– Chciałem ci tylko powiedzieć – rzekł Theo – zanim wszyscy przyjdą, że wyglądasz absolutnie oszałamiająco.

Molly przesunęła dłonią po dekolcie.

– Blizny tak nie robią, prawda? Nie znikają z dnia na dzień bez śladu, co?

– Dla mnie to nie jest ważne – odparł Theo. – Nigdy nie było. Poczekaj, aż zobaczysz, co mam dla ciebie pod choinkę.

Pocałowała go w policzek.

– Kocham cię, chociaż masz pewne cechy mutanta. A teraz mnie puść, trzeba

pomóc Lenie przy sałatce.

– Nie, nie trzeba – odparła Lena, wychodząc z zaplecza z wielką misą sałatki. Tuż za nią szedł Tucker Case, niosąc zestaw sosów.

– Och, Theo – powiedziała Lena. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale Dale wpadnie dzisiaj w swoim stroju Mikołaja.

– Myślałem, że jesteście na wojennej ścieżce – odrzekł Theo.

– Byliśmy, ale nakrył mnie parę dni temu wieczorem, jak kradłam mu choinki. Wpadł w szal i wtedy w pobliżu pojawił się Tucker i dał mu w mordę.

Tucker Case uśmiechnął się.

– Jestem pilotem, przywykłem do rozwiązywania trudnych sytuacji.

– Tak czy owak – ciągnęła Lena – Dale był pijany. Zaczął płakać, rozkleił się, opowiadał, że ma kłopoty z nową dziewczyną, że wszyscy uważają go za podłego dewelopera, więc go tu zaprosiłam. Pomyślałam, że jak zrobi coś dobrego dla dzieci, to może poczuje się lepiej.

– Nie ma sprawy – powiedział Theo. – Cieszę się, że się dogadujecie.

– Ej, Theo! – zawołał Joshua Barker, biegnąc przez kaplicę w ich stronę. – Mama mówi, że Mikołaj przyjdzie na przyjęcie.

– Wpadnie na chwilę, Josh, ale potem musi lecieć dalej – powiedział Theo. Podniósł wzrok na nadchodzącą Emily Barker i jej chłopaka/męża/kogoś tam, Briana Hendetsona. Brian miał na sobie czerwoną koszulkę z logiem Star Fleet Command.

– Wesołych świąt, Theo – powiedziała Emily.

Theo uściskał ją i podał rękę Brianowi.

– Theo, widziałeś Gabe'a Fentona? – spytał Brian. -

Chciałem mu pokazać koszulkę, myślę, że zrobi na nim wrażenie. Wiesz, solidarność między odmieńcami.

– Był tutaj, ale potem przyszła Val Riordan i zaczęli rozmawiać. Nie widziałem ich od dłuższej chwili.

– Może poszli na spacer. Piękny wieczór, nie?

– Nie – powiedziała Molly, stając przy Theo.

– Mówił, że jest dobry w zjawiskach pogodowych – przypomniał Narrator.

– Ciii – syknęła Molly.

– Słucham? – powiedział Brian.

Na zewnątrz, za kaplicą, także zmarli poczuli s'wiąteczny nastrój.

– Zerżnie ją tutaj, na cmentarzu – powiedział Marty o Poranku. – Kto by pomyślał, że psychiatra może tak jęczeć. Cieleśna terapia krzykiem, co, pani doktor?

– Niemożliwe – odparła Bess Leander. – Ma sukienkę od Armaniego, nie będzie chciała sobie zniszczyć takiego stroju.

– Racja – przyznał Jimmy Antalyo. – Trochę się polizą, a potem skoczą do domu na szybki seks. Ale skąd wiesz, że ma sukienkę od Armaniego?

– Wiesz co? – powiedziała Bess. – Nie mam pojęcia. To chyba przecucie.

– Mam nadzieję, że zaśpiewają Dokąd tak spieszą Królowie – odezwała się Esther, nauczycielka. – Uwielbiam tę kołędę.

– Widział ktoś kundla tego biologa? – spytał Malcolm Cowley, martwy antykwariusz. – W zeszłym roku ten okropny pies trzy razy nasikał na mój nagrobek.

– Węszył tu jeszcze przed chwilą – odparł Marty o Poranku – ale wszedł do środka, kiedy zaczęli wynosić jedzenie.

W środku Skinner siedział pod choinką i patrzył na najdziwniejsze stworzenie, jakie w życiu widział. Wisiało na jednej z niższych gałęzi, ale nie wyglądało jak wiewiórka ani nie pachniało jak jedzenie. Właściwie, patrząc na pysk, można by pomyśleć, że to inny pies. Skinner zaskamlał i wciągnął nozdrzami powietrze. Jeśli to pies, gdzie jest jego tyłek? Jak Skinner miał się przywitać, skoro nie mógł powąchać jego tyłka? Z wahaniem cofnął się o krok, by przyjrzeć się stworowi.

– Na co się gapisz? – spytał Roberto.

I ZANIM SIĘ OBEJRZELIŚMY, ZNOWU BYŁY ŚWIĘTA

Rok później – rok po najlepszym świątecznym przyjęciu dla samotnych w historii – do miasteczka przyjechał pewien przybysz. Nazywał się William Johnson i pracował w kabinie wewnątrz wielkiej szklanej bryły w Dolinie Krzemowej, gdzie przez cały dzień przesuwał jakieś kształty na monitorze. Mieszkał sam w mieszkaniu przy autostradzie i w każde Boże Narodzenie brał dwa tygodnie wolnego, by pojechać do małego miasteczka, gdzie nikt go nie znał, by oddawać się własnej, szczególnej tradycji świątecznej. W tym roku wybrał Pine Cove i czuł spore podekscytowanie, miasteczko leżało bowiem najbliżej domu ze wszystkich, które do tej pory odwiedził. Pozwolił sobie na nieostrożność, była to bowiem jego dwunasta świąteczna wyprawa z rzędu – okrągły tuzin – i uznał, że

zasługuje na nagrodę. Poza tym jego urlop opóźnił się o tydzień z powodu prac nad pewnym projektem, nie miał więc czasu na poszukiwania, które zazwyczaj prowadził – nie mógł sobie pozwolić na długą podróż. William nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego wybrał na swoje hobby właśnie Boże Narodzenie. Tak się po prostu złożyło, że były święta, kiedy zrobił to pierwszy raz – pojechał do Elko w stanie Nevada, by spotkać się z kobietą poznaną na Usenecie, a kiedy się okazało, że ona nie tylko nie mieszka w Elko, ale to w ogóle nie jest „ona”, wyładował złość na miejscowej prostytutce z baru dla kierowców i stwierdził, że całkiem mu się to podoba. Z drugiej strony, może to stało się dlatego, że matka (ta kurwa!) nigdy nie nadała mu drugiego imienia. Człowiek powinien mieć drugie imię, do cholery. Zwłaszcza jeśli chciał zostać kolekcjonerem, jak William.

Gdy jechał wypożyczoną furgonetką przez Cypress Street, zaczął nucić „Dwanaście świątecznych dni” i uśmiechnął się do siebie. Dwanaście. W lodówce z tyłu furgonetki, w przejrzystych próżniowych opakowaniach w folii, w równym rzędku na suchym lodzie, niczym małe różowe poduszki, spoczywało jedenaście ludzkich języków.

Zatrzymał się przed barem „Głowa Ślimaka”, przykleił sztuczne wąsy, poprawił fałszywe siodło, które nosił pod ubraniem, by wyglądać na starszego o dwadzieścia lat, i wysiadł z furgonetki. Rustykalna, zdewastowana knajpa wydawała się idealnym miejscem na znalezienie dwunastego okazu.

– „Dwanaście świątecznych dni” – zanucił pod nosem.

Wcześniej dyskutowano o świątecznych motywach na przyjęcie dla samotnych.

– W końcu to jebane święta – warknęła Mavis. – Rozwieście trochę lamety, zetnijcie choinkę, wlejcie rumu do ciasta i po sprawie. A czego byście chcieli? Drugiego Zbawiciela?

Z perspektywy czasu wszyscy odczuwali pewien niepokój w związku z doskonałym świątecznym przyjęciem dla samotnych. Miewali sny, koszmary, a nawet chwilowe wspomnienia wydarzeń, których nikt tak naprawdę nie pamiętał. O dziwo, nie zniechęciło ich to do udziału w tegorocznym przyjęciu, przeciwnie, czuli, że muszą iść urządzić wspaniałą zabawę, jakby w pewien sposób musieli naprawić coś, co się zepsuło. Rozmawiano o tym od Halloween, przez co organizatorzy czuli, że są pod wielką presją.

– To może meksykańskie Boże Narodzenie, posada?. – podsunęła Lena Marąquez.

– Zrobię enchilady, urządzimy piniatę, kupimy...

– Osiółka! – przerwała jej Mavis. – Z pytą jak kij bejsbolowy.

– Mavis! – Lena powiedziała adios swojej posada, gdy ta roztopiła się w szambie wyobraźni Mavis, pełnej wizji tijukańskich seksualnych show.

– Bal przebierańców – powiedziała z wielką powagą Molly, jakby rzeczywiście zwiastowała drugie nadejście Zbawiciela albo może przekazywała słowa Nigotha, Boga-Robaka.

– Nie – rzucił Theo, który tego dnia siedział przy barze i naprawdę starał się nie wtrącać. – Ludzie dziwnie się zachowują, kiedy włożą kostiumy. Ciągłe to widzę w Halloween. Jakby to dawało im licencję, żeby zachowywali się jak dupki. Wszystkie kobiety popatrzyły na Theo takim wzrokiem, jakby właśnie wycisnął skunksa do ich piwa imbirowego.

– Świetny pomysł – powiedziała Lena.

– Wchodzę w to – dodała Mavis.

– Każdy lubi się przebierać – stwierdziła Molly.

– Tak, ty lubisz – powiedziała Mavis.

– I bardzo dobrze – dorzuciła Lena, szturchając przyjaciółkę łokciem w żebra.

– Podobał mi się strój, który miałas w zeszłym roku – odezwał się Theo.

Popatrzyły na niego.

– Kurde, a co ja tam wiem? – powiedział posterunkowy. – Ja z moim chromosomem XY? O niczym nie mam pojęcia.

– Tucker i ja zostaliśmy w Halloween w domu – oznajmiła Lena. – Nietoperz był chory. Więc fajnie będzie mieć okazję, żeby się przebrać.

– A ja wykombinuję jakiś numer z osiołkiem – powiedziała Mavis.

– Idę stąd – oświadczył Theo, zsuwając się ze stołka i ruszając do wyjścia.

– Nie bądź takim pieprzonym świętoszkiem – rzuciła Mavis. – W szopce w kościele jest osiołek.

– Ale tam tego nie robią – odparł Theo, nawet się nie zatrzymując, by spojrzeć przez ramię. I już był za drzwiami.

– Nie wiesz, co się działo już po zrobieniu zdjęcia, na którym wzoruje się szopki – zawołała za nim Mavis, jakby to miało jakiś sens. – Tam byli pasterze, na miłość boską!

– Mam kostium Kendry, którego nie nosiłam od czasów filmu – oznajmiła Molly.

– Pełna zbroja płytowa, tyle że... no wiecie... dziewczęca.

– To bardzo świąteczne – stwierdziła Mavis.

– Można by ją udekorować – zaproponowała Lena.

– Tak, Mavis, mogłybyśmy nałożyć ostrokrzew i sztuczny śnieg na śmiercionośne kolce – powiedziała Molly, wskazując dłońmi swoje przedramiona, skąd będą jej radośnie sterczały świąteczne, śmiercionośne kolce.

– Ja chcę przyjść w stroju Królowy Śnieżki – powiedziała Lena. – Myślicie, że Tucker włoży kostium księcia, jeśli mu go dam?

– Nie ma mowy – warknęła Mavis. – Za bardzo dba o swój wizerunek przygłupa, który gada z nietoperzem.

– Mavis, twój sarkazm nikomu się nie podoba.

– Kostiumy mogą być nieobowiązkowe, jeśli o mnie chodzi, bo w tym roku robię ciasto owocowe. – Mavis puściła oko i jej powieka zamknęła się na dobre do chwili, gdy lekko puknęła się w skroń. – Specjalne ciasto owocowe.

Mężczyzna w średnim wieku w czapce kierowcy ciężarówki i ubraniu roboczym wszedł do baru i usiadł na jednym ze stołków niezauważony przez nikogo, ale Mavis zobaczyła, że na nie patrzy, kiedy jej powieka już się otworzyła.

– Co mogę podać, mój słodki?

– Piwo – powiedział nieznajomy.

– WszystJto w porządku? – spytała Mavis.

Facet wydawał się oszołomiony. Co prawda, przywykła do tego, ale nie lubiła, kiedy ludzie wpadali w stan otępienia, a ona na tym nie zarabiała.

– Nigdy nie było lepiej – powiedział tamten, odrywając wzrok od karku Leny.

William Johnson czuł, że ma szczęście w życiu. Od pierwszego razu (a tego nie da się powtórzyć, prawda?) nigdy się nie zdarzyło, by tak szybko natrafił na „obiekt”. Była idealna, po prostu idealna. Delikatna i seksowna, dumna i stanowcza – kobieta z tych, które nawet by na niego nie spojrzwały. Nie spojrzała, prawda? A ta szyja i obrys szczęki, po prostu przepiękne. Zadrzał na myśl, że jej tam dotknie, popieści tę cudną szyję i poczuje przyjemne trząśnięcie kręgosłupa. A potem ją posiadzie, jak tylko zapragnie, ile razy zechce, tę małą wredną dziwkę. To będzie najlepsze Boże Narodzenie w jego życiu. Wypił piwo, zostawił pieniądze na barze, dorzucając akurat taki napiwek, by go nie zapamiętano, i czekał na zewnątrz w wypożyczonej furgonetce, udając, że studiuje mapę, aż jego latynoska piękność wyszła. Patrzył, jak wsiada do starej toyoty pickupa, a kiedy znalazła się o jedną przecznicę dalej, pojechał za nią przez miasteczko. Bal

przebierańców. Doskonale. Gdzie indziej mógłby wtopić się w tło, chodzić między nimi, słuchać rozmów, a potem poczekać na odpowiedni moment i zabrać swoją zdobycz spod samych ich nosów? To było prawdziwe błogosławieństwo, a może klątwa, ale naprawdę cudowna klątwa.

...Miała bardzo lśniący kark. A gdyby go skrzył? Rzekłbyś nawet, że... ee... świeci.

– Głupia piosenka – stwierdził.

– Zdaje się, że Val chce chińskie dziecko – powiedział Gabe Fenton.

Pił piwo za piwem z Tuckerem Casem i Theo Crowem w latarni morskiej w bezwietrzny – rzadkie zjawisko – wtorek przed Bożym Narodzeniem. Postawili krzesła ogrodowe w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się reflektor, i obserwowali stado delfinów bawiących się w zatoce poniżej.

– Na Gwiazdkę? – spytał Tucker Case. – To chyba dość kosztowny prezent. Po ile one chodzą? Dziesięć, dwadzieścia tysięcy?

Theo popatrzył na Tucka z dezaprobatą, która wciąż stanowiła jego najczęstszą reakcję na pilota. Ponieważ jednak wyglądało na to, że Tuck nie opuści miasteczka, Theo i Gabe zaakceptowali go jako kumpla.

– Pytanie brzmi – powiedział Theo – czy jesteś gotowy, by zostać rodzicem?

– O, ona nie zamierza się nim dzielić. Chce dziecko dla siebie. Mówi, że nie mogłaby znieść mnie w domu przez cały czas, bo żyję jak zwierzę.

– No, w końcu jesteś biologiem – powiedział Tuck, stając w jego obronie. – To twoja praca.

– Prawda – przyznał Gabe, po czym uniósł pięść.

– Prawda – powtórzył Tuck i uderzył pięścią w dłoń tamtego {była to mocniejsza, zaciśnięta wersja przybijania piątki, mniej ekstrawagancka od wariantu z otwartymi dłońmi, ale nie mniej niezgrabna w wykonaniu dwóch paskudnych białasów. „Kumasz, facet?”. „Jasne”).

Theo przewrócił oczami i podsunął precla labradorowi czekającemu przy jego boku.

– Ona cię nawet nie lubi, Gabe. Sam mówiłeś. – A jednak daje ci przywilej regularnego rżnięcia – stwierdził Tuck. – Co wskazuje, że brak jej trzeźwej oceny sytuacji. Lubię tę cechę w kobietach.

– Ona tak ładnie pachnie – powiedział Gabe.

– To jeszcze nie powód, żeby mieć z nią dziecko – odparł Theo.

– Albo kupować jej drogi prezent – dodał Tuck.

– To za kogo się przebierzecie na przyjęcie dla samotnych? – spytał Gabe, rozpaczliwie chcąc zmienić temat.

– Chyba za pirata – powiedział Theo. – Mam jeszcze przepaskę na oko po zapaleniu spojówek w zeszłym roku.

– Może za policjanta? – podsunął Tuck i zachichotał.

– A ty za kogo? – spytał Theo. – Za istotę ludzką?

– Nie idę. Muszę pracować – oznajmił Tuck.

– O, ty psie! – wykrzyknął Gabe. – Jak ci się to udało?

Na wzmiankę o psie Skinner podreptał do Faceta od Żarcia, na wypadek gdyby był tam precel, którego nie zauważył.

– Wigilia to wielkie święto w branży narkotykowej. W nocy ma być zimno. Będziemy latać w kółko i szukać śladów cieplnych z wytwórni amfetaminy. Mam nadzieję, że któraś powierzą na czas świąt jakiemuś żółtodziobowi i będzie wybuch. Nie ma to jak płonąca wytwórnia amfy na święta.

– Lena wie? – spytał Theo, unosząc brwi.

– Jeszcze nie. Zadzwońią po mnie w ostatniej chwili.

– Będzie wściekła – powiedział Gabe.

– Powinieneś iść – poradził Theo. – To dla niej ważne.

– Może zjawię się później, bez kostiumu. Kobiety lubią, kiedy spodziewają się rozczarowania, a ty w ostatniej chwili zaskakujesz je czymś romantycznym, na przykład, swoim przybyciem.

– Boże, ale z ciebie padalec.

– Co, przecież powiedziałem, że przyjdę.

– Właściwie padalce nie zasługują na tak negatywną opinię – powiedział Gabe. – Tak naprawdę...

– Może wziąłbyś Roberta? – zwrócił się Tuck do Theo. – Mógłby być twoją piracką papugą.

– Nie cierpię bali przebierańców – powiedział Gabe. – Kostium ujawnia twoją prawdziwą naturę, choćbyś nie wiem jak się starał.

– Czyli, Tuck – odezwał się Theo – powinieneś mieć w domu kostium padalca.

Mavis Sand uważała, że dobre ciasto owocowe powinno zawierać tylko tyle owoców i mąki, by farmaceutyki się nie rozpadały. W tym roku oznaczało to garść wiśni koktajlowych i drugą garść ciemnej mąki Gold Medal. W ostatniej chwili złamała się i dosypała pół szklanki cukru, bo xanax zostawiał gorzki posmak, który psuł smak rumu. Przez całą noc wydawała też drinki w zamian za dwadzieścia dawek ekstazy dzieciakowi z ogoloną i wytatuowaną głową, i tyłoma koleczykami w twarzy, że wyglądał, jakby tarzał się w beczce z gwoździami w sklepie żelaznym. Chłopak był niemal pewien, że te tabletki to ekstazy, ale nawet gdyby miało się okazać, że to tylko środki uspokajające dla zwierząt, przyjęcie będzie udane. Mavis nigdy nie lubiła abstynenckiego charakteru przyjęcia dla samotnych i chciała zobaczyć, jak ten i ów traci kontrolę nad sobą w kościelnym otoczeniu. Teraz, w popołudnie przed przyjęciem, ciasto zapomnienia zostanie pocięte na kawałki o niewinnym wyglądzie i ułożone na czerwono-zielonych papierowych talerzykach, spoczywających na srebrnej tacy niczym płatki gwiazdy betlejemskiej. Mavis zarechotała pod nosem, kładąc ostatni kawałek, po czym poszła, by rozpalić grilla za kaplicą.

– Czujecie ten zapach? – spytał Marty o Poranku (wszystkie cmentarne przeboje, jakie chcecie usłyszeć). – Będzie grill, dzieciaki!

– No, na przykład ja uważam, że serwowanie lazanii w zeszłym roku to był błąd – powiedziała Bess Leander, podejrzliwa wobec wszelkich potraw po tym, jak otruł ją mąż.

– To nie jest świąteczne danie. Po prostu im się nie chciało.

– Mam nadzieję, że zaśpiewają Dokąd tak spieszą Królowie – wtrąciła Esther.

– A teraz na życzenie słuchaczy spieszą Królowie. Jest z wami Marty o Poranku, Radio Umarlak, nadajemy w Pine Cove i na całym środkowym wybrzeżu.

– Nie jesteś już w radiu, Marty – powiedział Jimmy Antalvo.

– Wiem. Myślisz, że nie wiem?

– Ej, myślicie, że ta para doktorków w tym roku znowu zrobi to na cmentarzu? – spytał Jimmy, wpadając w świąteczny nastrój.

– O, tak, oby – powiedział z ironią Malcolm Cowley. – Niczego nie pragnę bardziej, niż znowu słuchać niezgrabnych obmacywanek dwojga napalonych grzeszników z banalnymi kolędami w tle! O, serce wali mi jak młotem!

– Dobrze, Malcolm – pochwalił Marty.

Wieczorem, gdy przyjęcie się rozkręciło, mięso było już usmażone i przybrane

rozmarynem oraz czosnkiem, misa z ponczem spoczywała jak basen z fluorescencyjną farbą pośród pola nadjedzonych zapiekaneek, sałatek i przekąsek, a kawałki ciasta owocowego Mavis wyglądały jak szpaler żołnierzy, gotowych maszerować do boju na chwałę Bożego Narodzenia, Ojczyzny i Dzieciątka Jezus, do cholery! Uczestnicy zabawy, przeciwni wcześniej idei świąt w kostiumach, w końcu się poddali i teraz rozkoszowali się tą hańbą kapitulacji. Gabe Fenton zmajstrował sobie kostium orki z masy papierowej i farby w spraju, zapomniał jednak o zrobieniu płetw z otworami na ręce i był teraz uwięziony w czarno-białej skorupie z dłońmi przy ciele. W paszczy orki widniała jego twarz, przykryta czarną pończochą z okularami na wierzchu, co wyglądało tak, jakby waleń właśnie pożarł biologa i wypluwał niestrawne druciane oprawki.

– Gabe, to ty? – spytał Theo.

– Tak, po czym poznałeś?

– Pod ogonem widać twoje buty, a poza tym jako jedyny w tym towarzystwie mogłeś znać właściwe proporcje prącia samca orki.

– Tak, są bardzo giętkie – powiedział Gabe. Różowy, półmetrowy przydatek o grubości węża ogrodowego, obił się o nogę Theo. – Orki mogłyby to robić nawet z za rogu. Steruję nim za pomocą drutu do przetykania rur.

– To cudownie – powiedział Theo, zsuwając swój kowbojski kapelusz na tył głowy.

– Poczekaj, aż zobaczysz strój Mavis. Powinniście ze sobą zatańczyć, albo coś.

– Czyli masz być szeryfem, tak? – spytała Val Riordan, trzymając Gabe'a za bezwładną płetwę.

– Tak, no bo miałem odznakę – odparł Theo.

– Myślałem, że chcesz się przebrać za pirata – powiedział Gabe.

Theo skrzywił się.

– Okazało się, że Molly ma jakieś złe wspomnienia związane z piratami.

– Przykro mi – rzekł Gabe. – Klóćcie się?

Theo smętnie pokiwał głową.

– Przyszła tutaj? – spytała Val, dygając lekko.

Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże się Molly. Theo starał się nie patrzeć na psychiatrę, ale ona tam była i przyciągała uwagę. Valerie Riordan miała na sobie czarną, gumowaną minispódniczkę i czerwone, dziwkarskie kozaki na wysokich obcasach, krótką, srebrzystą, prześwitującą bluzkę z głębokim dekoltem i zewnętrznymi

poduszkami na ramionach, wykonanymi z płatów plastikowej kory mózgowej ze sztucznego mózgu, który zdobił stolik w jej gabinecie. Na zewnętrznej stronie prawego uda wypisała sobie henną słowa EGO, ID i SUPEREGO. Na drugim udzie widniały wyrazy PRAGNIENIE, WYPARCIE i OBSESJA. Na wewnętrznej stronie prawego uda słowo POŻĄDANIE zniknęło pod króciutką spódniczką. A naprzeciwko, w równie prowokacyjnym miejscu, znajdował się napis POCZUCIE WINY. Dzięki sprytnemu zastosowaniu sztucznych rzęs, błyszczycy, przesadnych ilości różu i wściekle czerwonej szminki, makijaż nadawał jej wyraz wiecznego zaskoczenia, kojarzącego się z nadmuchiwaną lalką z sex-shopu.

– Jestem Pojebaną Psychiką – oznajmiła Val.

– Tak, ale za co się przebrałaś? – spytał Theo.

Theo usłyszał parsknięcie, dobiegające z orki, gdy pani doktor obróciła się na swoim wysokim obcasie i podreptała do miski z ponczem.

– Zapłacę za to – stwierdził Gabe.

– Przepraszam, wpędziłem cię w kłopoty – powiedział Theo.

– Nie szkodzi. Warto było.

Potem Gabe poszedł znaleźć Skinera, który podzwaniał, chodząc po pomieszczeniu w przebraniu renifera. Theo powiódł wzrokiem po pomieszczeniu w poszukiwaniu samotnej Wojowniczej Laski.

Gabe napotkał Estelle Boyette i Catfisha Jeffersona przy tacy z serem i krakersami. Estelle, artystka po sześćdziesiątce, przebrała się za Matkę Naturę. Miała na sobie szeroką sukienkę, a w długie, siwe włosy wplotła liście i błyskotki. Płatki kwiatów były przyklejone do jej twarzy i rąk za pomocą superkleju. Wyglądała jak owoc związku Steviego Nicksa z klombem róż. Facet, z którym przyszła, bluesman Catfish, jak zwykle miał skórzany kapelusz, gładką szarą marynarkę, roboczą koszulę, oraz złoty ząb z rubinem pośrodku. Pojedynczy dzwoneczek zwieszał się na srebrnym sznureczku z gryfu jego gitary National Steel.

– A ty za kogo się przebrałaś?

– Za wesółka.

– Po czym miałbym to poznać?

– Nie mam swoich ciemnych okularów.

– Fakt – stwierdził Gabe.

– Nie rób tak.

– Przepraszam.

– Poczęstuj się ciastem owocowym – powiedziała Mavis do Leny, przebranej za Królewnę Śnieżkę.

Tucker Case chciał przyjść jako jeden z siedmiu krasnoludków, ale Lena poinformowała go, że wprawdzie Gburek, Śpioch i Gapcio należeli do kurdupłowatej siódemki, ale Zbereźnika w niej nie było i żadna liczba skarpetek wepchniętych w krasnoludkowe gacie tego nie zmieni, więc Tuck zamarkował telefon z Agencji Antynarkotykowej i udał, że idzie do pracy. Mavis odcinała grube plastry krwistej wołowiny i nakładała je na talerze przechodzących osób, niezależnie, czy sobie tego życzyły, czy nie.

– Jestem wegetarianką – oznajmiła kobieta przebrana za wróżkę.

– Nie, nie jesteś. Jedz. Wyglądasz jak śmierć wcinająca krakersa. A wiem coś o śmierci, od dwudziestu lat liżę jej dupę, żeby dalej oddychać.

Kobieta czmychnęła, trzymając wołowinę tak, jakby to był odpad radioaktywny.

– Kurde, Mavis – powiedziała Lena, przerywając, by ugryźć kawałek psychoakrywnego deseru.

– Co? Jeśli się do czegoś zobowiązujesz, potem to wypełniasz, nie?

Lena skinęła głową z nieco smutną miną.

– Tak by należało.

– Wystawił cię?

– Musiał iść do pracy.

– Skurwiel.

W tym momencie przy boku Leny pojawiło się trochę udziwnione wcielenie Zorro.

– Coś na ochłodę, moja damo – powiedział Zorro, wręczając jej szklankę z ponczem.

– Dzięki – odparła Lena, próbując się zorientować, kto kryje się za maską. – To ciasto owocowe jest trochę... – Zerknęła przez ramię na Mavis, która starła sobie z twarzy długi czarny włos. – Chce mi się pić.

– A nasza urocza hostessa przebrała się za... – zagadnął Zorro.

– Osiołka z pyta jak kij bejsbolowy – warknęła Mavis, jakby to było zupełnie oczywiste, tym bardziej że do czarnego włochatego kostiumu przyszyła prawdziwy kij

bejsbolowy.

– Oczywiście – powiedział Zorro. Uśmiechnął się, patrząc, jak jego Królowna Śnieżka wypija poncz, do którego dosypał sproszkowanego rohypnolu.

Och, była idealna, ta jego mała latynoska Królowna Śnieżka. Kostium Zorro to był przebłysk geniuszu. Nie musiał nawet chować ząbkowanego sztyletu, którego używał do zdobywania trofeów – wisiał sobie u jego pasa obok atrapy szpady. Dobrze się też czuł w wysokich butach. Nie zdejmie ich, kiedy już się nią zajmie.

Tylko kilka kroków do tylnych drzwi, dalej przez cmentarz i las do furgonetki, czekającej w następnej przecznicy. Jeśli dobrze to rozegra, nikt nawet nie zauważy, że wyszli. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że wystarczy pięć, maksymalnie dziesięć minut.

– Chcesz zatańczyć? – zapytał Lenę. Z radiomagnetofonu płynęła nowofalowa muzyka z lat osiemdziesiątych. Przez chwilę milczała i opuściła wzrok na swoją niebieską sukienkę, jakby się spodziewała, że przyleci jakiś ptaszek i udzieli jej podpowiedzi.

– Daj spokój, jest Wigilia – powiedział William Johnson. – Rozchmurz się.

– No dobrze – odparła Lena. I pozwoliła się wyprowadzić na środek kaplicy.

Wojownicza Laska z Pustkowi weszła do środka z wyciągniętym mieczem, odziana w zbroję z ciemnego metalu, która doskonale podkreślała krągłość jej kształtów. Groźne kolce sterczały z naramienników i rękawic, a na hełmie widniała wyszczerzona, metalowa czaszka z baraniami rogami. W ostatniej chwili, gdy pokłóciła się z Theo, uznawszy, że chce się przebrać za pirata tylko po to, żeby ją zdenerwować, postanowiła zrezygnować z wszelkich świątecznych ozdób. Zamiast tego tam, gdzie było widać jej skórę, czyli w talii, na twarzy i udach, posmarowała się lśniąca czernią pasty Kiwi. Gdyby szatan zamówił striptizerkę w firmie Smith & Wesson, coś podobnego do Molly tańczyłoby na rurze w Piekielnym Nocnym Klubie. Po krótkiej wizycie przy bufecie, gdzie pochłonęła pół kilo pieczeni wołowej i garść ciasta owocowego, stanęła pod choinką, blisko szopki i nietoperza, unikając kontaktu wzrokowego z mężem. Dobrze wiedziała, że mu przebaczy, zanim przyjęcie się skończy, ale najpierw musiał trochę pocierpieć. Potem ciasto zaczęło działać. Jeśli ktoś ma delikatny organizm i zaburzenia osobowości, jak Wojownicza Laska, leki nie zawsze działają na taką osobę tak jak na innych. Zbilansowany koktajl z xanaxu i ecstasy, po którym przeciętny człowiek mógłby popaść w leniwą euforię, Na co liczyła Mavis, zatopił Molly w gęstym sosie odmiennej rzeczywistości, czego pierwszym objawem było spostrzeżenie że Trzej Królowie i pasterze z szopki wyglądają nieco groźniej.

– Dałabym sobie z nimi radę – powiedziała.

– No, mam taką nadzieję – odezwał się liietoperz, wiszący na choince głową w dół.

Roberto pojawił się na przyjęciu jako generał Douglas McArthur, głównie z tego powodu, że podobnie jak zmarły dowódca miał nieskończoną kolekcję lotniczych okularów, ale także dlatego, że Tuck zdołał kupić na legalu maleńką fajkę i oficerską czapkę z wyciętymi otworami na uszy.

– Mają tylko dwadzieścia centymetrów hostii – zauważył włochaty generał z leciutkim filipińskim akcentem.

– To znaczy, gdyby byli prawdziwi, dała bym sobie z nimi radę – wyjaśniła Molly, która mogłaby przysiąc, że najbliższy król właśnie sięgnął po kadzidło.

– Widziałaś Lenę? – spytał niedbale nietoperz.

– Nie. Szukałam jej. Przebrała się za Królową Śnieżkę? Tuck odpuścił sobie krasnoludka?

– Tucka tu nie ma. A ona właśnie wyszła z innym facetem.

– Żartujesz.

– Chyba była lekko wstawiona.

– Lena nie pije.

– Wyglądało to inaczej.

– Powinnam jej poszukać?

– To twoja przyjaciółka. Mogłabyś wziąć dla mnie kawałek ananasa, gdybyś przechodziła koło bufetu.

– Sam sobie weź. W końcu umiesz latać.

– Wziąłbym, ale trochę się boję tego osła z ogromnym futem.

– Dobra, rozumiem cię – przyznała Wojownicza Laska, zupełnie niezdziwiona faktem, że rozmawia z latającym ssakiem, który pali fajkę.

– A co on robi z tą orką?

William poprowadził Lenę na środek cmentarza i oparł ją o wysoki pomnik.

– O, cholercia – powiedziała Lena, dostrzegłszy zabrudzenie na swojej sukni Królowy Śnieżki, Lekko zakołysała głową, a potem zachichotała. – Królowna nie jest już śnieżnobiała.

Narkotyki spełniły swoje zadanie, kobieta wydawała się jednak bardziej czujna, niż zazwyczaj bywały jego świąteczne specjały. Bezradna, ale przytomna. To dobrze.

Bardzo dobrze. Pod warunkiem, że nie zaczniesz krzyczeć.

– Nie ruszaj się – powiedział William.

Położył dłoń na jej krtani i przyparł ją do pomnika. Pomyślał, że przy takim poziomie jej świadomości powinien ją zabrać do furgonetki i tam dokończyć sprawę, ale była taka pociągająca. No a poza tym, kiedy będzie miał następną okazję, by poczuć się jak Zorro na cmentarzu?

Wyciągnął nóż z pochwy i w tym momencie Lena wyslizgnęła się mu, osuwając się w dół i siadając na nagrobku.

– Ups – powiedziała.

Dlaczego jeszcze mówiła? Na tym etapie nigdy nie mówiły. Wcześniej widział, jak popijała ciasto owocowe kawą, ale jedna filiżanka kawy nie powinna zneutralizować dawki, którą wysypał do jej ponczu.

– Tuck mnie kocha. Nic nie poradzi na to, że jest łajdakiem – powiedziała Lena.

– Zamknij się, dziwko. – William uderzył ją w głowę tępym końcem noża, a kiedy otworzyła usta, by jęknąć, złapał jej język palcami i pociągnął.

Dziwne. Pośród wszystkich wspaniałych doznań, które niemal doprowadzały go do szaleństwa – dotyk jej języka, skóry, włosów, zniecierpliwienie – wydało mu się, że czuje zapach pasty do butów. Dziwne.

– He, Hohy – powiedziała Lena, co miało oznaczać: „Cześć Molly”. Seryjny zabójca trzymał ją za język, więc nie mówiła tak wyraźnie, jak zazwyczaj.

Morderca obejrzał się i wtedy jego policzka dotknęło coś zimnego i bardzo ostrego. Poczuł, że skóra ustępuje i na jego szyję pociekła krew.

– Puść jej język – powiedziała czarna zjawa przed nim.

Tak naprawdę widział długie ostrze, które ginęło w metalowych konturach okalających cień kobiety. Puścił język Leny i obrócił nóż, skrywając go za przedramieniem.

– Wstań – rozkazała zjawa.

Wciąż trzymała mu ostrze przy szyi, gdy wstawał, co bolało jak cholera. Rękę z nożem trzymał przy boku i czekał.

– Au – jęknęła Lena. – Molly, nie czuję się najlepiej. Chyba przez to ciasto owocowe. – Spróbowała się podnieść i spadła z nagrobka. Molly zrobiła krok, próbując ją złapać, i wtedy on szybkim ruchem machnął nożem w stronę jej klatki piersiowej. Molly

poczuła uderzenie w mostek, usłyszała głośny huk i obróciła się, trzymając miecz na wysokości policzka. Kiedy zobaczyła zabójcę, ten już padał. Ujrzała mały czerwony kwiat kwitnący na jego czole. Szeroko otwartymi oczami patrzył na gwiazdy. Z mgły wyłoniła się wysoka postać, okolona aureolą światła z okna kaplicy, w kowbojskim kapeluszu, z glockiem kaliber 9mm przy boku.

– Wszystko w porządku? – spytał Theo. – Mówiłem, że w kostiumach ludzie dziwnie się zachowują.

Molly popatrzyła na głęboką rysę w swojej zbroi. Czarna powłoka była uszkodzona i pod spodem było widać stalową płytę. Uśmiechnęła się do posterunkowego. W ciemności, z twarzą pomalowaną na czarno, bardzo przypominała kota z Cheshire.

– A, tak, właśnie na tym polegał problem. Jego kostium.

– Gdzie ona jest? Co się stało?

– Ej, wszyscy – powiedział Jimmy Antalvo. – Jakiś nowy.

– Hej, nowy – zagadnął Marty o Poranku. – Jestem Marty i nadaje z Pine Cove wszystkie przeboje, przy których lubisz kłaść wieńce.

– Gdzie... gdzie ja jestem? – spytał William Johnson. – Jest ciemno.

– Jesteś nieboszczykiem, kretynie – powiedział Malcolm Cowley, który nie cierpiał zmian, podobnie zresztą jak większości innych rzeczy.

– O, nowy – odezwała się Esther. – Jak fajnie. Znasz słowa koledy „Dokąd tak spieszą Królowie.”

Molly i Mavis obsługiwały Lenie, podając jej kawę i okazując współczucie przy pianinie, podczas gdy obok drzwi Theo rozmawiał z grupą funkcjonariuszy z biura szeryfa i tłumaczył im, co się stało. Znaleźli już furgonetkę Williama Johnsona, a w środku różne narzędzia tortur i paczkę z ludzkimi językami, panowała więc zgodna opinia, że Theo zostanie uznany za bohatera, co bezgranicznie ich wkurzało. Sanitariusz policyjny obejrzał Lenę, oznajmił, że jest zdrowa, ale bez wątpienia nawalona, i poradził, by na wszelki wypadek poszła do szpitala, ale ona nie chciała się ruszyć, twierdząc, że przyjedzie po nią Tucker Case. A kilka minut później – gdy Mavis trzydziesty siódmy raz przypominała Molly, że tak naprawdę jest ona była aktorką, a nie Wojowniczą Laską z Pustkowi, a zatem nie wiąże jej żadna przysięga krwi, która nakazywałaby jej zabrać do domu mężczyznę w kowbojskim kapeluszu i uprawiać z nim seks, aż oboje nie będą zdolni chodzić – Tucker Case rzeczywiście pojawił się w drzwiach.

– Co się stało? – spytał pilot.

Był przebrany za Amelie Earhart. Spod skórzanej pilotki i gogli zwisały kędziory jasnej peruki, miał też na sobie jedwabny szal, jeździeckie buty i także spodnie, jak również dużą plaketkę ze skrzydłami i napisem „Amelia Earhart”, na wypadek gdyby ktoś się nie zorientował.

– Tuck! – wykrzyknęła Lena i rzuciła mu się w ramiona. – Wiedziałam, że przyjdiesz.

– Tak, no wiesz, myślałem o tym i...

– I stęskniłeś się za mną? – Zsunęła się po nim w dół.

– Jesteś... ee, Lena, jesteś na prochach?

– Przepraszam. Przeżyłam kiepski wieczór.

– Nie, w porządku. Moja wina. Złe, że mnie nie było?

– Seryjny zabójca próbował jej obciąć język – powiedziała Mavis niedbałym tonem, odgarniając ośle ucho z oka. – Theo go zastrzelił.

– O, rany. No, dobra, przynajmniej nie ja jestem szwarccharakterem w tej historii – stwierdził Tuck.

– Jesteś moim bohaterem – oznajmiła Lena, która jakby spływała na podłogę.

– Czy któraś z was pomoże mi zaprowadzić ją do samochodu? – Tuck zwrócił się do Molly i Mavis.

– Jasne – powiedziała Molly, stawiając przyjaciółkę na nogi i chwytając ją pod ramię, podczas gdy Tuck zrobił to samo z drugiej strony. – Dlaczego Amelia Earhart?

– Wiesz, lotnictwo. No i liczyłem na jakiś numerek w lesbijskim stylu pod choinką, gdyby Lena mi wybaczyła.

– Byłoby fajnie – powiedziała Lena.

Tuck puścił do niej oko.

– Dobra, weźmy ją do samochodu. – Obejrzał się przez ramię na Mavis, ruchem głowy wskazując przyszytą pałkę bejsbolową.

– Ładny wacek, Mavis.

– Zaraz do ciebie przyjdę, pilociku – odparła Mavis.

Gdy Amelia Earhart i Kendra, Wojownicza Laska z Pustkowi, prowadzili mocno zaprawioną Królową Śnieżkę do samochodu, a Pojebana Psychika w stopniu doktora bzykała się z orką w stopniu doktora na grobie radiowego didżeja, generał Douglas

McArthur, nietoperz owocożerny, wleciał na wierzchołek choinki, zatoczył wokół niej łuk,
i chwytając gwiazdę, powiedział:

– Wesółych świąt wszystkim i dobranoc.